

KRZYSZTOF KOTOWSKI

KONTYNUACJA
BESTSELLERA
KAPŁAN

MODLITWA DO
BOGA ZŁEGO

THRILLER

Cat
Book

KRZYSZTOF **KOTOWSKI**



MODLITWA DO
BOGA ZŁEGO

Cat
Book

Copyright © by Krzysztof Kotowski

Copyright © by Cat Book

Kontakt i oficjalna strona autora www.krzysztofkotowski.pl

Projekt okładki

Małgorzata Rokicka

Ewa Łukasik

Ilustracje i zdjęcia na okładce

CORBIS

Emilia Czechowicz

Redakcja

Beata Wyrzykowska

Korekta

Elżbieta Szczepańska

ISBN 978-83-928224-7-9

Wydawnictwo Cat Book 2010

Wyłączny dystrybutor

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk

Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

t./f. 22-535-05-57, 22 721-2519

www.olesiejuk.pl

Konwersja eLjot

SPIS TREŚCI

[Strona tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Spis treści](#)

[Prolog](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Przypisy](#)

[Propozycje](#)

Marcie i Robertowi...

Piosenka dla chłopczyka

*Uciekaj, chłopczyku, przez ciemny las
Zapomnij o słońcu, powstrzymaj czas
Zapomnij o bogach, drzemiących w niebie
Posłuchaj piosenki i ratuj siebie...
La la la la... i ratuj siebie...*

PROLOG

Chłopiec biegł ile sił w nogach. Słyszał kroki goniących go istot w swojej głowie, jakby były zaledwie o metr od niego. Dwadzieścia, może dwadzieścia kilka oddechów temu księżyc skrył się za chmurami i w lesie zapanowała niemal całkowita ciemność, która nie pozwalała odróżnić kostropatych gałęzi wyrastających z potężnych pni od przerzedzonej cichym wiatrem mgłą tańczącej między drzewami.

Mgła w poświacie księżycy była biaława, czasem nawet wydawała się srebrzysta. Teraz jednak chłopiec biegł w ponurych, niemal czarnych oparach, gęstych, jakby powstały z pobliskich bagien, aby zamknąć mu drogę ucieczki lub zmylić kierunek i przynieść zgubę.

Las szeptał tej nocy wyjątkowo cicho. Trudno było wyłowić z ciemności jakiegokolwiek ostrzeżenia – szelest, skrzypienie konarów czy najcichszy choćby głos życia. Za to zapach wdzierał się do głowy chłopca niemal tak silnie jak kroki zza pleców, które niczym koszmarny chichot nie pozwalały wychwycić z tego miejsca czegokolwiek, co pomogłoby zdusić strach. Las pachniał kwitnącym jałowcem, wilgocią liści i gęstym mchem. Zimnozielone, długie, wąskie igły sosen, a nawet nasiona modrzewia nie umiały tej nocy roztaczać woni równie intensywnej, ale i ich obecność chłopiec umiał wyczuć i wykorzystać, by kierować się w odpowiednią stronę.

Gdyby jakikolwiek zwykły człowiek mógł być teraz świadkiem tego, co widziały tylko zastygłe drzewa, oniemiałby

ze zdziwienia. Zmysły ludzkie nie mają przecież takiej mocy, aby im ufać tak bezgranicznie. Jednak chłopiec biegł niezwykle szybko, mijając niewidoczne z pozoru przeszkody, mknąc wciąż naprzód i naprzód. Istoty podążające za nim, choć być może miały wrażenie, że są coraz bliżej niego – myliły się. Aż wreszcie postać najpotężniejsza z nich, rosła co najmniej na dwa metry i potężnie umięśniona w całym ciele, zatrzymała się. Nie widać było ani po niej, ani po jej trzech towarzyszach zwykłego dla takiego wysiłku zmęczenia. Wyglądali na ludzi, ale ich sprawność wzbudziłaby podobne zdziwienie jak bezbłędne ruchy chłopca, który był już daleko przed nimi. Wyrównując oddech, patrzyli przed siebie z gniewem i rozgoryczeniem.

ROZDZIAŁ 1

Dom stojący na skraju lasu ponad wszelką wątpliwość nie był zwykłym domem. Nie miał własnego jednolitego koloru, typowego dla wiejskiej chałupy ogrodzenia, stodoły, albo przynajmniej czegoś w stylu komórki, ale miał za to – co może dziwne – garaż. Ściany domu, a nawet dach wymalowane były we wszystkie chyba możliwe barwy świata, pomieszane ze sobą zupełnie dowolnie. Raczej nie była tym malunkom nadana żadna konkretna forma, ani chyba nawet załączek koncepcji kolorystycznej. Niczego, jak należy się obawiać, twórca wizerunku domu nie chciał nam przekazać prócz wrażenia. Choć mogłoby się okazać, że takie twierdzenie obraziłoby gospodarzy, którzy właśnie budzili się ze snu. Pan gospodarz, o fryzurze nieco nawiązującej do koncepcji artystycznej domu i ciele nieprawdopodobnie wręcz chudym, wstał leniwie z łóżka, w którym zostawił wciąż drzemłą żonę. Wszedł kołyszącym się krokiem do kuchni, by napełnić wodą z kranu jedną ze szklanek stojących na stole, a następnie ją wypić do dna. Przeciągnął się, przetarł oczy, rozejrzał się dookoła i postanowił wyrazić dezaprobatę:

- Cipucha! – wrzasnął na całe gardło.
- Zamknij się, pojebie! Przecież jeszcze śpię! – odwrzeszczała mu spod kołdry pani gospodyni.
- Zostawiłaś wczoraj taki burdel, że rzygać się chce!
- Bzdet, tępaku niedorobiony! Czy nie dochodzi do tego twojego jajowatego łba, że jeszcze śpię?!!!

- Chcesz coś do żarcia?!

- Chcę spać!

Bzdet wzruszył ramionami i wrócił do sypialni. Głowa Cipuchy wypełzła spod kołdry.

- Gacie byś jakieś założył - mruknęła, otwierając jedno oko.

- Po co?

Dziewczyna wyciągnęła ręce w jego stronę.

- Chodź tu do mnie, Mopiku mój śliczny - zachęciła, posyłając mu buziaka na odległość.

Bzdet wskoczył z powrotem pod kołdrę i mocno przytulił się do żony.

- Moja ty Niunieczko najukochańsza... - zamruczała, całując ją delikatnie w usta.

- Grubasku słodziutki... - zrewanżowała się, szczypiąc go po kościstych plecach.

- Skarbeczka, żabeczka...

- Bzdecik, omlecik...

- Usteczka słodziutkie...

- Brzuszeczek mój najcudowniejszy...

Jesienne słońce raźniej wyjrzało zza chmur nad samotnym domem o nieokreślonym kształcie artystycznym, radując tym bardzo otwartych na piękno przyrody gospodarzy. Przyglądając się porannym zajęciom Bzdet i Cipuchy, ktoś nieostrożny i nieobiektywny w swoich sądach mógłby odnieść wrażenie, że to tylko para wychudłych, rozczochranych punków, którym nieźle odwalilo. Bardziej uważny obserwator dostrzegłby jednak w tych szczęśliwych ludziach tęsknotę za pierwotną harmonią nie tylko z naturą i własnym poczuciem sensu życia, ale także silnym instynktem trzymającym ich z dala od miejskiej obłudy,

ludzkich zależności i nielogicznie zhierarchizowanego tak zwanego społeczeństwa. Cipucha i Bzdet byli wolni i – o czym świadczyło wiele przykładów – umieli z tej wolności czerpać siłę do życia.

Bzdet po dość dogłębnym rozważeniu „za” i „przeciw” zdecydował się w końcu włożyć gacie i wyjść na zewnątrz.

– Jest wrzesień! – usłyszał za sobą ostrzeżenie żony. – Wpakuj coś jeszcze na siebie, bo będziesz chrychał jak w kwietniu!

Punk jednak nie odpowiedział, bo właśnie przykuł jego uwagę przedziwny widok. Pod ścianą domu, skulony w kłębek, trząsł się jakiś chłopiec. Na oko miał piętnaście, szesnaście lat, długie gęste włosy koloru dojrzewającego żyta, szczupłe – no, może nie tak jak Bzdet, ale jednak – ciało oraz nieprawdopodobnie dziwaczne, trudne do porównania z czymkolwiek ubranie.

– Siemano, chłopie! – pozdrowił go otwarty na wszelkie dziwy świata Bzdet i podszedł bliżej. W pewnym momencie jednak zwolnił kroku, widząc, że strach w oczach dzieciaka rośnie. Wreszcie zatrzymał się, żeby dokładniej obejrzeć gościa. Chłopiec wciąż milczał, nie spuszczał wzroku z gospodarza. Punk postanowił, że czas zachęcić do kontaktu niespodziewanego gościa bardziej zdecydowanymi argumentami.

– Słuchaj, koleś – zaczął przystępnie. – Ja tu mieszkam. To mój dom i moje podwórko. A ty siedzisz pod ścianą, jest siódma rano i jesteś trochę za młody na kaca. Wyczesany masz ten mundurek, ale zagadaj coś. Wiesz, nie najlepiej w sumie wyglądasz, i jak cię zobaczy moja laska, która rano nie tryska raczej humorem, to będzie afera.

Jak na zawołanie w drzwiach pojawiła się Cipucha, która zobaczywszy, że jej mąż mówi do ściany, szybko wyszła z domu, żeby się dowiedzieć, co się dzieje. Dzieciak na widok drugiej osoby jeszcze bardziej skulił się w sobie i jeszcze szerzej otworzył oczy.

- Co jest grane? - spytała cicho Bzdeta, na wszelki wypadek rozglądając się uważnie dookoła.

- Nie wiem. Znalazłem go tu przed chwilą. Nie chce gadać. Dla mnie jakiś trefny jest.

- To dzieciak. Cips jakiś.

- Skąd by tu cipsy się szwendały? Na piechotę z miasta przyszedł? Siedem kilometrów? Wygląda jak przykurzony jakiś...

- Ty, młody! - zagadnęła teraz Cipucha. - Jak masz ścieżkę w organizmie albo przyjarałeś, nie bój. Tu nikogo nie ma. Chcesz wody?

Chłopak nagle otworzył usta i z dużym trudem zaczął wydobywać z siebie jakieś dźwięki. Cokolwiek to było, z pewnością w żadnym zrozumiałym dla gospodarzy języku.

- Nie kumam - podsumowała Cipucha.

- No co ty powiesz...

- Nie dogadamy się z nim. On w ogóle chyba nie łapie, co jest grane.

- Widzę. A ty widzisz, jakie ma ciuchy?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Może lubi *Star Trek* albo urwał się z jakiegoś zlotu dla innych świrów.

- I co?! I gadali tam na migi?! - Bzdet wyraźnie był rozdrażniony.

- Dzwonię po mendy – stwierdziła Cipucha.
- Wyluzuj. To tylko jakiś dzieciak.
- Więc może potrzebuje pomocy, lamusie?
- Od mend?! Zajebisty pomysł!

Chłopiec nagle zamknął oczy, osunął się po ścianie i stracił przytomność.

- O w dupę! – teraz Cipucha zdecydowanie się wystraszyła. – Dalej mam nie dzwonić?

- Dzwon, ale nie do mend.
- A gdzie?
- Na audiotele po jakiś wózek, bo nam tu zejdzie!
- Po pogotowie?!
- Mała, kurde, mózg ci przepaliło? No jasne, że po pogotowie.

Ja go biorę do domu.

Bzdet wziął szybko chłopaka na ręce i wniósł po schodach do pokoju gościnnego. Położył go na kanapie i szybko sprawdził oddech i puls. Przykrył chłopca kocem i wrócił na dół do salonu.

- Zadzwońska? – spytał.

- Tak.

- Kiedy przyjadą?

- Szybko. Zadzwońska do Oli.

- Kurwa, przecież Olka to psychiatra!

- No i co z tego? Ale ją znamy. Nie wierzę tym po- sranym wozakom z miasta. Powiedziałam jej, co jest grane, przyjedzie z kim trzeba. Oddycha?

- Tak. I ma puls, choć jakiś porąbany. Ciekawe, jak jej to zrelacjonowałaś...

- Tak jak trzeba, przymule!

Doktor Aleksandra Sambierska, rudowłosa, drobna lekarka, odłożyła słuchawkę telefonu, ale jej oczy były nadal tak szeroko otwarte, że wyglądały jak pięciozłotówki. Z kolei doktor Błażej Kulawik, będący poniekąd świadkiem jej rozmowy przez telefon, ze szczerym zaciekawieniem wymalował na swojej twarzy jeden wielki znak zapytania. Gdy Sambierska nieco się otrząsnęła z tego, co usłyszała, wzięła trzy głębokie oddechy i odruchowo poprawiła fryzurę.

- Możesz mi dać szybko karetkę? - spytała, wprowadzając na swoje oblicze na razie udawany spokój.

- Jaka?

- Pełną. I chcę wziąć Grzesia.

- Luksusowo...

- Dzisiaj jest luz, jest ledwo po siódmej. Moi przyjaciele mają kłopoty.

- Czyli? - spytał Kulawik, biorąc jednocześnie słuchawkę do ręki. - R1 na dół, szybko, i wezwij doktora Jurgę. - Rozłączył się i zawiesił wzrok na koleżance, oczekując odpowiedzi.

- Dwoje moich przyjaciół znalazło pod swoim domem nieprzytomnego nastolatka.

- „Najarany anor w stroju kapitana Kirka” to ten nastolatek? - upewnił się Kulawik.

Sambierska machnęła niecierpliwie głową.

- To Cipucha.

- Wiem. Tylko ona mówi tak przez telefon, że słyhać w drugim pokoju. Ola, to świry. Znowu wykręcą ci numer.

- Rany boskie, jesteś psychiatrą! „Swiyy” to chyba jednak niezbyt starannie i adekwatnie dobrane słowo!

- Mieszkają trzydzieści kilometrów za miastem!

- Nie znają innych lekarzy oprócz nas.

- Źle mi się kojarzą.

- Wtedy to nie była ich wina. I dobrze o tym wiesz. Lecę – pocałowała go w czoło, porwała płaszcz z wieszaka i wybiegła na korytarz.

Gdy znalazła się w drzwiach budynku „F” prowadzących na zewnątrz, karetka już podjeżdżała. W środku znalazła dwóch wozaków i kierowcę, ale Jurgi nie było.

- Gdzie Grzesiek? – spytała, wskazując szybko do wozu.

- Ma być przy szlabanie – odparł kierowca.

Doktor Grzegorz Jurga był łyśawym, szczupłym, dość wysokim, znanym z flegmatycznego usposobienia sześćdziesięcioletkiem. Nie przeszkadzało mu to bywać cynicznym złośliwcem, kiedy tylko zakłócono jego spokój. Ola lubiła go jednak za (rzadką u lekarzy) samokrytyczną trzeźwość i brak (częstego u lekarzy) tak zwanego kompleksu boga wszystkich.

Wsiadł tuż przy wyjeździe z terenu szpitala, zajął miejsce przy Sambierskiej, ale nie fatygował się ze specjalnie entuzjastycznym powitaniem. Machnął nieznacznie ręką, pozdrawiając wszystkich, oparł głowę o obitą w tym miejscu miękką tapicerką ścianę karetki i zamknął oczy, usiłując najprawdopodobniej się zdrzemnąć.

- Nie pytasz, dokąd jedziemy? – szturchnęła go Ola, zbyt zdenerwowana, by teraz zostać z tym sama.

- Jestem kardiologiem pracującym w szpitalu psychiatrycznym. Dokąd możemy jechać? – mruknął leniwie Jurga.

- Do nieprzytomnego chorego psychicznie lub podejrzewanego o kłopoty krążeniowe. Dzisiaj mi wszystko jedno. Mam zarwaną noc, daj mi się zdrzemnąć. Słyszałem, że jedziemy daleko.

Sambierska głośno westchnęła, ale zostawiła go w spokoju.

Jednak czujny, stary lekarz, zbyt dobrze znający Olę, postanowił otworzyć oczy i zaspokoić właśnie pobudzoną ciekawość.

- A tobie co? - spytał z kolei on, przyglądając się teraz uważniej koleżance. - Pierwszy raz jedziesz do chorego? Co się stało?

- To moi... znajomi. To znaczy przyjaciele. Pierwszy raz do mnie dzwonią po pomoc.

Kardiolog wyprostował się i przetarł oczy, żeby odpędzić senność.

- Chcesz powiedzieć, że nie jedziemy do pacjenta „dla nas”?

- Nie wiem.

Wozacy kulturalnie i konsekwentnie udawali, że nie słyszą rozmowy lekarzy.

- Ola... - Jurga ściszył głos. - My nie jesteśmy pogotowie! Mamy karetki tylko dla „naszych”! Co ty wyprawiasz?!

Sambierska zacisnęła usta i przez chwilę milczała.

- No dobra, OK, spróbuję to zrozumieć - westchnął kardiolog. - Po co mnie ściągnęłaś?

- Bo to, co mówili, było dziwne.

- Jezu... Tylko nie mów, że to ci z tego numeru sprzed pięciu lat?!

- Nie ci... To znaczy ci, ale...

- Ci czy nie ci?!

- Byli z tym związani. Ale nie tak, jak myślisz.

Jurga zdecydowanie spowaźniał.

- Ola, pięć lat temu na terenie tego szpitala zginęli ludzie napadnięci przez jakichś porąbanych mnichów z mieczami, a ty mi teraz mówisz, że jedziemy do gości „z tym związanych, tylko nie tak, jak myślę”?!!!

- Ciszej!

- Jasne. W ciągu tych pięciu lat już mi kilka razy kazano na ten temat milczeć. W co ty mnie pakujesz? - słynny spokój Jurgi został wyraźnie nadwątlony, ale teraz szeptał prosto do jej ucha, pilnując, żeby żaden z wozaków tym razem niczego nie usłyszał.

- Nie było cię wtedy. Nie masz się czym niepokoić. Niczego nie widziałeś - odpowiedziała rzeczowo Ola.

- Ale teraz jestem. Mów, co się dzieje, albo każę zatrzymać karetkę!

Sambierska zmierzyła kolegę piorunującym spojrzeniem, pełnym babskiego (przez co jak ma się rozumieć - groźniejszego) oburzenia.

- Jedziemy do przyjaciół - warknęła mu prosto do ucha. - To były ofiary tamtych wydarzeń, a nie sprawcy. Mówię ci o tym tylko dlatego, że...

- Że co?

Ola chwilę się zastanowiła.

- Są trochę ekscentryczni - szepnęła po chwili.

- Są trochę ekscentryczni... - powtórzył jak echo Jurga, wpijając w nią swój całkowicie już trzeźwy, rozbudzony wzrok.

Lekarka pokręciła głową zniecierpliwiona, ale postanowiła, że nie da się zbić z pantałyku.

- Trochę inaczej się ubierają i czeszą. Żyją na odludziu, ale to cholernie porządni ludzie.

- Na odludziu?

- No, może trochę przesadziłam. To pół godziny drogi od Warszawy, na skraju lasu. Ale do najbliższego sąsiada mają z kilometr.

- Coraz lepiej...

- Ludzie, do których jedziemy, należą do ruchu punkowego.

- Ola postanowiła być dokładna. - Ich postawa jest kontestacją zakłamanego i egoistycznego, pozbawionego miłości i duchowej wspólnoty układu społecznego - wyrecytowała formułkę, której nauczyła się już kilka lat temu. - Nawet ich pseudonimy i pogarda dla nadanych im przy urodzeniu „przyporządkowanych” imion społecznych znamionują ten bunt.

- Co ty powiesz? Uczysz sześćdziesięciolatka, kim byli punkowcy?

- To nie są zwykłe brudasy spod trzepaka. Oni traktują to poważnie. To ludzie idei - zakończyła uroczyście. - Zresztą są dorośli. Mają po trzydzieści parę lat. Mówię ci to, abyś nie rozdziawił buzi, jak ja to zrobiłam, kiedy ich pierwszy raz zobaczyłam.

- Bardziej interesuje mnie, które z nich jest chore - odparł nieco cynicznie kardiolog, ale Ola domyśliła się, że nie uniknie dalszych pytań o przeszłość, choć Jurga zapewne odłożył dręczenie koleżanki na później.

- Nikt. Pół godziny temu znaleźli na swoim podwórku nastolatka, który przy nich stracił przytomność. Jest bardzo dziwnie ubrany, mówi w niezrozumiałym języku, oddycha i jak twierdzą, ma puls, tyle że dziwny. Dlatego chcę, żebyś go zobaczył.

- Pewnie ma omamy i bełkocze, a nie mówi w dziwnym języku.

- To już zostaw mnie. Ty zajmij się somatyką.

- Co to znaczy „dziwny” puls?

- Bardzo nieregularny, o zróżnicowanym natężeniu. To nie

są lekarze. Tak wnioskuje z tego, co mówili. Ostatnie, co usłyszałam, interpretuję jako nadmiar wrażeń.

- To znaczy? - Jurga zaczął mówić nieco głośniej.

- Powiedzieli, że chłopak przez chwilę... „stał się jakby przezroczysty”.

- Acha. No, to być może całkowicie prawidłowo, jedziemy do prawidłowych pacjentów - podsumował kardiolog, chyba nieco się uspokajając.

- Na pewno potrzebna jest pomoc.

- I to nie ci z mieczami co wtedy?...

- Tych „z mieczami” nie widziałam od pięciu lat - skłamała Ola, szybko urywając kolejną próbę podjęcia przez Jurge temat, którego ponad wszelką wątpliwość by nie zrozumiał.

Gospodarz czekał na nich przed domem.

- Siemano, Ola - punk pocałował Sambierską w policzek, ale lekarka zauważyła, że zniknęła jego dawna pogoda ducha, z której tak bardzo był znany wśród, nielicznych zresztą, przyjaciół.

- Gdzie? - spytała szybko.

- W środku. Chyba na razie w porządku. Bzdet jestem! - wyciągnął rękę do kardiologa.

- Ładnie - przyznał Jurga, potrząsając chudą dłonią punka. - A ja jestem ziomal z głupotkowa. Siemano!

Bzdet uniósł nieco brwi. Ola dość głośno wypuściła powietrze z płuc, ale posłała na wszelki wypadek uspokajające spojrzenie w kierunku zdezorientowanego nieco chuderlaka.

- To co? - westchnął Jurga. - Idę strzelić małodlatowi „depeszę z Damaszku” i powrózę trochę z kreski, OK? - Po czym

swoim nieco rozkołysanym krokiem skierował się w stronę wejścia do domu.

– Spokojnie. On ma takie poczucie humoru – Sambierska klepnęła Bzdeta po ramieniu. – Nie przejmuj się. Mówił o badaniu EKG. Jest trochę zdenerwowany, nie spał całą noc.

– Dobry jest? – spytał punk.

– To świetny kardiolog. Miewa humory, ale na co dzień to oaza spokoju.

W środku, w pokoju dla gości, Cipucha siedziała przy łóżku, na którym leżał chłopiec.

– Nie rozebraliście go? – spytała nieco zaniepokojona Ola, ale bez pretensji w głosie.

– Nie wiemy jak – odparł Bzdet.

Jurga spojrział z politowaniem na Sambierską. Cipucha wyczuła w jego oczach protekcjonalność w stosunku do nich, ale z pewnością nie miała nastroju do kłótni.

– To białe, co ma na sobie, nie ma guzików, suwaków ani niczego, co można by rozpiąć. Poza tym tak dobrze przylega do ciała, że łatwo daje się wyczuć puls czy bicie serca.

– Dobra, koniec wygłupów, podłączam EKG – zdecydował Jurga. Dał znak jednemu z wozaków i przesunął ręką po klatce piersiowej pacjenta.

– Tego naprawdę nie da się zdjąć – wtrącił spokojnie Bzdet.

– Widać przecież, że to jakiś strój z balu dla przebierańców. Przynieście nożyczki – kardiolog postanowił nie tracić czasu i założył stetoskop.

– Próbowaliśmy – upierała się Cipucha. – Ten strój tak do niego przylega, że potniemy mu skórę.

– A mogę poprosić nożyczki lub nóż? Mam tu nie-

przytomnego pacjenta! – zniecierpliwił się Jurga.

Bzdet bez słowa wyjął z kieszeni scyzoryk i nożyczki, których najprawdopodobniej próbował już użyć.

Sambierska podeszła do chłopca z drugiej strony łóżka. Wyjęła latarkę punktową i zaczęła badać reakcję źrenic.

– W porządku? – spytał kardiolog, próbując znaleźć jakieś miejsce do przecięcia ubrania.

– Reaguje prawidłowo – odpowiedziała Ola, przesuwając ręką po ubraniu pacjenta. – To jest jakby przyklejone do niego. Guma jakaś, cholera, czy co?

– To staje się raz zimne, a raz ciepłe – wtrąciła Cipucha.

– Przejmuje temperaturę ciała – mruknął Jurga.

– Aż tak? – Ola podniosła wzrok na kardiologa. – Dotknij jego brzucha.

Miejsce, na które wskazała Sambierska, było ciepłe jak rozgrzany kaloryfer, za to klatka piersiowa pod dłońmi Jurgi wydawała się chłodna.

– Co jest do cholery?! – teraz już nawet on się zaniepokoił. Odłożył nożyczki i zaczął szybko osłuchiwać serce przez cienką warstwę tego, w co ubrany był chłopiec od pasa w górę.

– Te spodnie też jakieś dziwne – westchnęła Ola.

– Są, jak widzisz, grubsze – przyszedł z pomocą Bzdet. – Miejscami jakby wyrzeźbione w styropianie. Też nie da się ich zdjąć. Jakby był jakimś cholernym kosmitą.

– Wygląda jak normalny chłopiec. Bije mu serce, wszystko ma chyba na swoim miejscu – bąknęła Cipucha, ale bez specjalnego przekonania w głosie.

– Bo na pewno jest normalny – Ola wciąż uważnie badała pacjenta. – Ktoś tylko włożył sporo wysiłku, by mógł

zaimponować jakiejś panience na balu, i zrobił mu ten strój. Potem pewnie łyknęli nie te prochy co trzeba i gówniarz wylądował pod waszym domem. Tylko skąd?

- Jak na wiejską dyskotekę, nie sądzisz, że to ciut za postmodernistyczne? - Jurga zdjął stetoskop.

Do pokoju weszli wozacy ze sprzętem do EKG.

- Zanieście to z powrotem i przynieście nosze - rzucił szybko w ich stronę.

- Co robisz?! - Ola oderwała się wreszcie od chłopaka.

- Jest stabilny. Zabieramy go stąd.

- Dokąd? Do nas?

- Nie. Jedziemy na kardiologię do Suchego. Może w karetce zrobię wstępne EKG.

- Co jest? - upierała się Ola.

- Nie wiem. Ale na pewno musimy go stąd zabrać. Potrzebny mi sprzęt. To, co słyszę, w ogóle nie trzyma się kupy. Albo gówniarz ma wadę, o której w życiu nie słyszałem, albo ma dwa serca.

- Jezu... - Cipucha spojrzała ze strachem na męża.

- Dobra, nie ma co. Bywało już dziwniej - próbowała uspokoić wszystkich Ola. - Bierzemy go.

- Jedziemy z wami - wtrącił Bzdet.

- Nie da rady - pokręcił głową Jurga.

- Może jednak zostańcie, zadzwonię do was - zaproponowała Sambierska.

- Chcemy jechać - upierał się Bzdet.

Cipucha przytaknęła.

- W porządku. Zapiszę wam adres szpitala. Nie dacie rady jechać tak szybko jak my. Gliniarze by was zgarnęli. Jak

będziecie na miejscu, zadzwońcie do mnie.

Wozacy wnieśli nosze i zręcznie położyli na nich chłopca. Następnie przykryli go kocem i zaczęli wynosić do karetki.

- Uważajcie na schodach, są drewniane - przypomniała Cipucha, choć nie za bardzo wiadomo po co, bo sanitariusze przeszli nimi już chyba co najmniej ze trzy razy.

- Podłączenie i monitorowanie cały czas. Jak ruszymy, proszę zadzwonić do doktora Suchowskiego, numer jest w notatniku w skrzynce po prawej stronie. Jeśli go nie ma w szpitalu, poproście ode mnie, żeby natychmiast przyjechał - rzucił jeszcze do wychodzących wozaków Jurga. - Albo nie, sam zadzwonię. Pośpieszmy się.

Kardiolog odwrócił się do Oli.

- Masz talent do dziwaków - pokręcił głową.

- To nie dziwak, tylko chory chłopiec. Nie róbcie z igły wideł - głos Sambierskiej wydawał się chłodny i coraz bardziej spokojny. Ale Bzdet zbyt dobrze ją znał. Wiedział, kiedy zaczyna się bać. Przerobili to razem w przeszłości niejeden raz.

Karetką jechała bardzo szybko. Chłopcu podano tlen i podłączono pod elektrokardiograf, ale na razie nie odzyskał przytomności. Wóz Bzdet i Cipuchy zniknął z tyłu, jak przewidziała Ola, która teraz ograniczyła się do obserwowania pacjenta. Jurga rozmawiał przez telefon z profesorem Marianem Suchowskim, dawnym przyjacielem, którego do dzisiaj uważał za największy autorytet w kraju.

- Tak... tak - mówił prawie spokojnie do słuchawki. - Oczywiście, że go osłuchałem. Gdybym miał strzelać, powiedziałbym, że dzieciak ma cztery komory i co najmniej o

trzy zastawki za dużo.

- To niemożliwe, z czymś takim powinien umrzeć jako niemowlak. Mówisz mi, że nastolatek ma dwa przedsionki, cztery komory i ile... siedem zastawek?!

- Maniek! Mam podłączone do niego EKG! Nawet przez ubranie widzę, że... No, nieważne. W życiu nie widziałem takiej depolaryzacji, takiego załamka...

- Co?! - przerwał mu nagle Suchowski. - Przez jakie ubranie?!

Jurga zacisnął ze złości usta, że się wygadał.

- Jest czymś oklejony... Nie umiemy tego zdjąć - burknął przez zęby.

- Czy ty jesteś pijany? - jęknął profesor. - Podłączasz elektrokardiograf przez jakieś ubranie?!

- Maniek!!!

- Wiesz, że nienawidzę, jak tak do mnie mówisz!

- To mnie nie wkurwiał! Mam tu nieprzytomnego gówniarza, nie mam kontaktu z jego rodzicami i nie wiem nawet, gdzie mieszka. Ma wadę serca, jakiej nie znam, a to, co ma na sobie, przewodzi! Założyłem „Wilsona” i odczytuje jak ze skóry!

- O ile pamiętam, pisałeś doktorat o dysfunkcjach komorowych? - spytał dla pewności profesor.

- O przerostach i interpretacjach diagnostycznych, zaproponowałem jedną z metod leczenia przedoperacyjnego zwiększającą skuteczność...

- No, to kto ma się znać na wadach komorowych lepiej niż ty? - znowu przerwał Suchowski

- Jesteś najlepszy.

- Nie bądź taki cwaniak. Jestem od kardiochirurgii dziecięcej.

- Wiozę do ciebie dziecko.

- Nie wiem, co kombinujesz, ale przyjeżdżaj. Brzmi ciekawie.

- Jak myślisz, co mogę kombinować? Znasz lekarza, który bez powodu przyznaje się do braku wiedzy na temat przypadku?! I jeszcze włożę ci w tyłek, żebyś go przyjął bez jęczenia?!

- Fakt... to zagadkowe - przyznał profesor. - Skąd go wzięłeś?

- Z podwórka jakichś świrów.

- Nic nie rozumiem.

Jurga głęboko westchnął.

- Później ci wytłumaczę. Załatw pełne przebadanie chłopaka od góry do dołu. Tylko o to proszę. A w zamian za to zobaczysz przypadek, jakiego jeszcze nie miałeś.

- Po coś się przeprowadził do szpitala psychiatrycznego? - spytał nagle Suchowski.

- To było wieki temu. Co to ma do rzeczy?

- Nie lubisz mnie, a zawsze do mnie dzwonisz po konsultacje.

- Wciąż cię cenię. Byliśmy kiedyś przyjaciółmi.

- Byliśmy. A potem trzasnęłaś drzwiami.

- Bo zachowałeś się jak dupek. Zresztą zawsze byłeś dupkiem, w którymś momencie miałem tego dość.

- I dlatego się przeprowadziłeś?

- Podoba mi się tutejsza atmosfera. Będziemy za dziesięć minut, Maniek!

Odłożył słuchawkę.

- Zawsze tak musicie? - westchnęła Ola.

- Zawsze on zaczyna.

- I zawsze do niego dzwoni.

Jurga machnął ręką ze zniecierpliwieniem, zerknął na odczyt i oderwał fragment zapisu.

- Co o tym sądzisz? - spytał, nawet nie spoglądając na Sambierską.

- Nie wiem. Nie jestem kardiologiem.

- Jesteś lekarzem.

- Wygląda na zwykłego chłopca. Ma odruchy w normie. Może włożył trochę dziwne ciuchy, ale ma twarz i ciało ładnego, zdrowego szesnastolatka. Gdyby nie twoja diagnoza...

- W porządku - Jurga spojrzał Oli prosto w oczy. - Załóżmy, że się mylę, a jego serce ma po prostu taką naturę. Może jest coś, czego nie wiem, a on jest zupełnie zdrowy. Źrenice reagują prawidłowo. Kończyny przewodzą impulsy nerwowe. Oddycha miarowo, regularnie, prawidłowo. Nie ma złamań. Nie wychyciłem żadnych szmerów ani nie zaobserwowałem drgawek. Nie ma sinicy. Ciśnienie w normie, puls nawet trochę tachykardyczny. W związku z tym małe pytanko: dlaczego jest nieprzytomny? Powinien tryskać energią. To ma być śpiączka?

- Prochy? Zatrucie? Encefalopatia? Jakiś wirus?

- Był przytomny, jak go znaleźli?

- Tak.

- Szybko oddychał, miał jakieś inne objawy?

- Nie zdążyłam zapytać. Jak przyjadą do szpitala, zrobisz wywiad.

- Wracasz do siebie?

- Nie. I ty też nie. Jeśli to wirus, musimy się zbadać i dopóki tego nie wyjaśnimy, u Suchego będziemy izolować chorego, siebie i... - zastanowiła się chwilę - i punków też.

Bzdet spokojnie siedział w pokoju, który wyznaczył im Suchowski, i odpowiadał cierpliwie na pytania Jurgi. Wreszcie, jak to on, nie widząc dalszego sensu, postanowił sam podsumować sprawę i zakończyć gadkę.

- To niewiele da, doktoru - stwierdził zdecydowanie. - Wstałem o siódmej, zobaczyłem go, gadał po mu- rzyńsku, wreszcie stracił przytomność. Nie trzął się, nie wyglądał na zdyszanego, ale miał senne oczy. Odniosłem pieprzone wrażenie, że jest przestraszony. A potem dał w komarunek i tyle.

- Znaczy się... zasnął? - spytał dla pewności Jurga.

- Tak. Właściwie stracił przytomność. Nic więcej nie zdążyłem zauważyć. W ogóle nie zajarzył, co do niego mówiłem.

- Pani też nic nie zauważyła? - zwrócił się do Ci- puchy.

- Nie - odparła, przytulając się mocniej do męża.

- Daj im spokój - nie wytrzymała wreszcie Ola. - Badają go, zaraz się czegoś dowiemy. Ile już tam jest?

- Pół godziny. Idę tam, wy się stąd nie ruszajcie.

- Świetny pomysł, być może będzie przez chwilę cicho, muszę zadzwonić do męża.

@@

Xavril Ganti wszedł do obszernego pokoju, w którym nie było żadnych mebli ani sprzętów z wyjątkiem szerokiej na dwa metry oraz długiej co najmniej na trzy - czarnej, kamiennej

kąpielnicy, uformowanej wewnątrz na kształt postaci ludzkiej, tak by osoba zażywająca kąpeli mogła się relaksować, leżąc w dokładnie dostosowanej do swoich rozmiarów potężnej, wyrzeźbionej „wannie”. Urządzenie to, dość tajemniczo nazwane przez projektantów *oblitteratio*, całkiem niedawno zbudowano dla kogoś, kto najwyraźniej nie tyle lubił, ile z jakichś powodów był zmuszony z niego korzystać. Ten ktoś musiał mieć ciało ponad miarę potężne, o muskulaturze i rozmiarach rzymskiego gladiatora. I to on właśnie, zanurzony teraz w niebieskozielonej cieczy, uniósł wolno głowę, usłyszawszy wchodzącego do łaźni Gantiego, by skupić na nim swój wzrok.

Xavril zamknął za sobą drzwi i utkwiał z kolei swoje spojrzenie w niemal przezroczysto niebieskich oczach olbrzyma.

- Tak, zbliżają się, Tyhronie - potwierdził Ganti, mimo że jego rozmówca nie otworzył nawet ust.

„Słuchał” przez pewien czas tego, co przekazuje mu olbrzym, i znowu zaczął odpowiadać.

- Tak, przekażę im wiadomość... Jestem pewien, że to aurelici... na razie nie zagrażają nam i nie wiedzą, kim jest chłopiec.

Tyhron zamknął wolno oczy i z powrotem położył głowę na oparciu *oblitteratia*.

Ganti skłonił się z szacunkiem i wyszedł z pomieszczenia. Udał się natychmiast do lewego skrzydła domu, gdzie mieściły się jego prywatne pokoje. Zamierzał stanąć naprzeciwko swoich dawnych braci w stroju tradycyjnym, bez strachu, tak by jego umysł wypełniały myśli pełne czystości, ale i odwagi. Zamierzał obmyć dłonie w „wodzie Marcel- lina” - poświęconej tego dnia

przez „strażników” specjalnie dla niego. Dopiero tak przygotowany i odpowiednio przebrany wyjdzie na zewnątrz, by być może odebrać niebawem niejedno życie, jeśli tak każe przeznaczenie.

Andrea Villon, jeden z najbardziej doświadczonych rycerzy aurelickich, ku zdziwieniu wielkiego mistrza sam poprosił o tę misję. Villon rzadko już podróżował i raczej niechętnie opuszczał zamek w Chatillon. Ograniczał się do roli nauczyciela adeptów oraz do rad dotyczących tajników strategii i walki, jeśli go o nie poproszono. Ostatni rok odznaczał się wyjątkowym spokojem i brakiem konfliktów. Roztropna polityka, którą prowadził mistrz Luigi Balea, cechowała się konserwatywną dbałością o starą dobrą dyskrecję wraz z jednoczesną otwartością na nowoczesne metody utrzymywania odpowiednich wpływów, jeśli tylko to możliwe – bez uciekania się do przemocy. W świecie, w którym Balea był niepodzielnym władcą, choć konflikt stanowił nierzadko niezbędną metodę postępu, pokój oznaczał złoty okres „zbierania żniw” i umacniania potęgi. Dlatego mistrz, gdy właśnie ów umiłowany przez niego pokój został zagrożony, chętnie przystał na propozycję Villona. Wierzył w doświadczenie i znaną wszystkim mądrość nauczyciela. Balea potrafił nie tylko poskromić w sobie łatwą pokusę pychy, ale, co najważniejsze, umiał rozumnie pytać. Jako najmłodszy mistrz w ponadtysiącpięćsetletniej historii bractwa, przez pięć lat swoich dotychczasowych rządów zdołał, dzięki między innymi także i tym cechom, zdobyć i utrzymać szacunek nie tylko młodych, ale i starszyny, do której zaliczał się Andrea Villon.

Wieści były niepokojące, a co gorsza – niekonkretne. A brak

dostatecznej wiedzy na temat zagrożenia był tym, co zarówno mistrza, jak i doświadczonego nauczyciela adeptów – Andreę, niepokoiło najbardziej.

Xavril Ganti zadbał, by nikt nie przeszkadzał w spotkaniu. Zszedł wolno z tarasu, zobaczywszy na dziedzińcu otoczonym drzewami Villona; miał pewność, że trzech jego towarzyszy kryje się w pobliżu. To należało do zwyczaju. Zarówno dwóch przybocznych, jak i zawsze obecny neutralny obserwator nie przeszkadzali, dopóki nie było to konieczne.

– Witaj, bracie Villon – zaczął uprzejmie Ganti, zbliżając się do gościa. Był ubrany w tradycyjny aurelicki strój – ciemnozielony habit, pelerynę i kaptur, który teraz zdecydował się zsunąć z głowy na znak uprzejmości i chęci rozmowy. To samo uczynił Andrea.

– Witaj, Xavril. Cieszę się, że cię widzę. Czasy, kiedy miałem zaszczyt być twoim nauczycielem, wspominam wciąż z kojącą pogodą w sercu.

– Twoje serce zawsze było wielkie, nauczycielu – rzekł z szacunkiem Ganti. – Ale lata, które nas rozdzieliły, nie były łaskawe.

– Dlatego skupmy się na tym, co ważne – przeszedł do rzeczy Villon. – Zdrajca Trantignan nie żyje, dlatego być może to, co nas dzieliło, nie musi już niepokoić. Mistrz Luigi wyciąga do was rękę i prosi, abyście odwiedzili go w Chatillon lub być może w innym dogodnym miejscu.

Andrea nie miał oczywiście nadziei, że propozycja pokoju zostanie przyjęta, wierzył jednak, że jego słów Xavril nie odbierze jako obrazy. Celem było okazanie nie tylko zdecydowania, ale i otwartości. Ganti z łatwością to zrozumiał.

Do niego teraz należał następny ruch. Zdawał sobie sprawę, że Villon pyta w ten sposób o nową sytuację i o to, czy może ona w jakikolwiek sposób zagrażać interesom Chatillon.

Balea z pewnością swoją potęgą wielokrotnie przewyższał Trantignana i jego ludzi nawet w czasach, gdy ich bunt przed pięcioma laty osiągnął największą siłę. Co dopiero teraz, w rok po smutnych wydarzeniach zakończonych w spokojnej do tej pory siedzibie rywala Luigiego w Slazerhoffie. Po tej pamiętnej, krwawej nocy została zaledwie garstka buntowników, którzy by uniknąć gniewu mistrza, ukryli się tak skutecznie, że roztropny Balea zrezygnował ostatecznie z ich ukarania. Teraz jednak wieści, jakie do niego dotarły, musiały budzić zaniepokojenie, a być może obudziły dawny gniew. Nie lękał się oczywiście niedobitków zbuntowanych byłych aurelitów pod przywództwem Xavrila. Wzbudzało w nim jednak niepokój to, z jaką łatwością dali się znaleźć i wytropić, nie mówiąc już o tajemniczych działaniach, które przedsięwzięli kompletnie (być może tylko pozornie?) bez strachu przed potężnym mistrzem.

- Żyjemy w pokoju, uspokój mistrza Baleę, nauczycielu - odparł zgodnie z przewidywaniami Ganti. - Nie chcemy obrażać go swoim widokiem, ale zapewniamy o pełnej harmonii, której nikt nie odważy się zburzyć. Przysięgam, że to prawda.

Te ostatnie słowa zaskoczyły Villona. Tego typu pokora nie pasowała do ucznia Trantignana. Mógł przecież na tysiąc sposobów odmówić wizyty w Chatillon, a jednak zdecydował się ugiąć przed przedstawicielem wroga. Powody mogły być dwa: albo coś szalenie ważnego Ganti ukrywa i potrzebuje czasu, a istotne jest to dla niego tak bardzo, że właśnie popełnił wyraźny błąd, wzbudzając podejrzenia Villona, albo jest wręcz

przeciwnie – dokładnie wie, co robi, a więc już teraz trzyma w rękach argument, który, co oczywiste, prędzej czy później stanie się śmiertelnie niebezpieczny dla Chatillon.

– Dziękuję za twoje słowa – twarz nauczyciela wyrażała wyuczoną przez lata pewność siebie, spokój i ostrożny chłód. – Nalegam jednak na spotkanie, abyśmy mogli wyjaśnić dawne sprawy. To konieczne.

Andrea wiedział, że będzie zmuszony w końcu użyć siły. Xavril był zbyt mało doświadczony, aby umieć uspić jego czujność. Wciąż jednak próbował.

– Nauczycielu, przecież nigdzie się nie ukrywamy. Z łatwością nas znaleźliście. Nie mamy wrogich zamiarów. Dlaczego sprawiasz mi ból takimi podejrzeniami? Dawne niesnaski odeszły w przeszłość. Obaj wiemy, że nieroztropność mistrza Trantignana kosztowała nas sporo krwi. Ale on poniósł już karę, a my poddaliśmy się jej sami, cierpiąc na wygnaniu. Rozstańmy się w pokoju.

Teraz Andrea był już pewien, że problem jest większy niż przewidywano podczas Rady w Chatillon. Dał znak towarzyszącym mu trzem braciom, aby się przygotowali. Z obu stron zza drzew wyłonili się ubrani identycznie jak nauczyciel i Xavril dwaj aurelici, po czym dołączyli do Villona. Kilka metrów za nimi „niedotykalny” mnich – arbiter, zwany przez aurelitów *faxem*, czyli w języku założycieli bractwa „pochodnią pogrzebową” – skłonił się według zwyczaju i w przeciwieństwie do pozostałych nasunął głęboko kaptur na głowę.

– Dom, z którego wyszedłeś, wydaje się okazały – rzekł Andrea, postępując krok naprzód. – Chyba stosunkowo niedawno zbudowany. Dookoła piękny ogród. Dlaczego wybrałeś na siedzibę akurat ten kraj, Xavrilu?

- Jesteśmy tu tylko w gościnie.

- Czy pozwolisz, abyśmy także i my tu dziś zagościli?

- Nauczycielu, nie jesteśmy odpowiednio przygotowani.

- Tak myślałem - westchnął z troską w głosie Andrea. - Wiesz, że nie mogę wrócić bez ciebie, mój bracie. Nie sprzeciwiaj się, wiesz, że rozkaz mistrza Balei jest nieodwołalny.

- W niczym wam nie zagrażamy - spróbował ostatni raz Ganti. - Odejdźcie w pokoju!

- Daję ci moje słowo. Gdybym chciał cię zabić, nie rozmawialibyśmy w tym ogrodzie. Wojna skończona. To tylko prośba o to, byś zaufał. Chcemy jedynie wiedzieć, kim jest chłopiec i dlaczego tak bardzo wam na nim zależy?

Xavril drgnął. A więc macki Balei sięgają aż tak daleko. Spóźnili się. Teraz nie unikną starcia, a aurelici z Chatillon będą próbowali im przeszkodzić.

Ganti wolno wyjął spod habitu miecz. Podobnie zrobili przybocznicy Villona.

- Nie rób tego! - ostrzegł Andrea. - Chcemy tylko szczerych słów. Nie chcemy twojej krwi ani nikogo innego.

- Nie mogę pójść z tobą, nauczycielu - odparł Xavril. - Ale wiedz, że mówię prawdę. To, co teraz robimy, w żaden sposób wam nie zagraża. Chcemy po prostu, abyście zostawili nas w spokoju. Chcemy być wolni. Staję przed wami w rytualnym stroju, aby okazać szacunek. Aleja i moi towarzysze nie jesteśmy już tacy jak wy. Poszliśmy inną drogą i mamy inne zadania. Nie wtrącamy się do waszych interesów. Nie wkraczamy tam, gdzie sięga wasza władza. Pozwólcie nam odejść.

- A jednak nie używasz przeciwko nam broni palnej, ani też

jakiegoś podstępu, który splamiłby twój honor – zauważył z szacunkiem Villon. – W głębi serca zawsze pozostaniesz aurelitą, posłusznym naszym zwyczajom i prawom.

– Odejdźcie, nie chcę nikogo krzywdzić!

– Jesteś świetnym szermierzem, Xavril, sam uczyłem cię sztuki walki, ale teraz odłóż swój miecz. Każdy z rycerzy, których tu widzisz, byłby w stanie pokonać nie tylko armię alumnów, ale także każdego, kto kryje się w tym domu. Błogosławiłem osobiście wszystkich, którzy mieli szczęście osiąść naszą sztukę. Wszystkich, którzy opuścili mury Chatillon. Pamiętam każdego rycerza, który miałby szansę nam się przeciwstawić. I nie należy do nich żaden z twoich towarzyszy. Odłóż broń, chłopcze. Nie warto.

– Sam uczyłeś mnie prawa każdego aurelity do stawiania honoru na ostrzu swego miecza. Skoro nie mogę wykonać twojego polecenia, wolno mi się bronić.

– Rzykujesz życie, chłopcze!

– Balea i tak nie puści mnie żywego, nawet gdybym poszedł z wami.

Villon po raz kolejny głęboko westchnął.

– Zrozum, Xavril! Nie ma powodu pozbawiać cię życia. Mistrz Luigi nie żywi do ciebie urazy. Rozumie. Umie wybacząć. Inaczej nie wyrzekłby się zemsty. A jednak żyjecie.

Ganti uniósł miecz.

– Ostatnia szansa, abyście odeszli w pokoju.

Andrea dał znak aurelitom, którzy natychmiast ruszyli do ataku. Ku zdziwieniu Villona Xavril rozpoczął walkę wyjątkowo spokojnie. Odbił błyskawicznie pierwsze ciosy, a jego twarz nawet przez chwilę nie dawała oznak zaniepokojenia, lęku, czy nawet wysiłku. Andrea znał słabe strony swego byłego ucznia.

Był szybki, ale porywczy. Umiał pokonać przeciwnika wytrwałością i siłą, ale nie techniką, do której talentu zawsze mu brakowało. Tym razem jednak było w jego ruchach coś, co z sekundy na sekundę w umyśle nauczyciela budziło narastającą obawę. Swoim rzadko go zawodzącym instynktem wyczuwał, że jest świadkiem czegoś, co za chwilę skończy się tragicznie, a on nie umie znaleźć wytłumaczenia dla tego, co widzi. Ganti zawsze był szybki. Ale tego dnia jego szybkość i spokój były zdumiewające i niepojęte. Niemożliwe, aby przez cztery lata, kiedy się nie widzieli, zrobił aż takie postępy. Andrea uczył go od dziecka. Znał jego możliwości jak nikt inny. Teraz nagle w jego umyśle pojawiła się bezlitosna myśl, że wynik walki jest nieunikniony. Cięcie przez szyję Rafaela, a po chwili niemal niedostrzegalny cios przez głowę Jeana zgasiło życie w obu jego uczniach w ciągu kilku zaledwie sekund. Najgorsze jednak było to, że mógł to zrobić znacznie wcześniej, niemal w dowolnej chwili, ale podjął jeszcze jedną próbę, aby nauczyciel, zobaczywszy, co się dzieje, mimo wszystko kazał zaprzestać walki.

Andrea nie mógł już jednak zrezygnować. Skupiwszy w sobie całą energię i doświadczenie, ruszył na Gantiego. Każdy świadek oceniłby zgodnie, że ciosy Villona były mistrzowskie, płynne i zadane techniką dla zwykłego śmiertelnika niemal niedoścignioną. A jednak szybkość Xavrila pozwoliła mu zablokować każdy z nich, po czym wyprowadzić kontrę, raniąc nauczyciela w ramię, tak że broń wypadła mu z dłoni. Andrea upadł na kolana pod siłą uderzenia Gantiego i zamknął oczy, czekając na szybką śmierć. Xavril zaprzestał jednak walki, wytarł miecz i schował do *umuri* ukrytego pod habitem.

– Nie możesz już walczyć, nauczycielu – rzekł spokojnie. – *Fax arbiter* pomoże ci wrócić do domu. Jeśli takie jest twoje

życzenie, nasi bracia zostaną oddani Niebu według rytuału. Odejdź i przekaż mistrzowi Balei, że mu nie zagrażamy. Staralem się żyć w pokoju. To wy zmusiliście mnie do wyjęcia miecza.

Andrea uniósł wzrok. Nie bał się śmierci, a to, że jej uniknął, przyjął ze spokojem, nie pozwalając dostrzec w sobie zaskoczenia.

- Jak to możliwe, Xavrilu? - spytał tylko szeptem i upadł na trawę wyczerpany upływem krwi. *Fax* szybko podbiegł do niego, by opatrzyć ranę.

Ganti doskonale wiedział, o co pytał nauczyciel, ale odszedł w milczeniu. Gdy tylko zamknęły się za nim główne drzwi domu, spotkał go wzrok Tyhrona. Stał ubrany już po kąpieli na schodach, po których wolnym krokiem wspinał się Xavril, by pójść do siebie i zmówić modlitwę za braci, poległych przed chwilą od jego miecza. Zobaczywszy olbrzymia, zatrzymał się jednak, by przechwycić jego spojrzenie.

- Musiałem pozwolić mu odejść - odpowiedział cicho. - To da nam czas. Niewiele, ale powinno wystarczyć. Gdyby wszyscy zginęli, jutro mielibyśmy na karku całą armię aurelitów. Znam ich zwyczaje i taktykę. Musisz zawierzyć mojemu osądowi... Tak, moi ludzie zajmą się odpowiednio zmarłymi... Tak, przekazałem mu wiadomość. .. Nie, nie wiedzą o chłopcu, ale wiedzą, że istnieje. Sądzą, że robimy coś, co im zagraża. Dlatego nie pozwolą nam spokojnie odejść. Nasza taktyka dała tylko chwilowo dobry skutek. Teraz musimy naprawdę zniknąć. Jeśli nas znajdą, znowu poleje się krew. A to wszystko opóźni. Zrobiłem, co w mojej mocy.

Tyhron skinął głową i odszedł. Xavril przez chwilę stał jeszcze na schodach, zagłębiając się w myślach na temat tego, co

stało się przed domem. Nie wiedział, czy przekonał Tyhrona tym, co mówił. Siebie nie przekonał.

W głębi serca tkwił w nim niepokój, że nie zna sposobu na powstrzymanie Balei. Nikogo nie zdziwił fakt, że się bronił. Ale to, że pokonał trzech rycerzy aurelickich, wywołało alarm. Jedyną nadzieją w tym, że darował życie nauczycielowi, którego, o czym wszyscy w Chatillon wiedzieli, od dziecka kochał. Zresztą... niewielka nadzieja.

ROZDZIAŁ 2

Drzwi do sali zabiegowej otworzyły się i profesor Suchowski wolno wyszedł na korytarz, przeszedł kilka metrów, by zajrzeć do pokoju, w którym siedzieli Ola, Cipucha i Bzdet. Wyraz jego twarzy zdradzał nie tylko zaniepokojenie, ale też rzadką u lekarza tej rangi dezorientację, której chyba po prostu dziś nie miał zamiaru ukrywać. Kiwnął na Sambierską, po czym postanowił wrócić, skąd przyszedł. Oczywiście cała trójka wyskoczyła na korytarz za nim.

- Tylko ty - wskazał na Olę.

- Daj spokój, to przyjaciele - zaprotestowała szybko Sambierska.

- Nie są lekarzami ani rodziną.

Ola zmarszczyła brwi.

- Chyba żartujesz?! Znaleźli go, mają prawo znać jego stan!

- Gdybym żartował, to zrobiłbym sobie taką fryzurę jak on - Suchowski wskazał na Bzdeta. - Jak się dowiesz, o co tu chodzi, zgodzisz się, że nikt nie powinien wchodzić tam prócz ściśle wtajemniczonych lekarzy.

Sambierska była niemal pewna, że jeszcze jedno zdanie profesora, a Bzdet ku jej przerażeniu włączy się do dyskusji i zaprezentuje pełnię swego znanego wdzięku, a to będzie oznaczało ponad wszelką wątpliwość po prostu - awanturę.

- Słuchaj no, doktorku - wyłonił się z za jej ramienia punk, jakby usłyszał jej myśli. - Idziemy tam z tobą i dowiemy się wszystkiego, co wy wiecie o chłopcu.

- Jestem profesorem medycyny, młody człowieku! - rzekł wyniośle oburzony Suchowski, który jak wielu świeżo mianowanych był szczególnie na tym punkcie wrażliwy.

- Tak, od trzech miesięcy - przypomniał mu boleśnie Jurga, który właśnie wyszedł z gabinetu. - Wiedzą już o tym nawet na Marsie, więc skończ zatruwać ludziom życie. Wpuść ich.

Ciężko było nie zauważyć nuty zazdrości w złośliwym tonie Jurgi, ale ku zaskoczeniu wszystkich Suchowski zrezygnował z kłótni i zatrzymał się w połowie drogi między pokojem, gdzie przez prawie dwie godziny nudzili się jego kłopotliwi goście, a gabinetem.

- Nikt nie wejdzie na blok - odparł spokojnie.

- Mam to w dupie, idę do niego - zdecydował Bzdet. - A ten drugi doktorek, wyglądający na rozsądniejszego, wytłumaczy nam, co jest grane.

Przyklejona do niego Cipucha, choć nic nie mówiła, całą sobą wyrażała poparcie dla męża.

- Umiesz wymówić słowo: PRZEPISY?! - spytał z wyraźną irytacją w głosie Suchowski.

- To wzywaj gliny - wzruszył ramionami punk. - Ale zanim to zrobisz, obetnę ci ten przemądrzały nos i przypnę pineskami do tablicy ogłoszeń!

Ola stanęła między nimi.

- Spokojnie - uśmiechnęła się do ordynatora najbardziej przyjaźnie, jak tylko potrafiła. - Nie denerwuj się.

- On mi grozi! - zaczął się gorączkować, ale Sambierska wspięła się na palce i zatkała mu dłońią usta.

- Gdyby ktoś ci groził - szepnęła prosto do ucha - to wpadłby przypadkiem do twojej żony i opowiedział, co robiłeś w godzinach nocnych z panią doktor Witaliną Borysowną

Ruchlewą (przyznasz, że „nomen omen”?) na zjeździe w Petersburgu pół roku temu, gdzie tak prześlicznie wykladałeś na temat związków chorób krążenia z niektórymi psychozami. Międzynarodowe grono, ze mną na czele, było zauroczone.

Oderwała się od jego ucha i ponownie zaprezentowała uroczy uśmiech.

- Ależ potrafisz być... - syknął wściekły Suchowski, ale na szczęście zabrakło mu chyba słów, może dlatego, że Jurga, ciekawy, o czym tak szepczą, właśnie do nich dołączył.

- Słuchaj no, doktorku czy tam profesorku... - zaczął znowu Bzdet.

- Zamknij się! - ucięła szybko w jego kierunku Ola, nie rezygnując z uśmiechu.

Punk zamilkł w jednej chwili jak grób.

- Idziemy teraz do pokoju - ogłosiła wszystkim. - Tam niczego przepisy nie zabraniają. Pogadamy, a potem ustalimy, co dalej. A chyba mamy o czym pogadać, co wnioskuje z twojej miny, nastroju i rozdrażnienia, Marian. Mam rację?

Profesor kiwnął głową, ale wciąż z rozdrażnieniem patrzył na Bzdetę.

- Marian... - Ola postanowiła spróbować całkowicie zażegnać konflikt. - Mój przyjaciel, którego tu widzisz, bywa elokwentny w nieprzyjemny sposób, ale tak naprawdę nie skrzywdziłby muchy. Jest miłośnikiem pokoju i miłości wszelakiej. Ale gdy coś lub ktoś mu leży na sercu, bywa nadwrażliwy. Więc chodźmy do tego cholernego pokoju, gdzie nam wytłumaczysz, co tak cię przestraszyło na bloku operacyjnym.

Chwyciła go zdecydowanie za kark i pchnęła delikatnie w stronę pomieszczenia, z którego przed chwilą wyszli.

- Proponuję, aby wszystko, co powiem, na razie zostało w tym gronie. Dopóki tego nie wyjaśnimy - zaczął cicho Suchowski, kiedy już wszyscy usiedli w pokoiku.

- Żyje? - spytała szybko Sambierska.

- Tak.

- To najważniejsze - zauważyła ożywczo Cipucha, ale na szczęście na tym zakończyła wypowiedź.

- Kochanie, daj mu mówić - szepnął jej do ucha Bzdet, uprzedzając następne komentarze.

- Wzięliśmy go na blok, bo cholernie trudno było zdjąć ten jego strój - kontynuował profesor. - Udało nam się, nawet specjalnie go nie pokaleczyliśmy. Zrobiliśmy podstawowe badania, krew, echo, rezonans wszystkiego i sporo innych rzeczy, nieważne. Ważne, że... - zamilkł na chwilę i spojrzał na Jurgę.

- Mów - dodał mu odwagi wyraźnie zmęczony kardiolog. - Ja też to widziałem.

- Chłopak ma... jakby potrójny system organiczny.

- Co... słucham? - uniosła brwi Ola.

- Wszyscy mamy dwie nerki, dwa płuca, dwie półkule mózgowie, dwie gonady rozrodcze, a on... jest inaczej zbudowany.

- O kurwa! - wyraziła dość dynamicznie osłupienie Cipucha, która jednak nie wytrzymała napięcia.

- Ma tak jakby trzy płuca... - kontynuował Suchowski. - „Dwa podobne do naszych i trzecie, znacznie mniejsze, które robi wrażenie „zapasowego”. Jestem pewien, że podczas wysiłku daje mu to znacznie większą wydolność.

- Podobnie jest z sercem - włączył się Jurga. - Ma dwa

przedsionki, jak każdy, ale już cztery komory. Wszystkie połączone bezpośrednio z tymi przedsionkami.

- Co ciekawe - przejął znowu profesor - serce jest tylko w niewielkim stopniu większe od naszego, ale z pewnością znacznie wydolniejsze. Stawiam teorię, że ten chłopak może przebiec dziesięć kilometrów i czuć się tak, jakbyśmy my zrobili w tym czasie dwa przysiady.

- Coś jeszcze? - jęknęła Ola.

- Ma... cholera, wiem, że to idiotycznie brzmi... trzy nerki, na podobnej zasadzie jak płuca, nie ma za to wątroby ani trzustki. To znaczy ma, ale w innej formie... jednego, rozbudowanego, dość tajemniczego dla nas narządu. Jeszcze tego dokładnie nie zbadaliśmy. I pewnie prędko nie zbadamy. Ma czterokomorowy żołądek.

- Matko Boska! - złapała się za usta Cipucha.

- Tu akurat najmniej bym się dziwił. Wiele zwierząt ma żołądki kilkukomorowe. Krowa, łoś, żyrafa mają też cztery komory, wielbłąd trzy. Trawią dzięki wysoko wyspecjalizowanym bakteriom, których my nie mamy. Na szczęście dla palaczy.

- A to dlaczego? - spytała z kolei Cipucha.

- Krowa dzięki tym bakteriom wytwarza około trzystu litrów metanu dziennie - uśmiechnęła się Sambierska. - Gdyby przyjarała jointa, mogłaby wylecieć w powietrze jak butla z gazem. Przeżuwacze to takie właśnie chodzące butle z metanem, które w dodatku co chwila tym bekają. Więc jeśli masz opory przy jedzeniu wołowiny, wiedz, że krowy dzięki swojemu metanowi niszczą naszą strefę ozonową znacznie skuteczniej niż dawne lodówki.

- Może problemy ekologiczne zostawimy na później -

mruknął zmęczony Jurga.

- Przepraszam - zreflektowała się Ola. - Co z układem krwionośnym?

- W związku z tym, co mówiłem o sercu, układ krwionośny ma zbudowany nieco inaczej. Jego naczynia krwionośne są wyraźnie szersze, co poniekąd tłumaczy dostosowanie do większej ilości erytrocytów. Mózg i narządy płciowe niemal identyczne jak u nas, choć i tu są różnice.

- W mózgu, jak zgaduję? - westchnęła Ola.

- Tak. Ma bardzo niewielki dodatkowy płat potyliczny, sąsiadujący z ośrodkiem wzroku. Na rezonansie bardzo aktywny. Oczywiście nie mam pojęcia, do czego może mu służyć, nie jestem neurologiem.

- Co z krwią? - spytała znowu Sambierska.

- O dziwo, normalna, jak u nas - odparł Suchowski. - Zero, bez „rezusa”. Gęstsza, jak mówiłem, ma więcej erytrocytów.

- Jeszcze nie mówiłeś o kościach - przypomniał Jurga.

- Gdyby był człowiekiem, powiedziałbym, że jest ciężko chory na osteopetrozę¹, ale...

- A nie jest człowiekiem? - ożywił się oniemiały do tej pory Bzdet.

Profesor przez chwilę nie odpowiadał.

- Stawiam teorię, że... on jest zupełnie zdrowy. A skoro tak... to nie jest taki jak my. Więc może...

- Nie jest stąd?! - dokończył Bzdet.

- To pan to powiedział.

- Może jakiś wybryk natury? - rozłożył ręce Jurga.

- I uchowałby się niezauważony przez tyle lat? - pokręciła głową Ola. - Trzeba gdzieś zadzwonić.

- Gdzie? Do cyrku? - mruknął rozdrażniony profesor.

- Jeśli on nie jest stąd...

- Nie wierzę w żadne bajki o UFO - zachnął się Jurga. - Jak, skąd? Nagle szesnastolatek spada z nieba? Żadna planeta w Układzie Słonecznym nie nadaje się do życia. A żeby przylecieć spoza naszego Układu, musiałby z jakąkolwiek największą, ale możliwą prędkością podróżować kilka swoich żyć. To nonsens.

- O czym wy w ogóle mówicie?! - nie wytrzymała Cipucha. — Jakie UFO?! Macie na stole zwykłego chłopaka, tyle tylko, że... no, może ma trochę za dużo nerek, no i co z tego? Czytałam o dziewczynie z trzema, albo nawet czterema cyckami...

- Widziałaś na filmie ze Schwarzeneggerem, kochanie - przypomniał dyskretnie Bzdet.

- Słuchajcie - Suchowski podniósł do góry ręce, usiłując coś szczególnie ważnego powiedzieć. - Różni się anatomicznie, ale to człowiek.

- Tajne eksperymenty medyczne! - wybuchnął Bzdet. - To wszystko tłumaczy! Amerykanie, Rusczy albo Chińczycy!

- Jasne - zwiesił głowę Jurga. - Szybciej uwierzę, że spadł z nieba, niż że wyhodowali świetnie działający organizm, nowe narządy, inny układ krwionośny i zmodernizowali centralny układ nerwowy wraz z gospodarką gazową organizmu. Człowieku, sto lat wcześniej wymyśliliby uniwersalny lek przeciwnowotworowy, zanim dokonaliby czegoś takiego! Przy dzisiejszej wiedzy to tak, jakby nagle wystraszyli znikąd maszynę do podróży w czasie. A jako lekarz twierdę, że nigdy nie będzie możliwa sztucznie taka modyfikacja organizmu. I to tak złożonego. To może zrobić tylko natura, dzięki długiej ewolucji.

- Zgadza się - potwierdził poważnie profesor. - To

człowiek. I choć nie potrafię tego wyjaśnić, uważam, że mimo różnic to nasz gatunek.

- Może tylko o jakieś pięć procent różni mu się DNA... - wydumał filozoficznie punk, podpierając dłonią brodę stosownie do powagi sytuacji.

- Gdyby twoje DNA różniło się chociaż o jeden procent, byłbyś delfinem - zauważyła Sambierska.

- To też widziałam na jednym filmie - ucieszyła się Cipucha.

- A więc DNA z kosmosu, a komórki ludzkie! - klasnął w ręce Bzdet. - Połączyli je jak w tym filmie...

- *Gatunek* - przypomniała zawsze skora do pomocy żona.

Jurga pochylił się nad uchem Sambierskiej:

- Oni jacyś tacy średnio zbuntowani przeciwko systemowi...

- skrzywił się, pamiętając, o czym mówiła mu lekarka tuż przed wizytą na wsi.

- Są wielkimi kinomanami - wyszeptała w odpowiedzi Ola. - Co nie oznacza, że poddają się społecznym regulacjom i naciskom.

- Achaaa - sarkazm kardiologa dał się poczuć w całej sali.

- Coś mówicie? - zainteresował się profesor. - Jakieś nowe pomysły?

- Lepiej się zastanówcie, co zrobimy, jak się obudzi - zauważyła Sambierska.

- Już się obudził. Jest przytomny - wzruszył ramionami Suchowski.

- I dopiero teraz nam o tym mówisz?! - niemal wrzasnęła Ola.

- Jak się zachowuje? Boi się? Chce uciec? - zaczął pytać seryjnie Bzdet.

- Wręcz przeciwnie. Wygląda na zadowolonego. Jest uśmiechnięty, cieszy się, że go badamy. Jest... miły.

- No i...??? - Sambierska była wciąż zniecierpliwiona.

- No i nie umie mówić - przyszedł z pomocą Jurga. - To znaczy wydaje jakieś dźwięki, ale kompletnie bez sensu. Krtań, struny głosowe, cały aparat ma identyczny jak my. Ale nie umie się z nami porozumieć. Czasem patrzy przez dłuższy czas na kogoś, jakby się zakochał, i wtedy staje się trochę smutny. Później znowu weseleje.

- To jakiś przygłup? - spytał z niepokojem Bzdet.

- To już nie do mnie pytanie - kardiolog spojrzał znacząco na Olę.

- Mogę go zbadać? - zaproponowała Sambierska.

- To chyba na razie jedyny sposób, jaki mi przychodzi do głowy.

- Panie profesorze... - ku zdziwieniu wszystkich był to głos Bzdet. - Proszę pozwolić nam iść ze sobą.

Zaskoczenie Oli, która od pięciu lat nie słyszała, by punk kogokolwiek o cokolwiek prosił, było bezgraniczne. Doceniając jego wysiłki, postanowiła poprzeć go całą sobą. Jak się okazało, niepotrzebnie.

- Wy dwoje - zarządził tym razem już bez przynudzenia profesor - mycie, potem stroje z szafek. Ty, Ola, wiesz, co robić. Będę czekał w sali 16. Z nikim o niczym ani słowa, umowa stoi?

- Stoi - punkowie odpowiedzieli niemal jednocześnie.

- Nie martw się - poklepał go po ramieniu Jurga. - Nobel cię nie minie. Nikogo stąd nie wypuścimy, dopóki na mękach nie przysięgnie, że był świadkiem tego, że to twoje odkrycie.

Luigi Balea siedział od dłuższego czasu w milczeniu na

ławce. Podwórze otoczone od ponad pięciuset lat wysokim murem służyło mistrzowi przez większość dorosłego życia rozmyślaniami, wspomnieniom, przede wszystkim jednak kultywowaniu pamięci jego wielkiego nauczyciela – ojca Aureila, którego pół dekady temu zastąpił, przejmując władzę w wieku niespełna trzydziestu lat i stając się tym samym najmłodszym Wielkim Mistrzem Świątwa Aureliusza Marcellina w całej jego historii.

Od pewnego czasu przyjął się zwyczaj, że nikt – wyjąwszy braci dbających o czystość zamku i kluczników – poza Luigim w tym miejscu nie bywał. Choć zamek Chatillon miał wiele urokliwych zakątków sprzyjających medytacji, to jednak to podwórze stało się dla mistrza schronieniem. W Sali Kielichów czekano już na niego od ponad pół godziny, ale nie śpieszył się. To tu dobry ojciec Aureil kładł swoją dłoń na jego głowie, a mądrość starca oświecała czyny młodego rycerza, uczyła roztropności, cierpliwości i... przebiegłości. „Nigdy nie trać czujności, Luigi. Jeśli mimo wysiłków zbyt mało wiesz o swoim wrogu, oznacza to, że jest on potężny” – pamiętał jak dziś słowa Aureila. – „Więc nie próbuj za wszelką cenę pokonać go w pośpiechu. Nie walcz. Mów do niego. Twoje wysiłki zostaną wtedy nagrodzone, a przeznaczenie w odpowiednim czasie wręczy ci miecz. Nigdy się nie śpiesz. Lepiej się spóźnić na pojedynek z wrogiem, niż zginąć zbyt wcześnie”.

Balea wstał i wolnym krokiem skierował się do Sali Kielichów. Znajdowała się niedaleko, w północnym skrzydle na pierwszej kondygnacji. Jej wystrój był wyjątkowo cenny. Za potężnymi szybami w gablotach ściennych, w idealnych, sterylnych warunkach – w odpowiedniej wilgotności, temperaturze, a nawet specjalnie dozowanym dostępie światła

- stały naczynia, których używali najwięksi tego świata, żyjący jeszcze dawniej niż budowniczowie sędziwego Chatillon. Dzieła sztuki z metali szlachetnych i z drewna, w niektórych wypadkach z najdalszych miejsc globu, cieszyły oczy całych pokoleń braci aurelickich, nigdy jednak nikogo z zewnątrz. Od ponad pięciuset lat żaden człowiek spoza bractwa nie widział Sali Kielichów. Na środku osiemdziesięciometrowej sali stał drewniany, okrągły stół, w kształcie kielicha, przykryty również okrągłym, zdobionym szklanym blatem, o średnicy co najmniej czterech metrów. Stół liczył sobie nie więcej niż osiemdziesiąt lat, a jego pomysłodawcą był poprzednik Aureila - mistrz Ludwik de Cor- diniac. Zdaniem Aureila, a także Luigiego Balei, stół stanowił wyjątkowo niegustowny dodatek do tego świętego miejsca historii. Dosłowność psująca magię tej komnaty gorszyła subtelność i wyczucie obu ostatnich głów bractwa, ale myśli te zachowywali zawsze dla siebie i nigdy nie dowiedzieli się w końcu, co za fanaberia zmusiła zasłużonego przecież mistrza Ludwika do tak nieroztropnej niedelikatności wobec historii i sztuki. O stół jednak dbano tu jak o wszystko, a jak sądzić należy, stanowił on pewnego rodzaju naukę dla każdego, kto przy nim siadał, choć - ma się rozumieć - dla każdego inną.

Luigi wszedł do sali, odpowiadając na ukłony i wyrazy szacunku obecnych: nauczyciela Andrei Villona, sędziwego doradcy mistrza Pierre'a de Fleur, doświadczonego Jeana Perriera oraz sekretarza Alaina Forteila, bez prawa głosu w dzisiejszej naradzie.

- Jak rana? - spytał bez wstępów Balea, siadając na swoim miejscu.

- Powierzchnowa - odparł skromnie Villon.

- Ale jak rozumiem, skutecznie uniemożliwiająca walkę?

- Niestety, na co najmniej kilka tygodni - Andrea z bolesnym zakłopotaniem, ale i z godnością schylił głowę.

Balea przeniósł wzrok na swojego doradcę.

- Pierre?

- Obserwujemy wszystkich byłych ludzi Trantignana. W większości ci, którzy ocaleli, rozproszyli się po całej Europie, część nawet wyemigrowała na inne kontynenty. Liczą na twoją łaskę.

- Jasne - westchnął cicho Balea. - Kontynuuj.

- Starają się normalnie żyć, część nawet pozakładała rodziny. Jeden, co ciekawe, został tercjarzem, działa w Afryce, żyje w ubóstwie... To Fritz Lainbach.

- Boże drogi... - pokręcił głową z niedowierzaniem Luigi. - Były aurelita dominikaninem, tego jeszcze nie było.

- Czy mamy coś z tym zrobić? - spytał rzeczowo Perrier.

- Nie - mruknął zmęczonym głosem Balea. - Dopóki nie wpadnie na pomysł zorganizowania nowej inkwizycji, niech żyje sobie w spokoju. Zawsze był idiotą. Przystał do Trantignana z głupoty, nie z przekonania. Mów dalej, Pierre.

- Wszelkie tajemnice wiążące byłych braci są zachowane. Nasze źródła co do tego raczej nigdy się nie myliły - kontynuował de Fleur.

- To naturalne, jeśli chcą żyć. A skoro nie chronimy ich my, to gdyby ujawnili cokolwiek, sami skazaliby się na dożywotnie więzienie. Ale w tym miesiącu sporządź wyjątkowo szczegółowy raport na ten temat, przejrzę go w czwartek.

- Tak, Mistrzu.

- Przejdźmy do sedna - zdecydował Balea. - Dlaczego mamy kłopoty z Xavrilem Gantim?

Głos Luigiego był jak zwykle perfekcyjnie spokojny, jakby wyciszony. Sprawiał wrażenie przemęczonego, ale starsi bracia, znający go od lat, wiedzieli, że tak reaguje na wszelkiego rodzaju komplikacje i... paradoksalnie, wtedy najjaśniej myśli. Zawsze w takich momentach mówił cicho, chłodno, bez emocji. Nikt, nawet dwukrotnie od niego starsi doradcy, nie śmiał mu wówczas przerywać, lub tym bardziej wchodzić w spór.

- Jako jeden z niewielu po masakrze w Slazerhoffie się ukrywał. Do dziś myśli, że to my.

- Nigdy nie wiemy, co kto myśli - wtrącił niedbale Balea. -
Mów dalej.

- Znaleźliśmy go dopiero po siedmiu miesiącach.

- Sam dał się znaleźć - poprawił Andrea Villon.

- To kwestia interpretacji - upierał się de Fleur.

- Zaryzykował. Niemal przykleił sobie tabliczkę z napisem „tu jestem”. Zaczął pokazywać się w miejscach publicznych, latać samolotami, otworzył sklep z antykami. Stał się normalnym biznesmenem. Zamieszkał w Polsce.

- Kiedy zaczęły się kłopoty?

- Gdy zginęło dwóch ludzi, którzy na co dzień „opiekowali się” nim.

- Aurelici?

- Nie. Zwykli agenci pracujący dla nas.

Balea rozłożył ręce.

- O co tu chodzi?

Pierre wymienił spojrzenia z Jeanem.

- Nigdy wcześniej ani nigdy później się to nie zdarzyło. Nie ryzykował zabijania obserwujących go cywilów. A teraz wzbudził naszą uwagę i naraził się na kłopoty z policją.

- Kto z nim jest? – spytał mistrz.

- Jego dawni przyboczni, Roe Rasmussen i Kimi Suolainen.

- Nie znam ich.

- Są wychowankami mistrza Yarvenpego z Helsinek. W Chatillon byli tylko na pasowaniu. Ganti jest uczniem mistrza Villona.

- Wiem. Przypomnij, od kiedy Ganti pracował w Skandynawii?

- Od... – Pierre wyciągnął notatki, by na chwilę na nie zerknąć – ...piętnastu lat. Mistrz Aureil wysłał go tam pół roku po pasowaniu.

Balea głęboko nabrał powietrza do płuc.

- Rozumiem, że sądzicie, iż ci agenci zobaczyli coś ważnego, co nie mogło dotrzeć do nas, i dlatego zginęli. A teraz Xavril dalej odgrywa komedyjkę, że jest czysty i tylko się bronił przed, na przykład, policją?

- Tak – skinął głową Pierre.

- Z tego, co pamiętam, nauczycielu – tu Balea zwrócił się do Villona – Ganti był zawsze bardzo bystry, ale jako żołnierz raczej się nie wyróżniał?

- Technicznie był przeciętny. Nadrabiał szybkością, pracowitością i zaangażowaniem – podsumował Andrea.

Luigi znowu rozłożył ręce, jakby nie rozumiał.

- Więc wytłumaczcie mi, jak to możliwe, że inteligentny rycerz aurelicki pozwala sobie na takie błędy, a później jeszcze korzysta z prawa obrony honoru, zabija sprawniejszych od siebie uczniów Villona i rani jego samego? Andrea, odkąd byłem dzieckiem, nie pamiętam, abyś przegrał walkę. Potrafiłeś nauczyć pokory nawet Io- sifa Punina, świeć Panie nad jego

duszą. Co się, na Boga, stało?!

Nauczyciel nie odpowiedział, ale spuścił wzrok, co oznaczało prośbę o rozmowę w cztery oczy.

- Dobrze - zdecydował Balea. - Dziękuję wszystkim, opuście nas teraz. Alain, przynieś mi do pracowni wszystko, co mamy na temat Xavrila Gantiego i tych dwóch Skandynawów. Jutro będę chciał porozmawiać z mistrzem Yarvenpem.

- Tak, Mistrzu - Alain Forteil uklonił się, a następnie wyszedł z komnaty. Za nim podążyli Pierre de Fleur oraz Jean Perrier.

Gdy Villon i Balea zostali sami, mistrz położył rękę na ramieniu nauczyciela.

- Co tam się stało, Andrea? Od śmierci Iosifa i Adera Rodego nie mamy lepszego szermierza od ciebie. Czy on użył broni palnej? Miał pomocników?

- Nie, Luigi - odparł cicho nauczyciel. - Pokonał mnie w honorowej walce, a zapewne darował mi życie tylko dlatego, abym ci to teraz powiedział.

- Wszyscy wiedzą, że cię kochał.

- Sam dobrze wiesz, że i jego, i ciebie uczyłem, że serce to ostatni doradca, jakiego pytamy o zdanie podczas walki.

Balea spojrzał nauczycielowi prosto w twarz.

- Widzę w tobie strach, Andrea. Co mam zrobić? Nigdy nie widziałem cię takim, a znam cię, odkąd pamiętam!

Villon wstał z fotela i zaczął wolno chodzić po komnacie.

- Posłuchaj, Luigi. On walczył jak sam Kapłan. Był tak szybki...

- Nie wierzę, by Kapłan go szkolił, to niewyobrażalne! - Balea również wstał. Zacisnął mocno usta i zaczął coraz intensywniej myśleć.

- Ja też nie wierzę - zgodził się Villon. - Ale nawet on nie dałby rady w tak krótkim czasie nauczyć czegoś takiego. Zresztą...

- Mów!

- Tu nie chodzi o technikę. Poprawił ją tylko nieznacznie. Jego ruchy po prostu stały się niewyobrażalnie. .. szybkie. Ja za nim zwyczajnie nie mogłem nadążyć.

I on o tym wiedział. Był spokojny, cierpliwy, pewny wygranej. Znał swoją przewagę. Prosił o zaprzestanie walki. Nie chciał nikogo zabić.

- O mój Boże... — Balea ukrył twarz w dłoniach. - No, to teraz mamy prawdziwy problem.

- Luigi... Jeśli on nawet stał się aż tak sprawny, wraz z jego przybocznymi jest ich tylko trzech. Ja też chcę to wyjaśnić, ale coś mi mówi, że Xavril nie atakuje nas. Wręcz przeciwnie, usiłuje za wszelką cenę udowodnić, że trzyma się z dala od naszych interesów.

Balea podszedł do gabloty ze swoimi ulubionymi drewnianymi kielichami z XIV wieku, sprowadzonymi z Włoch.

- Pamiętam takie zdanie z jednej z twoich lekcji. Potem wielokrotnie jeszcze przypominał mi je mistrz Aureil - rzekł znowu ciszej. - Nieważne, czy jest ich garstka, czy armia. Dwunastu prostych Żydów pod wodzą aramejskiego cieśli stworzyło religię, która zmieniła świat na zawsze. A jeszcze do tego jeden z nich był zdrajcą. Więc nie mów mi, ilu ich jest, tylko jakim sposobem i od kogo dostali taką potęgę we władanie. Nie mów mi, że przeciętny szermierz nagle zaczyna walczyć jak Kapłan, i to jest przypadek.

Balea odwrócił się od gabloty.

- Nie ma takich przypadków! Jeśli historia czegoś nas uczy,

to przede wszystkim tego, że królowie, którzy wierzyli w przypadki, upadali najwcześniej! Niezależnie od tego, czy to jakiś tajemniczy narkotyk, piorun z nieba czy sam Bóg, ja muszę wiedzieć, kto mu to dał! A przede wszystkim... dlaczego?!!!

Luigi opadł na fotel.

- Teraz z pewnością się ukryje - ciągnął już spokojniej. - I to tak, że odnalezienie go będzie graniczyło z cudem. Nawet dla nas. Darując życie tobie i *faxowi*, chciał kupić trochę czasu. I udało mu się. Teraz, zamiast go ścigać, zastanawiamy się, co się dzieje. Ale zrobimy tak, jak chce. Poczekamy. Aureil zawsze mnie uczył, że jeśli wróg się zbyt dobrze ukrywa, trzeba poczekać. Wykorzystać ten czas na przygotowania. On sam nas w odpowiednim czasie odnajdzie. A jeśli tak się nie stanie, to znaczy, że nie był naszym wrogiem. Cała sztuka to być gotowym.

- Jeśli wróg zamknie cię w pułapce bez wyjścia, usiądź i medytuj - dopowiedział Villon. - Nie krzycz na pomoc, nie wal głową w mur. Usiądź i medytuj.

- Właśnie, Andrea. Tak zrobimy. Niedocenienie go skończyło się śmiercią dwóch naszych braci. Nie popełnimy drugi raz takiego błędu. Przypomnij, co było jego przykrywką?

- Sklep z antykami. Widziano go tam z potężnym mężczyzną, być może zatrudniał go jako ochroniarza.

- Coś o nim wiemy?

- Ponad dwa metry wzrostu, wygląd kulturysty. Bardzo jasne, niebieskie oczy. Wszyscy czterej tam pracowali.

- A o co chodzi z tym chłopcem?

- To niejasna wiadomość od tych zlikwidowanych agentów. Zachowała się ich rozmowa świadcząca o tym, że Xavril poszukuje pewnego szesnastoletniego chłopca. Miło

wyglądającego blondyna, którego pomaga odnaleźć rodzicom. Dzieciak zwiął z domu.

- Dziwne.

- Tym bardziej że tak sprawny aurelita, jego dwóch przybocznych i stuczterdziestokilogramowy atleta nie potrafią złapać dziecka od ponad miesiąca.

Balea znowu zaczął spacerować po pokoju, intensywnie myśląc.

- My też kiedyś szukaliśmy niepozornego księdza, pamiętasz? - spytał, unosząc brwi, Luigi. - I nie mogła go dorwać cała armia rycerzy aurelickich.

- To nie może być Kapłan!

- Oczywiście, że nie. Nie ma szesnastoletnich Kapłanów Wiedzy. Przynajmniej historia naszego świata nie zna takiego przypadku. Ale założmy naszą niewiedzę. Istnieje coś, być może niezwykle ważnego, o czym nie wiemy.

- A więc?

- A więc zrobmy to, czego uczył Aureil. Usiądźmy i medytujmy, dopóki tajemnica nie ukáže nam swojego oblicza.

- Agentów za Xavrilem oczywiście posyłamy natychmiast?

- Oczywiście. Najlepszych, jakich mamy do dyspozycji. Tylko nikogo z naszych. Przekaż to Perrierowi.

- Tak jest, Mistrzu.

- I jeszcze dziś leć do Helsinek. Będziesz tam moimi ustami.

Villon skinął głową.

- Z ręką w porządku? - spytał jeszcze raz Balea.

- To nie stanowi problemu. Mam odpowiednie leki.

- Wybacz, że to ciebie proszę o tę przysługę, nauczycielu, ale w tej akurat sprawie tobie ufam najbardziej.

- Postaram się tym razem nie zawieść.
- Nie zawiodłeś - Luigi poklepał go po ramieniu. - Wiem, że równie skutecznie umiesz walczyć lewą ręką.
- Ale o tym wiesz tylko ty - po raz pierwszy tego dnia Andrea Villon się uśmiechnął.

Chłopiec leżał spokojnie na stole operacyjnym i przyglądał się wszystkim obecnym stojącym wokół niego. Pilnujący pacjenta pielęgniarz postanowił po angielsku się upłynnić i w chwilę po tym, jak do obu kardiologów dołączyli Ola, Cipucha i Bzdet, zniknął niemal niezauważony z sali.

- On musi tak leżeć na tym stole? - spytała Sambierska, patrząc na dzieciaka.

- Nie chcemy go denerwować, niczego nie rozumie - wyjaśnił Suchowski, uśmiechając się w stronę pacjenta.

- Kto o tym wie oprócz nas?

- Facet, który przed chwilą stąd wyszedł, i jeszcze laborant. Są trochę wystraszeni, obiecali na razie zachować milczenie - odpowiedział profesor. - Zresztą nawet gdyby chcieli zarobić, opowiadając o tym jakiemuś „Faktowi”, wyśmiano by ich. A lepiej nie stracić pracy.

- Jasne - pokiwał głową Bzdet. - Służba zdrowia to same kokosy, wszyscy umierają z zazdrości, patrząc na zarobki pielęgniarzek.

- Nie powiedzą - potwierdził Jurga. - Zresztą żaden z nich nie wie wszystkiego. Każdy, szczególnie w tym środowisku, boi się śmieszności.

- Co to za ranka na jego przedramieniu? - spytała Cipucha.

- To ślad po badaniu osteologicznym, to minimalne...

- Co?! - Sambierska poczerwieniała ze złości. - Dręczyłeś chłopca, żeby wywiercić mu dziurę w kości?!

- Był nieprzytomny!

- A skąd wiesz?! Już tak dobrze znasz się na jego anatomii? Kto ci kazał robić badania inwazyjne? To nie jest zwierzę!

- Dałem mu środki znieczulające!

- I skąd wiesz, jak na niego podziałają? Może dla niego zwykły panadol to trucizna!

- Wiesz, jak wyszło badanie gęstości?! Jego kości to niezwykła zagadka...

- Jesteś ortopedą?!

- No jasne! - zezłościł się wreszcie Suchowski. - Sprowadźmy tu cały PAN, dopiero będzie cyrk!

- Ale jednak z ciebie dupek!

Chłopiec, widząc kłótnię, nagle posmutniał, ale za chwilę spotkał się wzrokiem z Bzdetem i jego twarz ponownie wypogodniała. Punk, który nie zwracał uwagi na lekarzy, przyglądając się pacjentowi, w pewnym momencie drgnął jak rażony prądem, a jego oczy przez chwilę zaczęły wyrażać prawdziwe przerażenie. Pacjent i Bzdet magnetycznie wpatrzeni w siebie natychmiast wyciszyli kłótnię.

- Jezu, co ci jest, Mopiku?! - jęknęła przestraszona Cipucha, ale widząc, że chwilowy lęk męża przeradza się w zagadkowe skupienie, złapała go tylko za rękę, zerkając to na chłopca, to na niego.

- Bzdet... - Ola również zbliżyła się do punka. - Wszystko w porządku?

Obaj nie zareagowali. Wciąż patrzyli sobie w oczy, jakby ktoś ich zahipnotyzował.

- Mopiku!!! - nie wytrzymała Cipucha. - Powiedz coś!!!

- Nic mi nie jest - szepnął cicho, chwytając silnie za rękę żony. - Patrz w jego oczy. Nie bój się...

- Co wy wyrabiacie? - teraz z kolei poważniej już zaniepokoiła się Sambierska.

Obaj kardiologrzy spojrzeli tylko po sobie i zbliżyli się do stołu.

- On mówi... - szeptał ledwo słyszalnie Bzdet. - Mówi do mnie...

- Nie słyszę... - jęknęła Cipucha.

- Patrz w jego oczy.

- Aaa... - teraz ona poczuła silny dreszcz i zamarła podobnie jak Bzdet.

- To już naprawdę robi się cyrk - zniecierpliwił się Suchowski, obserwując, jak Sambierska robi to samo co dwoje punków.

- Za szybko... - szepnęła Cipucha.

- Ksiądz... - dopowiedziała niemal automatycznie Ola.

- To pojęcia, nie wyrazy - Bzdet mówił jak w transie. - Próbuje do nas dotrzeć... dajmy mu czas... To nie ksiądz...

- Ksiądz... - upierała się Ola.

- Uciekaj, chłopczyku... przez ciemny las... - zaczęła cicho nucić Cipucha.

- Słyszysz melodię?! - Bzdet zaczął coraz szybciej oddychać.

- ...zapomnij o słońcu... powstrzymaj czas...

- Ksiądz - powtarzała jak w transie Ola.

- Nie ksiądz... Kapłan! - Bzdet oderwał nagle wzrok od chłopca i spojrzał znowu przerażony na Sambierską.

Lekarka zrobiła to samo, zamykając na dłuższy czas oczy,

aby odpocząć.

- Kapłan... - powiedziała cicho.

- Jaki kapłan, o co wam chodzi, co wy wyrabiacie?! -
denerwował się profesor.

- Ale jaja - mruknął pod nosem Jurga.

Ola otworzyła nagle oczy.

- On pyta o Kapłana... A już myślałam, że nie może być
dziwniej.

ROZDZIAŁ 3

Krzysztof Lorent wyszedł na pomost z *kualuu* – długiej, zbitej z drewna balsa i trzciny totora łódki, którą przed chwilą dobił do brzegu. Wyjął skrzynię z zapasami na najbliższy tydzień i podał ją czekającemu na niego Indianinowi. Nazywał się Miyapre. Zajmował się zabezpieczaniem jedzenia przed drapieżnikami i insektami oraz planowaniem „zakupów”. Można by rzec, że był kimś w rodzaju kwatermistrza, który na czas pokoju zajmował się zaopatrzeniem wioski. Jak większość Indian Kaneczua, był niewielkiej postury, jego skóra miała ciemnobrązowy, a miejscami nawet kawowy kolor, prezentował zwykle – niemal przyklejonym do twarzy uśmiechem – niezmienny optymizm i oczywiście nigdy nie słyszał o czymś takim jak majtki. Miał za to cienki, zielony sznurek, którym codziennie owijał się dookoła mniej więcej na wysokości klatki piersiowej, i gdyby go nagle tego pozbawiono, czułby ogromne skrępowanie i wstyd. Podobne sznurki zwant*pikadu* dostawał od ojca każdy męski członek plemienia, jak tylko stawał na nogi i był w stanie przejść samodzielnie od chaty wodza do „drzewa przodków” – najstarszej i największej w okolicy ceiby². Kobiety również miały przepaski, ale koloru dojrzałego zboża, noszone niżej, w okolicach pasa, na których wieszały sobie liczne ozdoby, najchętniej jak najdłuższe, zwisające swobodnie niemal do ziemi. W ten sposób każda z nich przystrajała sobie coś w rodzaju radośnie kolorowej spódnicy, nie jednej zresztą, bo na każdą okazję wdziewały inną. Dorosła kobieta z Kaneczua

miała takich strojów od dziesięciu do piętnastu. Mężczyźni również zmieniali opaski w zależności od pory dnia lub święta, ale od ozdób stronili. Wbrew temu, co się czasem sądzi o Indianach, mężczyźni z Kaneczua uważali przesadne zdobienie się za zdecydowanie niemęskie.

- Gdzie jest Uá? - spytał Krzysztof, łapiąc z drugiej strony skrzynię z zapasami, by wraz z Miyapre zanieść ją do chłodnej spiżarni położonej na północy wioski.

- Uprawia tę dziwną gimnastykę z młodymi dziewczętami. Jak to ona - odparł Indianin.

Lorent westchnął i pokręcił głową z zakłopotaniem.

- Nie rozumiem, dlaczego jej tego zabraniasz, Mantu. To miłe i chyba ciekawe zajęcie - stwierdził Miyapre.

- Nikomu niczego nie zabraniam — uśmiechnął się Krzysztof. - Jest wolną osobą i może robić to, co podpowiada jej umysł i dusza.

- Ale nie pochwalasz tego, Mantu. Tak jak ja nie pochwalam tego, że mój syn interesuje się wszystkim, tylko nie tym, co bogowie zsyłają na nasz dom.

- Jest ciekawy świata - odparł łagodnie Lorent. - Nigdy nie był za wodospadami. Jest młody. Chce się uczyć.

- Ciekawe, że nie spytał nigdy ciebie, dlaczego ty, który znasz tak dobrze świat, jesteś tu i jakoś nie ciągnie cię tam z powrotem.

Krzysztof skłonił głowę z szacunkiem, ale postanowił roztropnie przemilczeć tę uwagę. Postawili skrzynię w przygotowanym do tego dole i nakryli wielkimi liśćmi *bukwe*.

Miyapre usiadł na pobliskim pniu, żeby chwilę odpocząć. Wyraźnie jakoś nagle spowaźniał i, co rzadkie u niego, zaczął wyglądać na zafrasowanego.

- Widzę, że chcesz mi coś powiedzieć - wyręczył go Lorent. - Usiądę więc obok ciebie i uważnie wysłucham.

Indianin rozważał przez chwilę, czy powinien jeszcze przez pewien czas dać się ponamawiać Krzysztofowi, ale w końcu zabrakło mu cierpliwości i zaczął prosto z mostu.

- Lękam się jego braku szacunku dla bogów. Nie ma w nim pokory - wzruszył bezradnie ramionami. - Nie daję sobie rady, a jego matka tylko traci nerwy...

- Na pewno tylko o to chodzi? - spytał kontrolnie Krzysztof. Teraz Miyapre jednak zamilkł, i to na dość długo.

- Kiedy przybyłem tu, twój syn dopiero uczył się napinać łuk, teraz jest już myśliwym. A jedną z pierwszych osób, przeciwko której wymierzył strzałę, byłem ja - znów przyszedł mu z pomocą Lorent. - Zawsze był jednym z najodważniejszych chłopców w wiosce.

- To prawda - przyznał Indianin. - Dziś kocha cię, jakbyś był jego ojcem.

- Ty jesteś jego ojcem i to ciebie prawdziwie kocha. Ja tylko go ciekawię - poklepał go po ramieniu Lorent.

- Pójdę po Kuelę, żeby zasoliła mięso. - Miyapre próbował wstać, ale Krzysztof wiedział, że jego wierny przyjaciel nie chce odchodzić i potrzebuje nieco bardziej szczerzej rozmowy. Nie zdejmował więc dłoni z jego ramienia.

- Lękasz się, że to, co nieznanne, prędzej czy później nadejdzie - rzekł cicho. - Nad waszymi głowami latają samoloty, za wodospadami ludzie budują potężne miasta, a twój syn tęskni właśnie do tego, co wzbudza twój niepokój.

Indianin pokiwał smutno głową.

- Samoloty latają nad nami, odkąd byłem dzieckiem, a wielkie miasta rosną za wodospadami od setek lat. Ale kiedy

ojciec mojego ojca opowiadał mi, jak na długo przed moim urodzeniem przybyli tu ludzie w czarnych strojach, by przynieść do nas swojego boga, przodkowie w snach doradzili im, żeby przybić ich do krzyży, które mieli ze sobą, i oddać wodospadom. Przodkowie mieli rację. Już nie wrócili.

- To nie było chyba zbyt miłe z ich strony, Miyapre - wtrącił delikatnie Krzysztof.

- No wiesz, Mantu, takie czasy. Z duchami przodków ja tam bym się nie kłócił. Być może podpowiadali nam, że nasze dusze nie pasują do miast za wodospadami i do tego, by być ptakami. Kiedy umarł mój ojciec, czułem smutek. Nieznane do tej pory uczucie opanowało całego mojego ducha. Poznałem, czym jest nieszczęście, i choć każda wiedza to garść nasienia, jakie daje ziemi, po której stąpamy, jeszcze bardziej nieskończoną mądrość. .. Być może jednak warto część tej wiedzy zostawić bogom. Bo gdy pierwszy raz cię ujrzałem, gdy zasiadłeś w moim domu, gdy spożyliśmy *makki*, w twoich oczach zobaczyłem coś, czego lękam się do dzisiaj. Moje nieszczęście było niczym w porównaniu z tym, co przywiozłeś w swoim duchu pięć wielkich deszczów temu.

Miyapre spojrział w oczy Lorentowi.

- Teraz, po takim czasie, masz w sobie nie tylko wielką mądrość, ale i spokój. Podobnie jak Uá, której czarny duch był jeszcze bardziej przerażający, gdy postawiła tu pierwszy raz swoją stopę. Więc powiedz mi, Mantu, dlaczego nie chcesz już latać jak ptak ponad naszymi głowami, a wielkie miasta zostawiłeś za wodospadami?

Krzysztof westchnął głęboko.

- Wiedz, mój przyjacielu, że szczególnie w obecności twojego syna i innych chłopców zaoszczędziłem wam wielu słów, które

są kuszące, a później zsyłają rozczarowanie. Wiele z tego, co może wydawać się mądre i wielkie, warto zostawić za sobą, by móc żyć w zgodzie z duchem natury. Dlatego pozwól mi część tego nasienia, o którym mówisz, zostawić za wodospadami, bo zasiane tutaj, tylko zatruloby waszą ziemię.

– Powiedz po ludzku, nie chcesz o tym mówić? – skrzywił się Miyapre.

– Tak. I chyba to dobry pomysł – przyznał Lorent. – Mnie i Ui jakoś nie przybiliście do bali z drzew i nie spuściliście wodospadem, choć też kiedyś nosiłem czarny strój, o którym mówił twój dziadek.

– No cóż – wzruszył ponownie ramionami Indianin – takie czasy. Przodkowie nie kazali.

– To z kolei miło z ich strony – uśmiechnął się Krzysztof.

Miyapre wciąż jednak był zachmurzony.

– Ale to nie zmienia faktu, że nasi synowie być może kiedyś jednak stąd odejdą. A wtedy wszystko się zmieni. Bo przyjdą tu biali, inni niż ty.

– Każdy boi się nowego. Ale jak sam mówiłeś, miasta rosną od setek lat, a Kaneczua trwają i wzbudzają strach. Nikt nie ma odwagi nawet tu się zbliżyć.

– Iii tam! – machnął ręką ze zrezygnowaniem Indianin. – Tę głupią legendę podtrzymują policjanci i bazarze z Furtalatos, bo im za to płacimy łodziami. My już nawet nie umiemy porządnie polować. Nikt tu od lat nie złapał przyzwoitego tapira, nie mówiąc o jakiejś sensownej pumie. Mówisz, że mój syn to myśliwy. Jak ustrzeli z łuku rybę raz na pięć dni, to dobrze. Wszystko kupujemy od Kaneczua z południa lub, jak dzisiaj, od Tugurów zza rzeki. Ja już nawet mówię tak jak ty.

– To tak bardzo źle? Przecież możesz mówić, jak chcesz. To ja

mówię waszym językiem, a nie wy moim.

- Kiedyś to się mówiło... - rozmarzył się Miyapre. - Pięć słońc temu przy drzewie ojców spłynęła na wielkiego wodza łaska bogów i połączył w szczęściu Meę i Bowa- gindę na tysiąc wielkich deszczów. A teraz co? - znowu ze zrezygnowaniem machnął ręką. - Pięć dni temu nasz wódz był tak pijany, że zapomniał dać ślub Mei i Bowagindzie, i teraz siedzą obrażeni w swoich domach, a skacowany Wielki Jaguar kłóci się z żoną, kto ma pójść ich przeprosić.

- No, chyba on jest winny? - spytał nieśmiało Krzysztof.

- A skąd! Pili razem. Nic szacunku dla tradycji.

Lorent i Miyapre siedzieli przez chwilę w zamyśleniu.

- Jesteście świetnymi rzemieślnikami - postanowił nie poddawać się Krzysztof. - Dzięki waszym łodziom i meblom wioska jest tak bogata, że nie musicie polować, a nawet uprawiać zboża.

- No i to ma być życie? - nie dawał się pocieszyć Indianin. - Za wodospadami myślą, że łodzie produkuje Nascimento, a meble - fabryka.

- Ale za to my tu mamy spokój, a Kaneczua to najstraszniejsze i najbardziej krwawe plemię na całym kontynencie - uśmiechnął się szeroko Lorent.

- Jasne, zamordowaliśmy w ostatnim miesiącu chyba ze dwie ryby.

- Oj, Miyapre! Zawsze jesteś taki uśmiechnięty, taki optymistyczny. Każdy dzień witasz uśmiechem, rozmawiasz z bogami, jak każe tradycja, i jesteś wspaniałym przyjacielem, na którego zawsze można liczyć. Nie lubię tych twoich nastrojów, jak tylko zbliża się pora deszczowa...

- Może masz rację - przyznał Indianin i nawet spróbował

przywołać z powrotem uśmiech na swoje oblicze. – Trzeba rozmawiać z bogami. Jeśli nawet tego zaprzestaniemy, to co nam zostanie?

– Miyapre... – mruknął zniecierpliwiony Lorent.

– No dobrze, dobrze... już przestaję. Trochę tylko się martwię...

– Wiem, ale przesadzasz.

– No, może trochę.

– Na pewno.

Indianin wstał, jakby miał się zająć pracą, ale jeszcze zatrzymał się na chwilę.

– Przypomnij, jak się nazywają twoi bogowie, z którymi ty rozmawiasz?

Krzysztof westchnął.

– Wielokrotnie ci już mówiłem: mój Bóg jest jeden, tyle tylko, że w trzech osobach. Bóg Ojciec, Duch Święty i Syn Boży, który zstąpił na ziemię jako Mesjasz, by umrzeć za nasze grzechy... to znaczy, no... błędy. Umarł na krzyżu.

– Przybili go do krzyża...

– Przecież tyle razy ci o tym opowiadałem.

– No tak, ale co oni z tymi krzyżami? Nie mogli go porządnie wbić na bambus albo rzucić lampartem?

– Miyapre, dla mnie to nie jest legenda. Dla chrześcijan, czyli tych, którzy... – tu zastanowił się chwilę, co najszybciej dotrze do wyobraźni jego dociekliwego przyjaciela – no, dla tych, którzy... rozmawiają z Bogiem w trzech osobach, Jezus Chrystus, Syn Boży i Jego śmierć to sens życia i postępowania. Kierujemy się Jego naukami.

– To ja pójdę po Kuelę. Posolimy mięso – po krótkiej

przerwie znany optymizm Miyapre znów zagościł w jego duszy.

- Świetny pomysł - odparł Krzysztof Lorent.

Tym razem ordynator zamknął się wraz z gośćmi w swoim gabinecie, co doktor Jurga uznał za niemal tak samo szokujące jak wyniki dzisiejszych badań. Gabinet Suchowskiego, zwykle niedostępny dla nikogo, bywał otwierany, ale tylko wtedy, gdy służył do dręczenia podwładnych. Jurga na tyle często bywał u swojego dawnego przyjaciela, by o tym doskonale wiedzieć.

- Mówcie, do cholery, co tam się stało?! - me bawił się w ceregiele profesor, zadawszy to pytanie, jak tylko zamknęły się za nimi drzwi.

- Ten pielęgniarz da sobie radę? - spytała na wszelki wypadek Sambierska.

- Nie bój się, mamy tu na co dzień Marsjan i gości z innych galaktyk. Co on wam zrobił?!

- Nic - odparł spokojnie Bzdet. - Próbował się porozumieć.

- Telepatia?!

- Nie tak, jak to się rozumie potocznie - przysłała z pomocą Ola. - Zresztą nie wierzę w takie rzeczy.

- A teraz nagle uwierzyłaś? - profesor zaczął zachowywać się jak na przesłuchaniu.

- Ostrożnie z tym sceptycyzmem - włączył się Jurga. - W Stanach i w Japonii już teraz prowadzone są eksperymenty z maszynami i komputerami wykonującymi polecenia wyłącznie impulsów mózgu. I to z dobrym skutkiem. U nas, mówiąc szczerze, też. Za parę lat sami być może będziemy umieli to, co ten dzieciak.

- I co? Po jakimu do was gadał? Po polsku czy po marsjańsku? - nie wytrzymał Suchowski.

- Nie rozumiesz, profesorku, i niepotrzebnie się gorączkujesz - uspokoił go Bzdet, a Ola przypilnowała odpowiednim spojrzeniem, by ordynator powstrzymał się od strofowania punka. - Wszyscy wiemy, jak na przykład działa język migowy. Jest ponadnarodowy. Ludzie nie- słyszący ze wszystkich krajów bez problemu się ze sobą porozumiewają. Tu jest podobnie. On nie mówi do nas zdań ani wyrazów. Porozumiewa się... pojęciami. Tak jakby... skojarzeniami. Czymś, czego nie da się wytłumaczyć, jeśli się tego nie przeżyje.

- To prawda - potwierdziła Ola. - Mam w głowie całe gigabajty informacji od tego chłopaka, a nie umiem tego uporządkować. Jako psychiatra rozumiem to tak, że nasze mózgi nie są na razie w stanie tego zinterpretować. Tylko pojedyncze, najprostsze informacje. Ale skoro jego budowa nie tak bardzo się różni od naszej, może to kwestia czasu.

- Ja tam nic nie czułem, a gapiłem się na niego jak idiota - westchnął Jurga.

- Ja to samo - przyznał profesor.

- Spokojnie, my z nim pogadamy - podsumował Bzdet, konsekwentnie drażniąc Suchowskiego.

- Czy jemu się wydaje, że umiera? Dlatego chce księdza? - ordynatorowi wyraźnie bardziej zależało na informacjach niż na bufonadzie i kłótniach.

- Bardzo możliwe - przytaknął z powagą w głosie punk i zaraz potem napotkał pytające spojrzenie Sambierskiej. Ola jednak szybko zrozumiała, że Bzdet ma rację. Suchowski jest ostatnią osobą, którą należałoby obciążać tajemnicami aurelitów.

- Jest chyba przestraszony - przyszła z pomocą punkowi. -
Trzeba go zabrać i powoli wszystko wyjaśnić.

- Jak to zabrać?! - zdębiał profesor.

- Przecież sam mówiłeś, że somatycznie jest zdrowy.
Zabieram go do siebie na oddział.

- To niemożliwe, przecież przyjechał tu nieprzytomny. To
trzeba wyjaśnić!

- Maniu... - wtrącił się Jurga. - Jak myślisz, jak długo uda ci
się go tu ukrywać, zanim wszyscy się dowiedzą?

- Nie mów tak to mnie, prosiłem cię... - warknął Suchowski.

- Przepraszam, niech ci będzie.

- Można przez kilka dni w izolatce...

- Sam w to chyba nie wierzysz. I tak będziesz się musiał
zdrowo nagimnastykować, żeby ukryć wyniki badań. A zrobisz
to dla nas wszystkich, prawda?

- Oczywiście - odburknął zniecierpliwiony ordynator.

- Na naszym oddziale - włączyła się Ola - możemy go badać
miesiącami i nikt nie będzie miał nawet cienia podejrzeń.
Wiesz, ilu jest u nas Napoleonów, Chrystusów i wodzów
odległych galaktyk?

Profesor zwiesił bezradnie głowę.

- Chcę mieć do niego dostęp.

- Zgoda - uśmiechnęła się negocjacyjnie Ola. - Tylko jak
będziesz wpadał, nie musisz o tym mówić całemu światu.

- Jak go przetransportujecie?

- Normalnie, karetką, tak jak tu przyjechaliśmy. I ty nam ją
dasz. Swoją musieliśmy odesłać. Najlepiej jakby prowadził ktoś,
kto wie o gówniarzu. Jeśli nie unicestwi nas laserami ukrytymi
w swoich źrenicach, powinno się udać.

- Widzisz teraz, dlaczego się przenieśliem? - spytał rezolutnie Jurga osłupiałego Suchowskiego. - U nas po prostu jest weselej.

Kiedy tylko ruszyli spod szpitala, wszyscy skupili wzrok na chłopcu, który spokojnie leżał na łóżku dla chorego i, trzeba przyznać, dość bezsensownie do wszystkich się uśmiechał.

- Co kombinujesz? - spytała Ola, nie odrywając wzroku od dzieciaka.

- Sprowadzę go - odparł Bzdet.

- Jak?

- Prosił, żeby nikomu nie mówić.

- Nawet mnie?! - Sambierska tym razem wpiła rozeźlone spojrzenie w swojego kolorowowłosego przyjaciela.

- Nikomu. Ostatnim razem nie było najfajniej, jak pamiętasz.

- Tobie zaufał.

- To nie tylko chodzi o zaufanie. Wiedział, że jak stanie się coś ważnego, wszyscy się ze sobą skontaktujemy. Zostawił namiar u mnie i tego czarnego ze swojej byłej parafii, którego tak „uwielbiasz”.

- U Demela?

- Tak.

Jurga postanowił nie przeszkadzać w rozmowie, z której nic nie rozumiał, ale wreszcie nie wytrzymał.

- Ola, ja nie jestem Suchowski. Możecie mnie, do cholery, oświecić?! - spytał nieco poirytowany.

Sambierska i Bzdet wymienili się spojrzeniami.

- Nie za bardzo możemy - odpowiedziała nieśmiało lekarka.
— Zrozum...

- Co mam rozumieć?!

- Chyba wiemy, kto może wyjaśnić, kim jest dzieciak.

- Zamieniam się w słuch.

- To, co nam przekazał... - postanowił nieco pomóc punk - zawiera informacje o pewnym człowieku, którego znamy.

- Tak po prostu? Nagle ni z tego, ni z owego dzieciak z kosmosu prosi o kontakt z jakimś księdzem, i wy już wiecie z którym?

- Powiedzieliśmy „chyba” - przypomniała Ola.

- Dlaczego poprawiłeś ją, kiedy ten chłopak niby wam coś „mówił”? - dociekał kardiolog, patrząc teraz z kolei na Bzdeta. - Ona mówiła „ksiądz”, a ty „kapłan”.

- Tak naprawdę to były ksiądz - odparł z zakłopotaniem punk. - Ale teraz ma taką ksywę „Kapłan”. Tak na niego wołamy - kłamał dalej, nie wiedząc właściwie, co ma zrobić z Jurgą i jak uspić jego czujność.

- A teraz chłopak coś do was mówi? - Jurga ukazał zadbane zęby w złośliwym uśmiechu.

- Cały czas coś pitoli - wzruszył ramionami Bzdet. - Nie wiem, po jakiego grzyba, bo i tak niewiele z tego za- jarzyłem.

- Jasne... A ten „Kapłan” mieszka gdzieś w mieście?

- W Warszawie? No... nie. Mieszka poza Warszawą.

- Daleko?

- Dość daleko... Właściwie to w Ameryce Południowej.

- Aaa - przytaknął „ze zrozumieniem”. No tak. To mały problem. Ale właściwie gdzie miałyby mieszkać? Skoro go znacie i nasz chory też... To głupio tak mieć z kolegą z innej galaktyki wspólnego znajomego w Warszawie. Obciach. Ale Brazylia czy Argentyna... spoko.

- Daj spokój, Grzesiek - ucięła Sambierska. - Sami z tego niewiele rozumiemy.

- On nie jest z kosmosu... - zaskoczył nagle wszystkich głos Cipuchy. - Milczała niemal cały czas w pokoju u Suchowskiego i nie odzywała się także do tej pory w karetce.

- Wiem, kochanie - Bzdet przytulił ją mocno, zaniepokojony jej osłupiałym od dłuższego czasu wyrazem twarzy. Przez ostatnie pół godziny zerkał na nią co chwila, myśląc intensywnie, jak pomóc. - Co się dzieje? - szepnął jej do ucha.

- *Uciekaj, chłopczyku, przez ciemny las. Zapomnij o słońcu, powstrzymaj czas. Zapomnij o bogach, drzemiących w niebie. Posłuchaj piosenki i ratuj siebie... La la la la... i ratuj siebie...* - zaśpiewała cicho. - Słyszysz to, Mopiku?

- Nie, żabeńko. Słyszę tylko jakieś pojęcia. Ale nie mogę tego poskładać... A już na pewno nie melodii.

- To jakaś dziecięca rymowanka - wtrąciła Ola.

- Trochę makabryczna, nie uważasz? - Jurga spoważniał.

- Słonko... jak mogę pomóc? - Bzdet szukał w oczach żony jakiejś odpowiedzi.

- Nic mi nie jest - uspokoiła go dziewczyna.

- Jasne. Może tylko szkoda, że duch ojca Hamleta to przy tobie okaz żywotności.

- Nie - zaprzeczyła spokojnie. - Ja tylko ciągle to słyszę. .. On się uśmiecha, ale cały czas się boi.

- Też to czuję - przyznała Sambierska. - Ale nie nas.

- Wysiadam - rozłożył ręce Jurga. - Kurwa, mam dość! Do mnie ten chłopak jakoś „nie mówi”, nie znam żadnego „Kapłana” z Brazylii czy skądś tam i nie mam pojęcia, o czym gadacie!

- Może właśnie dlatego. - Sambierska znowu zaczęła świdrować wzrokiem dzieciaka. - Suchowski też nie umiał go „usłyszeć”. Ja i oni - wskazała na przyjaciół - znamy Kapłana. Wy nie.

Jurga zdębiał, jakby ktoś niewidzialny wcisnął czarodziejską stopklatkę.

- Przyznasz, że to możliwe - drążyła dalej lekarka.

- Nie wiem... - trochę ożywił się kardiolog, ale... tylko trochę. Tak jakoś miło lub niemiło się złożyło, że w życiu doświadczonego lekarza tak zwane zjawiska nadprzyrodzone lub niedające się naukowo wytłumaczyć omijały go szerokim łukiem.

- Jeśli tak - podjął Bzdet - to musimy założyć, że chłopak wylądował na naszym podwórku nieprzypadkowo. Skądś wiedział, że znamy Krzy... Kapłana - szybko poprawił się punk. - I że możemy go do niego doprowadzić.

- No i cała zagadka rozwiązana - skrzywił się zgryźliwie Jurga. - Mam tylko małe pytanko: jak gówniarz, który nie potrafi się z nikim porozumieć, trafił w nocy do waszej chałupy na zadupiu, a tym bardziej, skąd wie o facecie, który mieszka piętnaście tysięcy kilometrów stąd?! A przede wszystkim: skąd się wziął na tej planecie?

- On nie jest z kosmosu - powtórzyła szeptem swoje zdanie sprzed kilku minut Cipucha, ale tak, że wszyscy ją usłyszeli.

- To skąd?! - jęknął zrezygnowany kardiolog.

- Stąd - odpowiedziała poważnie Sambierska. - Ale nie wiem jak oni - wskazała na małżeństwo punków. - Ja na razie nie wiem i nie rozumiem, jak to możliwe. Jestem jednak niemal pewna - on próbuje nam przekazać, że zawsze mieszkał na Ziemi. Potrafi też odbierać trochę informacji od nas. Myślę, że w

podobnym stopniu co my od niego. Wie, że interesujemy się, skąd pochodzi, i próbuje na to odpowiedzieć. Możliwe, że bez Krzyśka nie damy rady.

Bzdet skrzywił się, słysząc nieostrożną wypowiedź Oli. Pokręcił tylko z niezadowoleniem głową, gdy usłyszał niemal automatyczne pytanie kardiologa.

- Jakiego Krzyśka?

- Kapłana - burknął niezadowolony Bzdet.

- To Polak?

- Tak. Duchowny, który mieszka wśród południowoamerykańskich Indian.

To już jakoś nie zabrzmiało dla Jurgi specjalnie tajemniczo czy niezwykle.

- Co może mieć wspólnego nastolatek z anomaliami anatomicznymi z misjonarzem, który działa, jak rozumiem, w Amazonii?

- Nie wiem - skłamał gładko Bzdet.

- Ja też nie wiem - dopowiedziała szybko Ola. Nawet Cipucha się ożywiła, potwierdzając ruchami głowy, że zgadza się z poprzednikami.

Karetka minęła szlaban i wjechała na teren szpitala.

- Gdzie cię wysadzić? - spytała kardiologa Sambierska.

- Pod „K”. Co mam napisać...?

- Ja napiszę - ucięła Ola.

- Potem pogadamy o tym - mruknął.

Bzdet i Cipucha czekali, aż kardiolog wysiądzie, i dopiero wtedy stali się nieco mniej spięci. Gdy podjechali po blok Oh, lekarka rzuciła do kierowcy:

- Poczekaj chwilę z nim, zaraz go zabierzemy. Wysiedli,

zamknęli za sobą drzwi, ale Sambierska nie traciła z oczu chłopaka.

- Wracajcie i sprowadźcie Krzyśka, jeśli potraficie - rzuciła pośpiesznie.

- Co z nim zrobisz? - Bzdet wskazał nosem na blok „K”, w którym zniknął Jurga.

- Miewa zmienne humory, ale nie jest idiotą. Kiedy chce, umie ukrywać emocje jak mało kto.

- Nie wyglądał na takiego.

- Powiedziałaś, „kiedy chce”.

- Ale nie powiedziałaś, co z nim zrobisz...

- Jeśli nie wystarczy mu to, co wie, poczekam, aż przyjedzie Krzysiek. On zadecyduje.

- Powiesz mężowi? - spytała z kolei Cipucha.

- Jeśli będę potrzebowała jego pomocy - tak. Na razie - nie.

- Rozsądnie - uśmiechnął się Bzdet.

- Powiedzmy - mruknęła Ola. - Teraz czeka mnie nieklawa robota. Jak wytłumaczyć chłopcu, gdzie jest, i co zrobić, by się nie bał.

- Dzisiaj spróbuj na tyle się z nim porozumieć, żebyś mogła wrócić do domu - doradził Bzdet. - Jeśli mamy rację, nikomu do głowy tu się nie wchrzani. Są tu pacjenci pamiętający Krzyśka?

- Z tego, co wiem, nie został nikt. Jeszcze sprawdzę. Ale lekarze zostali.

- Cholera...

- Spokojnie. Spróbuję coś wymyślić. Wy załatwcie co trzeba.

- Pomóc ci teraz? - spytała Cipucha.

- Nie. Sprowadźcie Krzyśka. Macie na taksówkę? Zostawiliście samochód pod tamtym szpitalem.

- Mamy. Jeszcze jakieś zalecenia, pani doktor?
 - Uporządkować to, co nam wpakował do mózgow.
 - Mam nadzieję, że nam niczego nie popierdolił w zwojach – pokręcił głową Bzdet, ale chyba już czuł się bardziej spokojny, bo Cipucha wyglądała lepiej.
 - W razie czego natychmiast dzwońcie – przypomniała Ola.
 - Jak nam odwali, to nie będzie już po co dzwonić.
- Lekarzkę rozbawiła nieco wizja całej ich trójki jako pacjentów na jej oddziale.
- Do jutra – uśmiechnęła się na pożegnanie.

Krzysztof Lorent wyjął spod skromnego łóżka drewnianą skrzynię. Miała metr szerokości, ale była dość długa – tak by swobodnie mógł zmieścić się w niej miecz i wszystko, co porzucił, przyjeżdżając tutaj pięć długich lat temu. Nie otwierał jej niemal od roku. Przesunął dłonią po swoim dawnym ubraniu, habicie, wreszcie odwinął sukno, w które zawinięty był miecz *taroku* oraz *umuri* – rodzaj pokrowca, pochwy na miecz, zakładanego na plecy. Zanim zaczął się pakować, zamknął na chwilę skrzynię. Przed swoją chatą wyczuł kogoś, kto kilka sekund później zapukał do drzwi. Tego nieznanego wśród Indian Kaneczua do tej pory zwyczaju nauczył ich Krzysztof już dawno. Ku jego zdziwieniu tak się to w wiosce spodobało, że potem niemal przez miesiąc wszyscy do wszystkich bez przerwy pukali, a bawiło ich to tak niezmiennie i długo, aż przyszedł moment, że Lorent pożałował tego, co zrobił.

Przed chatą ujrzał Miyapre. Minę miał zdecydowanie zatroskaną i wyraźnie znał już nowiny.

- Kuela mi mówiła, że przypłynął Miho z wioski po drugiej stronie rzeki, bo w mieście zostawiono dla ciebie wiadomość - rzekł dość smutno.

- Tak, Miyapre. To prawda - odparł Lorent.

- Kiedy poprzednio to się stało, wyjechałeś na długo.

- Tak.

- I teraz też wyjedziesz?

- Tak.

- Wrócisz?

Lorent uśmiechnął się do swojego niewysokiego przyjaciela.

- Zawsze wracam, Miyapre.

- Dlaczego musisz tam jeździć?

Krzysztof na chwilę się zamyślił, spoglądając w stronę rzeki.

- Widzisz, jeśli gdzieś zostawisz swoje ślady, nawet daleko, za wodospadami... bywa, że ci, którzy o tym pamiętają, nie pozwalają o sobie zapomnieć. Ale tym razem to przyjaciele. Tak ważni dla mnie jak wy. Ale wrócę, Miyapre, i wtedy upolujemy rybę.

- Uá też z tobą jedzie?

- Obawiam się, że nie będę w stanie jej powstrzymać. Nawet gdybym poprosił, żeby została, pojechałaby za mną.

- Nigdy nie pytam o to, co tam robisz. Ale nieraz widziałem smutek na twojej twarzy, gdy wracałeś. Czy jak wrócisz, powiesz mi chociaż tyle słów, bym umiał to zrozumieć?

- Postaram się - Krzysztof objął Indianina, po czym dotknął palcem jego nosa, co oznaczało, że będzie pamiętał codziennie o Miyapre i całej jego wiosce. Wiedział, że kiedy jutro wsiądzie do łodzi, wszyscy przyjdą i pożegnanie trochę będzie trwało, więc zaplanował, że wstanie odpowiednio wcześniej.

- Porozmawiam z synami *Diosuyage*, aby pilnowali, by słońce nigdy nie gasło nad tobą. Czy mogę też porozmawiać z twoim bogiem?

- Sprawiłbyś mi tym ogromną radość – odpowiedział Lorent.

- Jak mam się do niego zwracać?

- Gdy z nim rozmawiamy, często mówimy „Ojciec nasz”.

- A jak nie będzie chciał ze mną mówić, mogę porozmawiać z jego synem?

- Na pewno cię wysłucha. To Bóg, który kocha każdego człowieka, a już z pewnością drodzy mu są tacy ludzie jak ty – uśmiechnął się Krzysztof. - Co nie przeszkadza, byś porozmawiał z Jego Synem. Ja często rozmawiam też z Matką tego Syna. Ma na imię Maria.

- Mam rozmawiać z kobietą o takich sprawach?

Lorent ponownie się uśmiechnął.

- Jak ci mówiłem, jest Matką Boską. Spokojnie możesz z Nią porozmawiać i wszystko będzie w porządku.

- Skoro tak mówisz, Mantu, zrobię to – poweselał Indianin.

- Tylko tym razem nie przesadź z *ayahuasca*, bo kiedy ostatnio rozmawiałeś z bogami, znaleźliśmy cię na szczycie ceiby i nawet ty nie pamiętałeś, jak tam się znalazłeś.

Miyapre skinął poważnie głową.

- Idzie do ciebie Uá – zauważył, że dziewczyna zbliża się od strony wioski. - Pójdę już. Zaśpiewam dzisiaj z księżycem. To na pewno pomoże w wyprostowaniu twoich dróg.

Lorent podziękował uprzejmym ukłonem. Indianin podreptał w stronę swojej chaty, po drodze pozdrawiając Uę.

- Jak rozumiem, jest mała szansa na to, że zostaniesz.

- Przykro mi, Kapłanie.

- Jeszcze raz tak do mnie powiesz, a spuszczę ci takie manto jak rok temu - pogroził palcem Lorent.

- Już tak łatwo mnie nie pokonasz - roześmiała się dziewczyna, po czym oboje spoważnieli.

- Jestem tu szczęśliwa - ciągnęła Uá. - Miałeś kiedyś rację, sprowadzając mnie do tego miejsca. Tu poznałam śmiech. Pokój. Tu ostygła moja zemsta. Ale coś mi mówi, że muszę teraz iść z tobą.

- Wstawiasz taką gadkę, bo cię świerzbi do miecza - Krzysztof zmarszczył brwi.

- Nie zrobię niczego, czego byś nie chciał.

- Jasne. Prosiłem cię, żebyś tutaj nie robiła niczego, co w jakikolwiek sposób przypominałoby walkę.

- To nie walka! - zaprotestowała dziewczyna. - To tai-chi! Gimnastyka, trening duchowy. Wszystkie dziewczęta z wioski to uwielbiają! Nie pokazuję im walki!

- Ruchy tai-chi pochodzą z kung-fu *taijiquan*

- Wiem! Ale one nie mają o tym pojęcia. Podobnie jak każdy Europejczyk! Myślą, że to tylko gimnastyka.

Lorent głęboko westchnął i potarł dłonią czoło.

- Idę się pakować. Nie muszę teraz tego słuchać. I tak nie dasz mi żyć w czasie podróży.

- Ja już jestem spakowana - uśmiechnęła się szeroko Uá.

- Jadę do Polski. Jesteś tam poszukiwana - próbował chwycić się ostatniej deski ratunku Krzysztof.

- Tak jakbyś ty nie był - roześmiała się jeszcze bardziej dziewczyna.

Lorent szybko pożałował, że użył tego argumentu, i tylko machnął ręką. Piękna twarz Ui nie posmutniała nawet wtedy,

gdy zamknął za sobą drzwi chaty. Wróciła wesoła do siebie, śpiewając cichutko starą japońską pieśń.

Luigi Balea usiadł na drewnianej podłodze sali ćwiczeń w pozycji *kekkaфуza*, w rytualnym stroju, i zamknął na kilkadziesiąt sekund oczy. Uczniowie schylili głowy, czekając na komendę mistrza. Lekcja zwana od pokoleń *divido* dawana była tylko raz w roku przez samego mistrza, zawsze o trzeciej rano 23 września. Do zamku przybywali wówczas wszyscy adepci na rycerzy aurelickich z całej Europy. W tym roku było ich dwudziestu jeden. Wszyscy mieli po szesnaście lat. Niezwykle starannie dobrani, bez rodzin, bez innych zobowiązań, całkowicie oddani. Ich jedynym światem było ściśle grono aurelitów i osobisty mistrz. Zastępował rodzinę, szkołę, nawet innych kolegów. Uczył, kształcił, przygotowywał. Dzisiejsze spotkanie było dla tych chłopców zaszczytem, dzięki niemu mogli zobaczyć mistrza mistrzów i posłuchać jego słów.

Luigi otworzył wolno oczy.

- Sens życia to wybór między tymi ideami, którym chcemy służyć, a tymi, które musimy odrzucić - zaczął Balea cichym, spokojnym tonem. - Dzisiaj, o czym już wiecie, jest dzień decyzji. Dzisiaj każdy z was zostanie namaszczonej lub odejdzie swoją drogą, jeśli tak postanowi. Ale dla tych, którzy zostaną, nie będzie już odwrotu. Czekają ich spotkania z wieloma tajemnicami, które zachowają aż do śmierci. Czekają ich zaszczyt bycia najwspanialszymi, najlepiej wyszkolonymi żołnierzami świata, ale z tej służby nie odchodzi się już nigdy.

Mistrzowie, którzy przybyli ze swoimi uczniami, siedzieli na końcu sali w pozycji *hankafуza* i według zwyczaju oddawali się medytacji w intencji swoich uczniów. Dzisiejsza lekcja była

poniekąd rodzajem formalności. Decyzja została podjęta już nieco wcześniej przez każdego z alumnów, przygotowywanych niemal od urodzenia. Dziś czekał ich tylko ważny dzień „nadania”, by przez następne pięć lat mogli się kształcić aż do pełnego „wprowadzenia”, które również nastąpi tu, w zamku Chatillon. Wtedy pożegnają się z nauczycielami i rozpoczną służbę.

- Naszym celem jest życie w pokoju - ciągnął Balea. - Ale także i według naszych tradycji. Nie krzywdzimy i nie chcemy krzywdzić nikogo, ale ukarzymy każdego, kto podepcze nasz honor lub zwyczaje. Jesteśmy najpotężniejszym bractwem od ponad tysiąca pięciuset lat. Przez ten czas zachowaliśmy jedność, siłę, dyskrecję, a co najważniejsze - tajemnicę, wokół której zbudowana jest nasza potęga. Wy... należycie do elity. Jesteście strażnikami tradycji, rycerzami historii, jesteście i będziecie najlepsi. Kiedyś naszym bractwem kierowały ideologie, religia, wojny... Dzisiejszy świat jest inny. Gdy tylko opuścicie swoich nauczycieli, gdy tylko opuście mury Chatillon, gdy tylko opuścicie swoje siedziby, by służyć bractwu... powiedzą wam, że dziś nie ma już prawdziwych rycerzy. Będą udowadniali, że nie ma już prawdziwego honoru. Że nie ma zasad. Może nawet dowiedzie się, że jesteście głupcami.

Mistrz rozejrzał się po twarzach chłopców. Były skupione, poważne, spokojne.

- Nasze zwyczaje sięgają tysiąca pięciuset lat - ciągnął Luigi.
- Używamy tylko białej broni. Przestrzegamy zasad. Jesteśmy nienowocześni? To dlaczego nasza potęga jest tak wielka? Jesteśmy zamknięci w przesądach? To dlaczego tysiące ludzi - cywilów na całym świecie - pracuje dla nas? Nie znają naszych tajemnic, sekretnych zwyczajów, nie wiedzą nawet, jak jesteśmy

zorganizowani. A jednak robią z nami interesy. I dla nich to świetny biznes. Jakie nowoczesne słowa, prawda? Biznes, interesy... Może więc umiemy być wrażliwi na to, jak świat się zmienia, a jednocześnie pozostać sobą? Może w tym tkwi prawdziwa siła Wielkiego Bractwa Aureliusza Marcellina?!

Mistrz znowu na chwilę przerwał. Chłopcy, wpatrzeni w każdy ruch Balei, nie odrywali od niego wzroku.

- Nie zaglądamy do waszych serc - kontynuował nieco ciszej. - Nie narzucamy wam Boga w jakiegokolwiek postaci, jak robili to nasi przodkowie przed wielu laty. Robili to, bo tak wtedy nakazywało przeznaczenie. Taki był świat. Dziś prawdziwy rycerz aurelicki ma serce wolne, ale duszę całkowicie oddaną bractwu i ideom oraz zasadom, jakie wyznaje. Taki jest sens naszego życia! Po to tu jesteście! Dlatego jesteście najlepsi, a wasze życie będzie najgodniejsze z możliwych!

Mistrz zamknął oczy i skłonił głowę. To oznaczało, że skończył. Teraz, po minucie ciszy, jedyny raz w dotychczasowym życiu, alumnowie według zwyczaju będą mogli zadać mistrzowi dowolne pytanie, a głowa bractwa będzie musiała na nie odpowiedzieć.

Smukły blondyn z drugiego rzędu o wyjątkowo pięknej, ale chłodnej twarzy wstał i zdecydował się odezwać jako pierwszy:

- Wielki Mistrzu! Zwykli ludzie są i będą od nas słabsi. Kiedy wolno nam zabić? I czy wolno nam samemu podejmować takie decyzje?

Balea uniósł głowę.

- To jedno z najważniejszych pytań, jakie sobie stawiamy. Próba zrozumienia tego zajmie wam następnych pięć lat nauki, a może i jeszcze dłużej. Nie chronią nas słabe, nierzadko

skorumpowane sądy. Policja w większości krajów jest niekompetentna i niewykształcona. Tak zwane wojsko toczy grzech głupoty niemal na całym świecie. A głowy wielkich państw angażują się w bezsensowne konflikty. Rozwija się przemysł zbrojeniowy, żywiący się krwią niewinnych. Narkomania, alkoholizm, życie bez zasad rządzi wśród słabych i nieświadomych. Wy jesteście inni. My jesteśmy inni. Od setek lat ludzie pozbawiali się życia, najczęściej z egoistycznych pobudek. Wy nie będziecie tak robić. Wy będziecie bronili naszych zasad, naszego honoru i naszych tajemnic. Nigdy nie przestawajcie zadawać tego pytania swoim nauczycielom, bo czas wciąż płynie, powoduje, że za każdym razem odkrywa się coś nowego, nierzadko niezwykle ważnego.

Blondyn usiadł, a zaraz po nim wstał chłopiec mówiący z wyraźnym północnym akcentem.

- Wielki Mistrzu, czy kiedykolwiek w życiu spotkamy Kapłana?

Balea po raz pierwszy dzisiaj lekko i dobrotliwie się uśmiechnął.

- To jedna z naszych najstarszych legend, a jednocześnie tajemnic, którą już teraz macie prawo znać. Jak głosi ta legenda, raz na kilkaset lat rodzi się niezwykle człowiek. Gdy osiąga dorosłość, jego umysł otwiera się znacznie szerzej niż w przypadku każdego z nas. Wielki Kapłan Ścieżki Wiedzy w pewnym momencie swojego życia zyskuje najbardziej niezwykle dar. Dar pamiętania. Otwiera się w nim niemal nieograniczona pamięć przodków. Ich umiejętności, doświadczenia, mistrzostwo, jakie niegdyś posiadli. Dzięki temu Kapłan ma władzę nad całą tą ogromną wiedzą, którą nasze geny, zwykłych ludzi, zapomniały. Jego kunszt walki jest

niezrównany, jego wiedza historyczna – trudna do wyobrażenia. Takim człowiekiem był, jak głosi legenda, założyciel naszego bractwa, Aureliusz Marcełlin.

– Czyli jego siła jest jakby sumą doświadczeń wszystkich przodków, których umiejętności pamięta? – dociekał chłopiec.

– Tak – odparł mistrz. – Nasze bractwo jako jedyne zna tajemnicę Kapłanów Wiedzy. Nasi poprzednicy w ciągu wieków historii spotykali się z nimi i czerpali od nich wiedzę. Kapłani czasem nam pomagali, a gdy nie umieliśmy być dostatecznie roztropni – opuszczali nas. Ale zawsze byli dla nas wzorem doskonałości.

– Czy dzisiaj żyje któryś z Kapłanów?

– To możliwe – uśmiechnął się znowu Balea. – Jeśli swoją postawą zasłużycie, być może kiedyś go spotkacie.

Mistrz poprosił wzrokiem chłopca, aby dał szansę innym. Jak się okazało, lekcja i tak trwała aż do wschodu słońca.

ROZDZIAŁ 4

Chłopiec wreszcie otworzył oczy. Cipucha od pewnego czasu tkwiła przy nim i jej nagła radość obudziła czujność sąsiada z łóżka pod ścianą. Łysawy pięćdziesięciolatek ku przerażeniu dziewczyny zsunął się z łóżka i zaczął dreptać w jej stronę.

– Podobasz mi się, kolorowa! – wyznał szczerze.

Cipucha, chcąc nie chcąc, odwróciła się w stronę pacjenta.

– Miły jesteś – uśmiechnęła się zdawkowo.

– Dziękuję. Gdybym tylko nie był czarno-biały...

– Bez jaj?

– A myślisz, że dlaczego mnie tu zamknęli?! – oburzył się łysol.

– Bo jesteś świrem? – usiłowała być pomocna Cipucha.

– Ależ skąd! To kwestia inności. Każdy, kto odróżnia się od większości, jest w tej społeczności nienormalny. Przepraszam, ciągle mi się coś rymuje. No więc kontynuuję. To wynika wprost z definicji – norma! Albo jesteś w tej normie, albo nie. Jak nie jesteś... jesteś nienormalny. A ja nie tylko jestem czarno-biały, ale jeszcze wszyscy udają, że nie jestem. To trudne. Bardzo trudne. Tak brnąć przez tyle kłamstw. Ty też pewnie chcesz mi powiedzieć, że jest inaczej.

– Spoko, facet – uśmiechnęła się dziewczyna. – Jeśli jesteś czarno-biały, twoja brocha. Każdy może być, jaki chce.

– Jesteś szczerą, kolorową. To piękne, cholernie piękne. Podobasz mi się.

– Nie świruj, już to mówiłeś – odparła spokojnie Cipucha.

- Tak? Bo mnie to boli. Ta nieopanowana hipokryzja, bezdech...

- Jesteś jakimś daltonistą?

- O nie, nie, nie... Ależ skąd! Ależ skąd!

- Zrozumiałam.

- No więc... - wstrzymał na dość długo oddech - ...nie.

- Acha.

- Ty jesteś kolorowa, ja niestety nie. Gdyby większość była taka jak ja, ciebie by tu zamknęli. Nie za młody ten dzieciuch dla ciebie? - łysol wskazał dzieciaka przysłuchującego się z zainteresowaniem ich rozmowie.

- To nie jest mój chłopak. Poza tym co ci do tego? Jeśli jesteś czarno-biały, to lamus z ciebie. Od dawna wszyscy są kolorowi. To sto lat temu wszystko było czarno-białe. Na lamusiarskich kronikach filmowych. Wiesz, co jest najbardziej porąbane?

- Co? - spytał z prawdziwym zaciekawieniem pacjent.

- Że w pieprzonych Stanach na Murzynów mówią „kolorowi”! Na czarnych ludzi mówią, że są kolorowi. Kumasz to? Oni nie są czerwoni, żółci czy pomarańczowi. Są czarni. Mają czarną skórę, twarz, całe ciało. I mają do tego pieprzone prawo. Jak ktoś chce być czarny, ma prawo być czarny i żądać, by mówili o nim, że jest czarny. Jeśli ktoś nie chce być czarny, a jest, to też ma prawo nie chcieć być czarny, bo człowiek jest wolny z natury. Michael Jackson, choć jego muzy nie trawię, jest moim bohaterem. Bo chyba nie chciał być czarny, a miał odwagę coś z tym robić. Ściemniał, że ma jakąś porąbaną chorobę skóry, ale OK, był dzielny. Teraz ma lepiej w niebie, bo anioły chyba raczej są białe, więc jest teraz biały jak papier do ksero i git. Cieszę się razem z nim. Ale nie każdy miał tyle farta. W samych pieprzonych Stanach pozostało osiemdziesiąt

milionów czarnych, a mówią na nich – kolorowi. Mało tego! Im mniej są czarni, na przykład Mulaci, tym mniej są, kurwa, kolorowi! Czujesz, jakie to porąbane?! Trzymaj się z daleka od tego społeczeństwa, facet. Ty przynajmniej jesteś czarno-biały, a oni tylko czarni. I jeszcze im wciskają kit, że są kolorowi, tak jak ty mnie. Nie pojebane to wszystko?

Łysol cofnął się kilka kroków i usiadł na swoim łóżku, po czym popadł w głębokie zamyślenie.

– Wygrałam stówę! – zacisnęła z radości pięść Sambierska, która od pewnego czasu stała w drzwiach.

Cipucha uśmiechnęła się, ale jednocześnie uniosła brwi, pytając w ten sposób, o co chodzi.

– Wygrałam z grubym zakład, że przegadasz „czarno-białego”.

Stojący również w progu doktor Kulawik rozłożył ręce w geście porażki i pomaszerował do swojego gabinetu.

– Piąteczka! – ucieszyła się Cipucha, unosząc rękę.

Dziewczyny klasnęły dłońmi.

– Obudził się – spoważniała punkowa.

– Wiem. Chyba w ogóle wiem z grubsza, o co tu chodzi — uspokoiła ją lekarka.

– To mnie oświeć – poprosiła z naciskiem Cipucha. – Bo kiedy pierwszy raz dał w głębę przed naszą chatą, mało nie narobiłam w stringi!

– Po waszym odjeździe, kiedy go tu kładliśmy, nie było najmniejszych problemów. Dzieciak jest bardzo bystry. Pokażesz mu, i wie, o co chodzi. Zgadza się na wszystko, poddaje się wszelkim badaniom i nigdy nie marudzi.

– Taki trochę bezwolny – skrzywiła się Cipucha.

- Właśnie o to chodzi, że nie. O pierwszej w nocy wstał i szukał łazienki. Już raz był w łazience, niczym się to nie różniło od tego, co my robimy. Mocz, kał w porządku...

- Wierzę. Co dalej?

- Wiedział doskonale, do czego służy sedes i tak dalej.

- Zajeście. Dlaczego on tak mdleje?

- Poczekaj chwilę - podniosła rękę Sambierska. - Cierpliwości. No więc tym razem nie szukał sedesu, tylko wanny.

- O pierwszej w nocy? Po grzyba?

- Kiedy przyszedłam, usiłował mi pokazać, że chce wejść do wanny. Próbowałam jakoś go przekonać, że jest noc i to nie pora na kąpiele, ale był uparty. Im dłużej „dyskutowaliśmy”, tym gorzej się czuł, aż znowu zemdłał.

- Delikatny dzieciak. Jak go coś zdenerwuje, daje w głębę - wywnioskowała Cipucha logicznie.

- Nie o to chodzi - zaprzeczyła głową lekarka. - Sanitariusze zanieśli go do pokoju, zmierzyłam mu temperaturę i miał czterdzieści jeden stopni.

- Ja pierdolę... Sorry, Czarno-Biały, wymknęło mi się - przeprosiła gestem pacjenta spod ściany, wciąż pogrążonego w głębokim zamyśleniu.

- To oczywiście wysoka gorączka, ale dla niego trochę mniej niż dla nas.

- Dlaczego?

- Bo myślę, że jego normalna temperatura to trzydzieści osiem stopni. Czyli... mniej więcej o stopień więcej niż u nas. Kilka razy mierzyłam, kiedy był w najlepszej formie.

- Nie rozumiem. Jak mógł być kiedykolwiek w dobrej formie

przy czterdziestu jeden stopniach?!

- O to chodzi. To chyba jedna z najpoważniejszych różnic między naszym organizmem a jego. Jego system utrzymania prawidłowej temperatury jest bardzo skomplikowany. Nie rozgryzłam tego jeszcze, ale wiem, w jaki sposób załatwia to praktycznie - tu lekarka uniosła palec do góry, by zwrócić szczególną uwagę swojej przyjaciółki. - On się chłodzi.

- Mdlejąc?

- No... dla nas to tak spektakularnie wygląda, ale to jeden z naturalnych sposobów. Zasypia. Mocniej niż my.

A wtedy nie tylko odciąża mózg, swoje potrójne układy wewnętrzne, sześcioczęściowe serce i tak dalej, ale przede wszystkim reguluje temperaturę organizmu. O trzeciej, mniej więcej po dwóch godzinach, obudził się i był jak nowy. A do wanny chciał wejść nie po to, by się umyć, tylko żeby zanurzyć się w zimnej wodzie. Wtedy nie musiałby zasypiać. Zniszczyliśmy jego skafander, który go chronił. Dotykałam go podczas pierwszego badania u was. Był jakoś tak skonstruowany, że raz go ocieplał, raz oziębiał...

- Pierwszy raz zemdlął, kiedy miał go na sobie.

- Wiem - rozłożyła ręce lekarka. - Tego jeszcze nie rozgryzłam. Ale jestem prawie pewna, że musi przynajmniej dwa razy dziennie się ochładzać.

- Przechlapane. Może jest chory?

- Może. Ale niekoniecznie. Może taka jego natura. Gdyby sfrunął tu jakiś ufoludek z innej galaktyki, który oddaje mocz raz na miesiąc, pękałby ze śmiechu, że ty robisz to trzy, czasem cztery razy dziennie. Może dla chłopaka to naturalne. Może dla niego takie kąpiele to jak twoje pójście do toalety. A do tego ma ubranie, które go trochę zabezpiecza.

- Schładzał się już?

- O dziesiątej rano. Pięć minut. Potem normalnie funkcjonował. Po obiedzie, co ciekawe, nie poszedł się schłodzić, tylko z własnej woli zasnął. Tak mocno jak to on. I co?

- Sambierska spojrzała na zegarek. - Jest czwarta, obudził się i ma trzydzieści osiem stopni. Tak jak chyba powinien.

- Co je?

- Nie chce jeść mięsa. Poza tym podobnie jak my. Cześć, mały! Uśmiechnęła się do chłopca.

Odpowiedział jej wyraźnym zadowoleniem i oczywiście szerokim uśmiechem.

- Pokażę ci, jakie poczyniliśmy postępy - Sambierska znowu uniosła palec go góry. - Kołdra!

Dzieciak wskazał na pościel.

- Wow! - wybuchnęła z uznaniem Cipucha. - Podejrzewałam, że zostaniesz na noc i zaczniesz kombinować.

- To jeszcze nic. Patrz, Ola!

Chłopiec wskazał z zadowoleniem na lekarkę. '

- A teraz najlepsze - mruknęła tajemniczo Sambierska i wskazała na pacjenta.

- Yo... - odpowiedział prawie normalnie. Jego głos był nieco zachrypnięty, jakby miał zaschnięte gardło.

- Tak się nazywa? - spytała Cipucha, na której wyraźnie zrobiło to wrażenie.

- Dość nieskomplikowanie, ale chyba tak.

- Głos ma taki, jak dzieciaki w jego wieku.

- No właśnie.

- Słuchaj, Ola... - Cipucha rozejrzała się dookoła i ściszyła głos. - Próbował z tobą rozmawiać, tak wiesz... po swojemu?

- Tak. Ale tu zrobiłam raczej małe postępy. Ciągłe szum. Pogadamy o tym później. Nie tutaj. Ale on jest cierpliwy - wskazała na chłopca. - Rozumie. I dlatego współpracuje, kiedy pokazałam mu kilka przedmiotów i nazwałam je. Powtórzył.

Cipucha pokręciła głową.

- Czegoś tu nie kumam.

- Ja wielu rzeczy tu nie rozumiem - roześmiała się lekarka.

- No dobrze, ale słyszeliśmy, jak mówi. Ma struny głosowe. Może gadać jak my.

- No?

- To po cholere strzela na siłę jakąś telepatię czy cholera wie co?

Sambierska rozłożyła ręce.

- No właśnie - pokiwała głową. - Chyba w tym sedno. Dla niego takie gadanie bez kłapania jęzorem jest naturalne. A używa strun głosowych tylko dla nas. Widzisz... my też mamy pazury, które miło nazywamy paznokciami, służące niegdyś naszym przodkom do kopania w ziemi, ale już ich raczej nie używamy, prawda? Jego język jest niezwykły. To szerokie i niesamowite dla nas pojęcia, do których, obawiam się, nie mamy jeszcze dostępu.

- Wiesz, co myślę?...

- Chyba tak. On nie tylko ma wydolniejszy organizm, ale jest znacznie bardziej zaawansowany intelektualnie, lub przynajmniej ma ku temu lepiej przygotowane przez naturę środki.

- On nie może być stąd, Ola - Cipucha mówiła coraz ciszej. - Wiem, że nam mówi inaczej, ale to niemożliwe. To akurat rozumiałam bez problemu. Czasem powie coś niezwykle prostego... na przykład przekazał mi tę piosenkę i

zapamiętałam, jakbym ją znała od dzieciństwa, i to razem z melodią. A czasem zacznie nadawać takie rzeczy, że nawet nie wiem, z której strony to ugryźć.

– Wiem. Mam to samo. Ale mnie również mówi, że jest stąd. Tyle tylko, że... – lekarka rozłożyła ręce.

– No, mów!

– Bardzo się nad tym skupiałam i jeśli miałabym to jakoś zinterpretować... to on jest stąd, a jednocześnie... nie jest stąd.

Cipucha zwiesiła głowę.

– O matko... – jęknęła. – Krzysiek musi jakoś do niego dotrzeć.

– À propos. Co z nim?

– Przesłaliśmy mu wiadomość. Najdalej pięć, sześć godzin po naszym telefonie Krzysiek powinien wiedzieć, że go potrzebujemy. Czyli... najprawdopodobniej już wie.

– A kiedy przyjedzie?

– Lepiej, żebyśmy nawet my tego nie wiedzieli. Gliniarze i aurelici mogą go cały czas szukać.

– Balea na pewno odpuścił. Mają umowę. Co najwyżej ci zbuntowani. Ale nie sądzę, by się nimi specjalnie przejmował.

Dziewczyna nie miała najszcześliwszej miny.

– Jest stąd... a jednocześnie nie stąd?

– Właśnie – westchnęła lekarka.

Czesio Dybcio, znany niewielu zresztą przyjaciółom jako „Koper”, był astrofizykiem. Może jeszcze fizykiem teoretycznym, biologiem, chemikiem, a także wielkim odkrywcą. Właściwie... to nie był astrofizykiem, bo nie skończył nawet studiów. Mówiąc szczerze, to ich nawet nie zaczął. Nie

był także, biorąc pod uwagę taki sposób myślenia, biologiem i chemikiem, a o jego wielkich odkryciach też raczej niewiele osób wiedziało. Wśród tych „niewielu” był Bzdet. Punk, można powiedzieć, był serdecznym przyjacielem Dybcia, cenił jego nieprzeciętną, jak uważał, umysłowość i ogromną wiedzę, współczuł obciachowego nazwiska i nieco zazdrościł wyglądu, choć o tym wspominał rzadko. To, co wyrażała twarz Czesia, jak to ujął Bzdet, było jak seks na pustyni... Dziwne i rzadkie. Niepohamowana obsesja punka na punkcie znalezienia jak najbardziej znaczących różnic między sobą, tak zwaną modą, którą gardził szczególnie, i akceptowalnym w zindustrializowanym, skonsupcyjnym społeczeństwie gustem była nieuleczalna. Wszystko, co mówił, myślał oraz co wyrażał wygląd Dybcia, Bzdet uważał za inspirująco oryginalne i twórcze. Czesio miał prawie oko położone nieco wyżej niż lewe, stąd okulary, które niestety musiał nosić ze względu na bardzo słaby wzrok, były zawsze ciekawie przekrzywione. Dybcio ponadto nie miał jednego ucha (od urodzenia), co wobec zaistniałych okoliczności zmusiło wielkiego odkrywcę do szczególnej kreatywności i zaowocowało szeregiem wynalazków. Nie wyobrażał sobie korzystania ze szkieł kontaktowych, tak więc powstał z pewnością jedyny w swoim rodzaju model wspomnianych okularów. Nieco przypominały gogle narciarskie, tyle że w cienkich oprawkach, wyposażone w specjalny, regulowany uchwyt do mocowania na kościstym nosie Czesia. Szklą – co już trudniej czymkolwiek wytłumaczyć – miały różny kształt i wielkość. W każdym razie świetnie dostosowywały barwę do otaczającego światła. Automatycznie się zaciemniały w słońcu, a gdy trzeba było – jaskrawo żółkły, co pomagało, gdy widoczność stawała się utrudniona ciem-

nością, mgłą lub wpływem alkoholu na impulsy mózgowie Czesia.

Serdeczny przyjaciel Bzdeta był wysoki i chudy. Nosił skonstruowane wyłącznie przez siebie ubranie (nie uszyte – „skonstruowane”). Miał także kolekcję niezwykłych butów, wśród których na szczególne uznanie zasługiwały „ślizgacze po betonie”, „niwelatory ziemskiego przyciągania”, „ścianochody” oraz tak zwane „świętochody”, z serii, którą nazwał „anielskie stopy”, służące do chodzenia po wodzie. Większość modeli znajdowała się w fazie eksperymentalnej. Zainspirowany pewnym, co ciekawe, programem satyrycznym, Dybcio skonstruował „wkładacz spodni”, a idąc za ciosem – samoobsługiwalną kurtkę, która za pomocą specjalnego mechanizmu sama spadała z wieszaka i podczołgiwała się do właściciela. Sama się nie wkładała, ale prace nad nią trwały. Na razie Czesio obsługiwał ją pilotem, ale pracował nad tym, by mógł przywoływać kurtkę gwizdem. Mankamentem było także to, że choć sama „schodziła” z Dybcia, nie umiała wejść na wieszak.

Bzdet zamówił kilka miesięcy temu u niego chodzący stolik, który mógłby sam wrócić do kuchni po obiedzie, i to nie stanowiło dla Czesia problemu, ale uparł się, aby nauczyć go chodzić po schodach, i to z talerzami na blacie, więc prace nad prototypem się przedłużały.

Nie tylko jednak nieprzeciętna umysłowość Dybcia zdecydowała o tym, że Bzdet postanowił jego jedyne wtajemniczyć w sprawy, które ostatnio go nurtowały. Najważniejsza okazała się tu sprawdzona od pięciu lat ich znajomości dyskrecja genialnego odkrywcy, w oczach jego przyjaciela – niemal legendarna. Czesio nigdy nie zdradził

żadnego sekretu Bzdeta, nie znosił plotkowania i, jak na razie, nie marzył o sławie. Nie złamał się także, gdy dwa lata temu policja przez długie godziny przesłuchiwała go w sprawie tajemniczego podania środków halucynogenno-podniecających żonie komendanta posterunku w Suchych Dołach (powiat grodziski), w wyniku czego przez ponad godzinę trwała akcja wyjmowania jej z centralnej fontanny (dumy miasteczka), gdzie najpierw nago tańczyła wokół rzeźby cherubinka, spod którego wypływała woda, później w języku francuskim odśpiewała arię Carmen z pierwszego aktu, a następnie przykleiła się kurczowo do fontannowego aniołka i nie sposób było nic z tym zrobić. Bzdet skorzystał wówczas z tak zwanego sposobu bułgarskiego i przechodząc obok wspomnianej damy (od dawna obserwowanej przez Dybcia), wstrzyknął jej ukrytym w parasolu dozownikiem eksperymentalny środek. Bzdet nie był zachwycony doświadczeniem zaplanowanym przez przyjaciela i długo nie chciał dać się namówić, ale Czesio umiał przekonać punka. Zręcznie celował argumentami w czułe punkty Bzdeta, serwując mu między innymi pogadankę o roli policyjnego aparatu nacisku na i tak upadłe już moralnie i duchowo społeczeństwo. Pani komendantowa, choć pamięć tamtych wypadków zachowała niestety tylko we fragmentach, – wyraźnie poczuła ukłucie podczas akcji i nawet powiedziała – „Au!”, stąd podejrzenie padło później na dwóch przyjaciół. Jednak wściekłość szefa policji, słusznie przypuszczającego, kto stoi za tym „bandyckim” (cytat z meldunku), „gangsterskim” i „skrytobójczym” czynem, skupiła się bardziej na zamieszkałym i znanym w Suchych Dołach wynalazcy niż na jego współniku.

Bzdet nie udało się ująć z braku chociażby zbliżonego rysopisu. Fragmentaryczne wspomnienia komendantowej

zawiodły, a świadków nie było. Dręczony przez kilka godzin Czesio się nie ugiął i dowodów zabrakło. Znając jednak realia suchodolskie, wynalazca skorzystał z zaproszenia przyjaciela i zdecydował się zamieszkać na kilka tygodni w domu punków, aż wściekłość, przez pewien jeszcze czas trzęsąca murami komendy, nieco ucichnie.

- To nie jest żaden bajer, kawał czy ścierna? - upewnił się Dybcio, siadając w swoim fotelu „Duranda Duranda”³. Były w nim zainstalowane specjalne urządzenia produkujące przepływ prądu o niskim natężeniu, które w odpowiednim czasie miały pobudzać receptory twórcze Czesia.

- Niestety, nie. I nikt się o tym nie może dowiedzieć - pokiwał smutno głową Bzdet.

- Przysięgasz na błoga?

Punk pominął tę uwagę znaczącym milczeniem.

- Obciążylem cię tymi informacjami, bo obawiam się, że będzie nam potrzebna twoja pomoc - zaznaczył z naciskiem.

- Musiałbym go zobaczyć - mruknął, mrużąc prawe (to wyższe) oko, po czy nacisnął jeden z guzików „Duranda Duranda”.

- Musisz to robić? - Bzdet nie znosił tego fotela.

- Co?

- Znowu podłączasz swoją dupę do prądu. To obrzydliwe.

- Ależ mylisz się, drogi przyjacielu. To nie prąd. To stymulator mojej wyobraźni. Muszę sobie ją ostro podrasować. Bo to, co mówisz, nie mieści się, kurwa, w żadnej czaszce.

- Sam się przekonasz.

- O czym? Że znaleźliście nieznaną gatunek podobny do człowieka, i to ze zdolnościami do telepatii?!

- To nie jest telepatia - poprawił Bzdet. - To coś jakby... wywoływanie skojarzeń, sensów, pojęć w moim mózgu za pomocą czegoś, w czym on pomaga.

- Nie zajarzyłem.

- Jesteś, do cholery, geniuszem, to powinno być dla ciebie proste!

- Rozumiem, co mówisz, ale nie łapię, jak to możliwe.

Punk wyglądał na rozdrażnionego.

- Sam mówiłeś, jełopo, że wykorzystywanie ludzkich myśli do fizyki mechanicznej nie jest już problemem!

- Bo nie jest - przyznał Czesio. - Mamy sztuczne ręce, które podłączone odpowiednio do ludzkich nerwów poruszają palcami. Możemy obsługiwać komputer podłączony wyłącznie do impulsów płynących z mózgu.

- Teraz ja nie zajarzyłem.

- Impulsy to coś w rodzaju energii elektrycznej. Podłączasz, i działa. A tu... tak na odległość... to trochę co innego. W dodatku nie mówimy o jakiejś pierdole typu „rusz palcem”, ale o trudnych pojęciach abstrakcyjnych. Mówisz impulsem mózgowym komputerowi „idziemy”, i idziemy. „Weź widelec i wsadź mi do japy”, i jesz. Ale jak zareaguje komputer, kiedy mu powiesz: „pokochaj mnie ?

- Nie wierzysz mi? - spytał konkretnie punk.

- Wierzę. To, co mówisz, jest fascynujące. Ale trudno mi chociażby zacząć szukać jakiegoś sensownego, logicznego wyjaśnienia.

- Uważasz, że to niemożliwe?

Czesio wzruszył ramionami.

- Fizycznie... możliwe. Jak najbardziej. Tylko do tej pory

kompletnie niewykonalne. A skoro twierdzisz, że koleś jest stąd, to musiał go ktoś urodzić, wychować, opiekować się nim, a przede wszystkim ukrywać przez wiele lat.

- Ten dilopuk wybrykiem natury? Jak krowa o dwóch głowach czy jakaś babka z trzema cyckami?

- Skąd masz te badania? - Dybcio postukał w papiery leżące na stole.

- Kumpel mojej koleżanki lekarki, pracujący na oddziale kolegi jej kolegi, podpieprzył te papiery, to znaczy skopiował je dla niej, a później ja podpieprzyłem jej. Reszta to jej badania.

Czesio otworzył na chwilę usta, aby się dotlenić i dokładniej zanalizować to, co powiedział przed chwilą jego przyjaciel. Wreszcie machnął ręką.

- OK. Wszystko jedno. Posłuchaj, Albert - Bzdet tylko jemu pozwalał używać w stosunku do siebie takiego sposobu zwracania się. Dybcio nadawał imiona swoim rozmówcom w zależności od sytuacji i kontekstu, który wydawał mu się odpowiedni. - Przeczytałem chyba wszystkie książki medyczne, jakie wyszły po polsku. Zajęło mi to dobrych parę lat.

- Wiem. I...?

- I trochę tu za dużo tych przypadków. Nawet jeśli przyjmiemy, że ktoś ma trzy nerki, a zdarzały się już takie wypadki, to szansa, że ma przy okazji trzy płuca, sześcioczęściowe serce i mózg z dodatkowym płatem, jest niemal nieskończenie mniej prawdopodobna niż to, że to nie anomalia. Ze ten koleś tak ma. Ze to jego natura. Ale jeśli tak, to to nie jest człowiek. Bo człowiek ma dwie nerki, czteroczęściowe serce, gada po ludzku, ma mózg, jaki ma, i tak dalej.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Ze nie mieści mi się to w czaszce. Nowy gatunek, i to taki, o

którym nikt nie wie?

- Może to wynik jakiegoś eksperymentu.

Dybcio uderzył z pasją w ramię fotela.

- Właśnie o to chodzi, Izuś! - był wyraźnie coraz bardziej podniecony.

- Jaki Izuś? - nie wytrzymał Bzdet.

- Oj tam! - wynalazca znowu machnął ręką. - Zdrobnienie od Izaaka. To, o czym teraz mówimy, to newtonowski problem. Nie przejmuj się. No więc, wracając do tematu: jeśli weźmiemy pod uwagę poziom naszego rozwoju, taki eksperyment jest... Jak to powiedzieli w *Seksmisji*? Awykonalny!

- Bo?

- Bo dla Ziemiaków nawet skuteczne przeszczepy niektórych organów to wciąż problem, a co dopiero dodawanie nowych. Poza tym płuca, nerki, czy nawet serce to zabawki przy ośrodkowym układzie nerwowym. Wszystko, co umiemy robić z mózgiem, to go psuć. Coś tam wyciąć, przeciąć, odessać krew po wylewie i tyle. A ten zawodnik ma dodatkowy płąt, którym najprawdopodobniej właśnie wali w ciebie tą swoją telepatią.

- OK, Koper - Bzdet dążył do sedna. - Twoim zdaniem, za ile lat mogłoby to być możliwe?

- Co? Przeszczepy mózgu?

- No - potwierdził punk.

- Pomijając sprawy etyczne... możliwe, że nigdy. Możliwe, że za dwieście lat. Nie mam pojęcia. Na pewno nie teraz.

- Dlaczego „nigdy”?

- Maniek! - zniecierpliwił się Czesio. - Życie na Ziemi istnieje od prawie czterech miliardów lat. A w tej chwili nie ma już 99,9 procent gatunków, które żyły kiedykolwiek na tej

planecie. Nam też niewiele zostało. Nie wierzę, byśmy kiedykolwiek do czegoś takiego doszli. Przede wszystkim dlatego, że tak naprawdę nie chcemy. Po co ktoś miałby coś takiego robić?

- Dla kasy - mruknął ponuro Bzdet. - Ze strachu przed śmiercią. Handel dodatkowymi organami, zamiana ciała, gdy stare się zużyje... My jesteśmy tym, czym jest nasz mózg.

- No... - Czesio pokręcił powątpiewająco głową. - To kwestia filozofii. A dusza? Niematerialna część tego ciebie, co powołuje cię do życia? Co z tym zrobisz?

- Daj spokój, to bujdy.

- Tak?! No co ty powiesz! Składasz się z atomów. Jest ich od groma. Wszystkie one przez całe twoje istnienie będą robiły co trzeba, żebyś żył. Połączyły się i są tobą. Ale gdybyś tak spytał każdego z nich, czy wie, że jest częścią ciebie, nagle by się okazało, że nie ma o tym pojęcia. Żaden z twoich atomów, a składasz się materialnie tylko z nich, nie wie o twoim istnieniu. Mało tego. Nie ma pojęcia nawet o swoim istnieniu. O niczym nie ma pojęcia. Bo te gnojki nie mają świadomości. Jakby tak rozebrać cię w chmurę atomów, jak mówi Bryson, byłaby to tylko kupa martwych atomów, która równie dobrze mogłaby być kamieniem.

- Wiem, to trochę dziwne.

- Nie dziwne. To najbardziej fascynująca zagadka wszechświata; jak to się dzieje, że będąc zlepkiem martwych, nieświadomych atomów, jednak żyjesz?! Co tchnęło w ciebie życie? Dlaczego chodzisz, masz świadomość? Masz przemyślenia, umiesz tworzyć, myśleć?

- No, fakt. To jest trochę pojebane.

- Trudno, kurwa, zaprzeczyć. Więc zanim wpadniesz na

pomysł, żeby wyjąć mózg z jednego człowieka i wsadzić go do łba drugiemu, weź to pod uwagę. Co się, do kurwy nędzy, stanie z tą energią, która tak naprawdę jest tobą?! A wiemy o tej energii nie więcej niż o przygodach kamyczków pustynnych na Syriuszu! Więc mówiąc w skrócie: to nie eksperyment. Przejrzałem te badania. To wszystko do tego gówniarza pasuje. On taki się urodził. Nic mu nie wszczepiano, ani nawet nie robiono na nim, z tego co widzę, żadnych zabiegów. Tak przynajmniej jest tu napisane. On jest zdrowy. Mdleje? Ty też mdlejesz, i to codziennie w nocy, aby dać szansę swojemu mózgowi, sercu, nerkom na mały odpoczynek. Niezbyt duży. Mały. Ale zawsze. To, co uważacie za niezwykle, jest, jak myślę, jego naturą. To inny gatunek, Jasiu.

– Więc może rzeczywiście chłopak jest z kosmosu.

– Dosłownie? – spytał dla pewności Dybcio.

– Tak.

– Przecież mówił tobie, czy tam Małgosi, już nie pamiętam, że jest stąd.

– Cipucha i Ola, czyli ta lekarka, mogły to źle zinterpretować. Może to jakaś przenośnia, może symbol, a może mały trochę ściemniał?

– Jasne. Telepatyczny kłamczuszek. Przeleciał paręset lat świeżych, by pościemniać dwójce punków i naiwnym lekarzom. Przy okazji poszpanował dodatkowymi nerkami i płucami oraz żołądkiem fajniejszym niż u krowy. Słyszysz, jak to brzmi? To nie trzyma się kupy, Jasiu!

– Nie wierzysz, że to E.T. – bardziej stwierdził, niż zapytał Bzdet.

– Ja w ogóle nie wierzę w to, że z kimkolwiek kiedykolwiek się skontaktujemy. To właściwie niemożliwe. Każdy, kto trochę

kuma cza-czę, zdaje sobie z tego sprawę.

- Ale mogą istnieć w kosmosie istoty tak inteligentne jak my?

- Na to jest bardzo duże prawdopodobieństwo. Według tak zwanego równania Drake'a możliwość występowania istot żywych w kosmosie jest naprawdę duża. Istnieją miliony układów i planet zdolnych do podtrzymania życia. Jest tylko mały problemik. Najbliżsi nasi ewentualni sąsiedzi, optymistycznie rzecz interpretując, mieszkają dwieście milionów lat świetlnych stąd. I nawet gdyby się posrali z wysiłku, żeby nas odszukać, to za Chiny z nimi nie pogadamy. Dlaczego? Bo światło może dotrzeć do nich tylko z prędkością... światła. A więc jeśli nawet mają zajebiste teleskopy, przez które widzą Ziemię, to obserwują teraz nie ciebie, mnie czy prezydenta Unii Europejskiej, tylko facetów z pióropuszcami na głowach, strzelających z łuków do kowbojów, śmiesznego małego Francuza, który podbił na początku XIX wieku Europę, czy biednego Kunta Kinte, którego porwali z Afryki handlarze niewolników. Nasi „sąsiedzi” widzą nas jako barbarzyńskich, dzikich i nieokrzesanych ludków, którzy nie tylko jeszcze nawet nie myślą o rakiecie międzyplanetarnej, ale nawet nie mają pojęcia o samochodzie. Poznali co prawda proch i umieją korzystać z „kijów ziejących ogniem”, a nawet budują tory dla „żelaznego smoka” wzdłuż i wszerz Stanów Zjednoczonych, ale sąsiadów z kosmosu mają głęboko w dupie. Zanim więc ewentualni przyjaciele spoza Układu Słonecznego dojdą do tego, jak pogadać z takimi kretynami jak my, i coś nam wyślą, minie następne dwieście lat i wtedy, czytając taki przekaz, umrzemy ze śmiechu. Bo na ich pytanie, czy fajnie się ścinało Ludwika XVI i jego rozrywkową żonę, odpowiemy, że taka gadka po prostu nie ma sensu. A to tylko wymiana informacji.

Rozpoznanie. Podróż trwałaby wielokrotnie dłużej. Z prędkością światła to można sobie latać w *Star Treku*, a w naszym fizycznym świecie to kompletnie niemożliwe. Żadna wielokomórkowa materia nie byłaby w stanie rozwinąć takiej prędkości. To potrafią tylko fotony. A nasze życie jest krótkie. Nawet jeśli nie padniemy na raka czy serce, mamy szansę przeżyć sześćset tysięcy godzin. No, może trochę więcej, ale niewiele. I na tym koniec. Zamieniamy się z powrotem w proch. Nie wierzę więc w UFO, które ląduje zniecka na Ziemi, a już szczególnie w formie bezradnego dzieciaka, mdlejącego co kilka godzin. Koniec tematu.

- Niezupełnie - wtrącił się wreszcie Bzdet. - Bo jeśli on nie jest z kosmosu, a niemal niemożliwe jest, aby ukształtował się na Ziemi, to...

- Pozostaje tylko... czas - westchnął ciężko Czesio. - A to jeszcze trudniejszy temat.

- Przybył z przyszłości?

- Nawet głupio mi o tym mówić. Podróże w czasie są jeszcze bardziej idiotyczne niż obrady naszego Sejmu. *Dziecko w czasie*.

- Dybcio parsknął wesoło, aż mu się zsunęły trochę okulary.

Bzdetowi nie było jednak do śmiechu.

- Lepiej przyjmij którąś z tych teorii. Bo ten chłopak istnieje, a ja potrzebuję twojej pomocy.

Czesio nieoczekiwanie wstał z „Duranda Duranda”, wyłączywszy „wzmacniacz wyobraźni”, i zaczął spacerować po swojej pracowni. Była dość obszerna, ale zagracona do granic możliwości. Bzdet siedział wciąż na zwykłym drewnianym krześle, którego używał zawsze w czasie wizyt u przyjaciela, konsekwentnie odmawiając udziału w eksperymentach, takich jak na przykład fotel Dybcia czy „Żelazna Mary wnikająca w

umysł”, nad którą wynalazca w końcu zarzucił na szczęście badania po tragicznej śmierci dwóch laboratoryjnych myszy i niestety – kota sąsiadów. „Mary” wyglądała jak krzesło elektryczne i chyba właściwie... była krzesłem elektrycznym.

– To mnie właśnie zastanawia – odezwał się wreszcie ponownie Czesio. – Dlaczego aż tak się w to wszystko, że tak powiem, zaangażowałaś?

– Zwariowałaś? – Bzdet nie mógł uwierzyć, że takie pytanie w ogóle padło. – Przecież to ktoś niezwykle... niesamowity! Ty byś zrobił inaczej?!

– Ja to co innego. Ja jestem świrem. Dla odkryć naukowych dałbym sobie obciąć jaja. No... może jedno. Ale ty jesteś nonkonformistycznym punkiem, negującym jakiekolwiek więzi społeczne!

– Nie jakiegokolwiek! – szybko sprostował Bzdet. – Tylko te wyrastające poza wolną miłość, prawdę i naturę. To, o czym myślisz, tak naprawdę żadnymi więziami nie jest. Bardzo lubię więzi! – obruszył się na koniec punk.

– Niech ci będzie – ustąpił Czesio, ale wciąż wpatrywał się uważnie w przyjaciela. – Na mój gust jest coś jeszcze. I trochę mi przykro, że to przede mną ukrywasz.

– Nie ukrywam – zaprzeczył otwarcie Bzdet. – Przyszedłem powiedzieć ci wszystko co trzeba, jeśli wchodzisz w sprawę.

– No jasne, Izuś! Nawijaj dalej. Życie dzisiaj z sekundy na sekundę staje się coraz bardziej inspirujące!

– Nie jesteś moim jedynym przyjacielem, Koper – zaczął ostrożnie Bzdet.

– To wspaniale. Cieszę się, że z twoim życiem uczuciowym wszystko OK. Masz żonę, wielu przyjaciół. To naprawdę klawo.

– Nie o to mi chodziło. Od dzieciństwa znam pewnego

człowieka.

- Krótszą wersję proszę - uśmiechnął się uprzejmie Dybcio.

- Jego rodzice zginęli w wypadku, wychował go wuj, ksiądz - punk zignorował niecierpliwość Czesia. - On również został księdzem. Kiedy miał dwadzieścia osiem lat, nagle zachorował, wylądował w szpitalu psychiatrycznym, podejrzewano u niego ciężkie zapalenie mózgu, może nawet schizofrenię. Po dwóch tygodniach kryzysu zaczął nieoczekiwanie zdrowieć. Ale wprowadził w osłupienie lekarzy, ponieważ zaczął mówić w obcych językach, wiecznie truł o jakimś zagrożeniu szpitala przez tajemniczych mnichów ninja.

- No, trochę śmieszne, ale dawaj - Dybcio poprawił mocowanie swoich superokularów na nosie.

- Całe jajco polega na tym, że kilka dni później, w nocy, napadnięto na szpital. Jacyś goście przebrani w ciemnozielone habity chcieli porwać mojego przyjaciela i prawie im się to udało.

- Co im przeszkodziło? - Czesio zachowywał się tak, jakby gadali o nowym odcinku *Wojen gwiazdnych*.

- On sam. Spuścił im wpierdół i uciekł wraz z poznaną w szpitalu lekarką, po czym wylądowali u mnie.

- Złać bandę ześwirowanych księży to i ja potrafię.

- To nie byli zwykli księża. To w ogóle nie byli księża, przynajmniej katolicy. Wyznawali jakąś porypaną religię, która mówiła, że prawdziwy Bóg jest teraz w piekle, a Szatan, który wraz Archaniołem Gabrielem zdradził Go, rządzi teraz w niebie i oszukuje całą ludzkość, zadając nam ból.

- No... jest to jakiś pomysł.

- Ci mnisi wywijali mieczami tak, że Bruce Lee to przy nich dzieciak. - Tu Bzdet uniósł wzrok ku górze. - Wybacz, Bruce,

wiem, że nie żyjesz, a ja używam twojego przykładu, ale Van Damme i Chuck Norris to buraki.

- Zaraz... jakimi mieczami?

- Ci kolesie byli tak szybcy i tak wyszkoleni, że sprawiali wrażenie niepokonanych. A jednak mój przyjaciel złał ich po kolei, mimo że nie był nigdy nawet na jednym treningu karate.

- Ilu ich było? - Dybcio tylko czekał, aż Bzdet się roześmieje i wreszcie wyjaśni, że go wkręca.

- Czterech. Trzech walczyło, jeden się nie wtrącał, a po wszystkim zatarł ślady tak, że jak przyjechała policja, nic nie znaleźli. Były trzy trupy i jeden mnich, który posprzątał i zapadł się pod ziemię.

- Co się później stało? - spytał Dybcio, aby grzecznie podtrzymać rozmowę.

- Dużo rzeczy. Musiałbym ci opowiadać parę dni. Na razie to nieważne. Ważne, że mój przyjaciel zyskał zdolności, o których nie śniło się nawet temu czubowi w czarnym gumiaku z Gotham City.

- Dar z niebios? - spytał nabożnie Czesio.

- Niezupełnie. On zaczął pamiętać.

- Biedaczek.

- Przestań się, kurwa, zgrywać! - zezłościł się wreszcie punk.

- Ja naprawdę mówię poważnie.

- Leonardo... - próbował go uspokoić Dybcio. - Jesteś marzycielem. Kocham twoje marzenia jak swoje. Ale ja jestem fizykiem. A ty mi dzisiaj opowiadasz jedną bajkę za drugą.

- Dobra, wal się. Nie było rozmowy!

- OK!!! - podniósł ręce w geście pojednania Czesio. - Chcę tego wysłuchać do końca.

- Nawet nie umiałeś wysłuchać początku!

- Pamiętam każde słowo, a teraz chcę wiedzieć, co zaczął pamiętać twój kumpel.

- Wszystko, czym jest...

Na twarzy Dybcia po raz pierwszy pojawiła się względna powaga.

- A dokładniej?

- Każdy z nas ma setki, tysiące przodków... W nim nagle ich doświadczenia zaczęły żyć, jakby były jego życiem.

- Zaczął pamiętać przeżycia swoich przodków?!

- Przeżycia to mały pikuś. On zaczął pamiętać ich umiejętności... a to, wierz mi, o wiele ciekawszy temat.

Tym razem Dybcio nie miał żadnej ciętej uwagi do przekazania. Otworzył szeroko buzię i czekał na dalsze, jak sądził jeszcze dziwniejsze, opowieści przyjaciela.

- Wyobraź sobie - ciągnął Bzdet - setki, tysiące rycerzy wśród twoich przodków, mistrzowie walki, politycy, złodzieje i chuj wie co jeszcze, niesamowita wiedza... i nagle to obudziło się w czaszce jednego człowieka.

- Geny... - wyszeptał z zachwytem Czesio.

- No jasne, że nie wędrówka dusz. To było dobrych parę lat temu. Najbardziej prawdopodobną teorią jest to, że coś pieprznięło w jego mózgu i zaczął używać tych jego części, do których nie ma dostępu nikt z nas. Używamy zaledwie niewielkiego procenta mózgu. Nie wiemy, co kryją te miejsca, które pozostają uśpione.

- Wiem. To podstawówka.

- To ty skończyłeś podstawówkę?

- Nawijaj dalej.

- On najprawdopodobniej zaczął to umieć.

- Superman z nieograniczoną wiedzą... - rozmarzył się Dybcio.

- No, niezupełnie. To nie jest tak, że on pamięta absolutnie wszystko i wszystkich. Nie wiem dlaczego. Ale pamięta sporo. Na tyle, aby naprawdę robić wrażenie. Poza tym jeśli kazałbyś mu wybudować raketę, nie wiedziałby nawet, jak się do tego wziąć. Nie miałby o tym pojęcia. Bo pamięta tylko przeszłość. Często bardzo daleką.

- Jezu... taka wiedza...

- Jasne. Rozdziawiasz gębę jak każdy. Na początku jest: „Jezuuuu, o rany... takaaaaa wiedza. Powiedz, jak wyglądał Mieszko I?! Czy fajnie było pod Grunwaldem?”. A potem jest płacz, strach i zgrzytanie zębów.

- A czego tu się bać?! To jakiś morderca?

- Nie. To najwspanialszy człowiek na świecie. Chociaż w międzyczasie musiał przestać być księdzem, a żeby bronić nas i siebie, był zmuszony niejednokrotnie zabijać. I wierz mi, dla niego to tragedia, z której trudno mu się pewnie do dzisiaj otrząsnąć.

- Zaraz, zaraz... bronić was i siebie?!?!

- Czy ty słuchałeś, co do ciebie mówiłem, pojebie?

O mnichach, którzy próbowali go porwać?

- OK. Kim są?

- To... cholernie stare bractwo. Od imienia swojego założyciela nazywają się aurelitami. Od stuleci szkolą swoich żołnierzy, mają swoje wtyki w polityce, szpiegów gdzie się da. Kiedyś ich ludzie byli wszędzie, na każdym poważniejszym dworze w Europie. Teraz to po prostu biznesmeni. Tyle tylko, że... z tradycją.

- Co oni mają do tego twojego przyjaciela? Chcą się zapisać na lekcje kung-fu?

- A żebyś wiedział. Człowiek, o którym ci opowiadam, nie jest jedyny. Cholernie rzadko, raz na trzysta, czterysta lat, rodzi się gość, w którym po pewnym czasie budzą się takie zdolności. I ci aurelici o tym wiedzą.

- Od dawna wiedzą?

- Od tysiąca pięciuset lat. Czyli odkąd istnieją. Ich założycielem był właśnie taki człowiek.

- Który „pamiętał”?

- Tak. Który pamiętał. Od tej pory, po jego śmierci, szukali przez całą swoją historię innych Kapłanów Ścieżki Wiedzy (tak ich nazywają), właśnie po to, by zgromadzić niewiarygodną historyczną wiedzę i odprawić tak zwany rytuał Nocy Kapłanów.

- Czadersko... Noc Kapłanów! A o co chodzi?

- Później ci opowiem, to teraz mniej ważne.

- A co może być ważniejszego?!

- Mój przyjaciel musiał uciekać przed nimi, czasem z nimi walczyć, bo nie są to ludzie, którzy lubią słyszeć słowo „nie”. Poza tym on musi unikać całej reszty, która też chce od niego tego, co ma.

- A on oczywiście pragnie tylko spokoju i pokoju na świecie - pokiwał głową Czesio.

- Bywasz kmiotem, Koper, ale jednak mam nadzieję, że trochę zajarzysz, o co tu chodzi. On ma dar, którego nigdy nie chciał. Chciał być księdzem, chciał żyć. A kilka lat temu zwała się na niego ta cała chmara ludożerców, aby wyssać z niego każdą możliwą kroplę krwi.

- Dlaczego o tym nie przeczytałem w gazecie?

- Jednak jesteś debilem. Słuchasz, co się do ciebie mówi? Ci zakapturzeni kolesie to nie są ziomale z Targówka. To najstarsze bractwo świata. Mają szpiegów lub ludzi dla nich pracujących, gdzie tylko to się opłaca. Tacy goście umieją dbać o tajemnicę i swoje interesy. Umieją uciszać tych, którzy tego nie szanują. I umieją przystosowywać się do sytuacji. Byłem świadkiem, gdy to robili. Z bliska. Zajarzyłeś? Jak będziemy mieli jakiś tydzień wolnego, to ci kiedyś o tym opowiem. Ale teraz nie mamy. Mówię ci to wszystko, bo wierzę, że pomożesz.

- Dlaczego ty żyjesz?

- Właśnie dzięki człowiekowi, o którym ci mówię.

Umiał ochronić nas przed aurelitami. Mało tego, dogadał się z ich młodym pokoleniem, które parę lat temu obaliło staruchów odprawiających czary-mary sprzed stuleci, jakby urwali się z debilnego filmu o prastarych bractwach i zamienili to wszystko w organizację biznesmenów. Zawarli pokój z moim przyjacielem, nie czepiają się takich jak ja i na razie jest spokój.

- Gdzie jest ten twój Kapłan?

- Żyje spokojnie wśród Indian amazońskich.

- Więc w czym problem?

- W tym, że pierwszą rzeczą, o którą poprosił nasz młody przyjaciel z gwiazd, z przyszłości czy cholera wie skąd tam, to właśnie o kontakt z Kapłanem.

- O kurwa! A ja myślałem, że to tylko tobie przytrafiają się historie jak z „Nie z tej ziemi”.

- Nie. Przytrafiła mi się jedna taka historia i ona wciąż trwa. Bo ten gówniarz to, jak widzę, ciąg dalszy wciąż tej samej historii.

Dybcio zmrużył oczy i zrobił filozoficzną minę.

- A więc podsumujmy - rzekł, udając profesorski ton. - U twojej kumpeli w szpitalu psychiatrycznym leży koleś z trzema nerkami, trzema płucami i dodatkowym płatem w mózgu, który pewnie służy mu do walenia tekstów na odległość bez otwierania japy. Przekazał ci tą swoją „antenką”, że chce Kapłana. Jaki miły przypadek, że akurat go znasz. Kapłan umie używać swojego z kolei mózgu tak, że ma świadomość pamięci genetycznej swoich przodków. Żyje sobie wśród dzikich w Amazonii. Ale niedługo przyjedzie. Pewnie zabierze swój miecz i będzie fajnie, bo to żywy samuraj z XXI wieku. Coś jeszcze zabierze?

- Dlaczego jesteś takim dupkiem? - warknął Bzdet.

- Bo jestem fizykiem, astronomem, chemikiem, wynalazcą, ale na pewno nie kretynem, któremu można wcisnąć taki kit. Nie wiem, co ci odbiło. Było fajnie, jak nawaliliśmy policjantową „nektarem Olimpu”, podobało mi się, jak wysadziliśmy mój sedes w powietrze, kiedy zakładaliśmy „dematerializator kup”, i nigdy nie miałem pretensji, że nie chciałeś usiąść na „Żelaznej Mary wnikającej w umysł”. Ale dziś przegiąłeś. Czujesz to? A jeśli nie czujesz, to wymagasz pomocy, i ja ci jej chętnie udzielę, bo jesteś moim przyjacielem, a ja jestem twoim przyjacielem, i od tego w ogóle są przyjaciele. Żeby sobie pomagać. I ja ci właśnie pomagam.

- Zamknij się - przerwał krótko Bzdet.

- Bo?

- Bo dzisiaj możesz zobaczyć to na własne oczy. I może umówmy się tak: jeśli ściemniam, siadam na „Mary”, ile razy chcesz. Ale jeśli jednak mówię prawdę... pomagasz mi bez gadania, nawet gdybyś miał się zesrać ze strachu. Stoi?

- Jesteś chory i nieetyczne byłoby wykorzystywać cię w

takim stanie. Ale... ja jestem nieetyczny. Stoi. Właściwie, co nam może grozić? Pokój z aurelitami jest zawarty. A taki Kapłan rodzi się raz na trzysta lat, więc co nam tam jeden Kapłanik... następny kłopot dopiero w 2300 roku. Trochę czasu. Jedźmy do chłopca z gwiazd, a w wolnej chwili spytamy twojego kumpla z dżungli, gdzie jest Bursztynowa Komnata. Może akurat wie. Czemu miałby nie wiedzieć? Przecież wie tyle, że czacha dymi.

- Niezupełnie - mruknął wisielczym tonem Bzdet, bohatersko znosząc gadkę Czesia.

- Co niezupełnie?

- Niezupełnie masz rację.

- Nie? Nie mam? A w którym miejscu?

- To niejedyny Kapłan.

- Słucham?! Przecież mieli się rodzić co kilkaset lat!

- Tak - przyznał punk. - Z jednej linii tak. Ale jakiś czas temu pojawił się ktoś o podobnych zdolnościach do Kapłana... Właściwie to się... pojawiła.

- Kobieta?!

- Tak. Nieco różni się od mojego przyjaciela. Nie pamięta tak jak on merytoryki przeszłości. Paradoksalnie, podobno ma nawet amnezję do tego stopnia posuniętą, że nie pamięta przeszłości ze swojego życia. Zna fakty tylko z ostatnich pięciu lat. Miała mały wypadek. To znaczy duży. Bardzo duży. Ale „pamięta”... umiejętności. I jest tak sprawna jak on.

Czesio postanowił podłączyć się z powrotem do „Duranda Duranda”. Tym razem na fale uspokajająco-kojące. Widząc krytyczny wzrok Bzdet, uspokoił go łagodnym tonem.

- Kontynuuj, Janie Christianie. Wobec obietnicy związanej z „Mary” jestem twój. Cała moja uwaga jest do twojej dyspozycji.

Bzdet zrezygnował z walki. Postanowił opowiedzieć wszystko do końca, aby później nie tracić czasu i zaoszczędzić sobie okrzyków „O rrrany!”, „Jezuuu!”, „To niemożliwe!!!” i tak dalej.

– Urodziła się w Japonii i jest inna – ciągnął dość spokojnie. – Zarabiała jako zawodowy morderca. Brała kasę od zbuntowanych aurełitów i mordowała na ich zlecenie.

– Zbuntowanych?!

– Tak. Po objęciu władzy przez młodych część zwolenników dawnego porządku oddzieliła się i... no, nieważne. Okazało się, że ci buntownicy robili Japonkę w bambuko, i to w bardzo ważnych dla niej sprawach, a kiedy to odkryła, wyrznęła całe ich... no... kierownictwo, czy jak tam to się nazywało. Jatka była taka, że na ich mecie więcej było krwi niż farby na ścianach. Słuchy chodziły takie, że ona też zginęła, aleja w to nie wierzę. Ona może nadal zagrażać nam i jemu...

– A o tym nie wspominałeś – zauważył zyczliwie Dybcio.

– Tak. Na zlecenie tych zbuntowanych nas też chciała zarznąć. Kiedy jeszcze nie wiedziała, że ją wykorzystują, a tak naprawdę kiwają na całego. Kapłan nas ochronił. Spuścił jej łomot i nie wiemy, co było dalej. On nawet mnie nie chciał o tym mówić.

– Dostyc – poprosił Czesio.

– Co?

– Może już jedźmy gdzie trzeba, „Mary” czeka. Już czuję, jak tęskni, kiedy wrócimy.

– Jak chcesz. Nie masz żadnych pytań?

– Nie. W kreowaniu wyobraźni przebiłeś „Duranda Duranda” o kilka pięter. Chociaż... może jedno: jak się nazywają ten twój kumpel i ta Japonka?

- Nazywają ją Haiku, bo przed wykonaniem wyroku podobno cytuje starojapońskie wiersze. A mój przyjaciel nazywa się Lorent, Krzysztof Lorent.

ROZDZIAŁ 5

Kiedy zbliżali się do pstrokatego domu Cipuchy i Bzdeta, jest niemal pewne, że żaden zwykły człowiek nie byłby w stanie ich usłyszeć, ani tym bardziej zauważyć. Oboje jednak mieli nieodparte wrażenie, że mimo wszystko las nie jest spokojny. Na pierwszy rzut oka nie było tu żywej duszy, a najprawdopodobniej także gospodarzy w domu. Przyczaili się za drzewami, obserwując w milczeniu, spokojnie, całe otoczenie gospodarstwa.

– Czujesz to co ja? – spytała wreszcie szeptem dziewczyna.

– Od kilku minut – mruknął Kapłan. – Ale teraz, jak zaczęłaś truć, to na pewno już wiedzą, że tu jesteśmy.

– Jasne... a co miałam zrobić?! Nadać ci to morsem?

– Możesz zamknąć na chwilę buzię, Yasuko? – poprosił Lorent, usiłując się możliwie najbardziej skupić.

Zniecierpliwiona dziewczyna uniosła oczy ku górze.

– Sto, sto pięćdziesiąt metrów? – spytał Kapłan po chwili jakby siebie.

– Ponad dwieście – odparła spokojnie Yasuko. – W tym zawsze byłeś gorszy ode mnie – wzruszyła ramionami.

Krzysztof zignorował jej uwagę, ale w duchu przyznał rację.

– Co robimy? – spytała.

– Rozdzielimy się. Nie zabijaj, jeśli wcześniej ich znajdziesz.

– To jedna osoba.

– Też tak myślę. Ale na wypadek gdybyśmy jednak nie byli nieomylni, proszę grzecznie: nie zabijaj ich.

- To jeden gnojek. I z tego, co słyszę, niezbyt bystry. Jest subtelny jak samiec *semi*⁴ podczas godów.

Krzysztof przytaknął, ale nie tracił czujności.

- Gliniarz?

- Nie aż tak mało bystry - pokręciła głową Yasuko. - Aurelita.

Lorent spuścił głowę bezradnie.

- No jasne... a któżby inny - mruknął zrezygnowany.

- Powinnam wtedy zabić Baleę - w głosie dziewczyny zabrzmiał zaskakująco... melancholijny ton.

- Nie wierzę.

- W co?

- Ze to ktoś od Luigiego.

- Już dawno się umówiliśmy - uśmiechnęła się dziewczyna.

- Ty będziesz ten szlachetny i naiwny, a ja ta zła i trochę praktyczniejsza. Idę tędy - Yasuko niemal bezszelestnie zniknęła za drzewami.

Krzysztof uklęknął, zamknął oczy i dopiero teraz mógł prawdziwie usłyszeć las. Yasuko bezbłędnie i szybko mknęła w stronę przeciwnika. Kapłan, dopiero gdy się upewnił, że nie ma w pobliżu nikogo innego, szybko ruszył za nią.

Rywal nie uciekał. Przestał wydawać dźwięki. Gdy dziewczyna dotarła na miejsce, skąd kilkadziesiąt sekund wcześniej się wydobywały, błyskawicznie wyjęła miecz z *umuri*, gotowa do walki. Czekwała. Gdy zza żadnego drzewa nie wyłonił się rywal, teraz ona przyklęknęła i zamknęła oczy, aby spróbować wyczuć oddech intruza. Jak się okazało, nie było to potrzebne. Ledwie dwadzieścia metrów przed nią smukła postać odziana w zgniłozielony habit wyszła z ukrycia, patrząc

jej prosto w oczy.

- No i dlaczego ja zawsze muszę mieć rację - westchnęła głęboko dziewczyna.

- Haiku! - mruknął z czystą nienawiścią w oczach aurelita.

Yasuko na chwilę zdrętwiała. Mnich odsłonił twarz. Nie bał się jej. Nie był zaskoczony.

- Skąd mnie znasz, *semti* - spytała groźnie, specjalnie nie ukrywając pogardy. Nie umiała rozpoznać jego rysów. Nie zapamiętała jego oczu ani niczego, co mogłoby obudzić jakiś sygnał w jej pamięci.

- Znam wielu morderców - aurelita zmrużył oczy - ale mało kto aż tak zasługuje na piekło jak ty.

- Chłoptaş Trantignana? - upewniła się dziewczyna. - A myślałam, że zamknęliście już swój mały klu- bik zacofanych pokrak. Nie za wielu już was zostało, hmm?

Mnich ruszył z impetem w stronę Yasuko.

Na jej twarzy pojawiło się szczere zdziwienie.

- Chcesz umrzeć, głupcze? - mruknęła do siebie, nie rozumiejąc postępowania aurelity.

Mnich uniósł miecz i zadał kilka pierwszych ciosów. Bardzo szybko i niespodziewanie odważnie. Haiku cofnęła się o krok i, co ją samą jeszcze bardziej zadziwiło', przeciwnik zmusił ją do obrony. Spodziewała się szybkiej wygranej. Każdy, nawet najsprawniejszy aurelita był - biorąc pod uwagę jej umiejętności - bezradny w walce zarówno wręcz, jak i szczególnie wtedy, gdy miała w ręku miecz. Dość gęsty las utrudniał pojedynki. Przeciwnicy co chwila musieli omijać kolejne drzewa, by dotrzeć do rywala jak najskuteczniejszym cięciem. Yasuko zablokowała właśnie silny cios z góiy i niemal w tej samej chwili ujrzała ostrze miecza aurelity na wysokości

własnych bioder. Z najwyższym wysiłkiem zrobiła unik do tyłu, jednak świst ostrza natrafił na jej czarną, skórzaną kurtkę, na szczęście tylko delikatnie dziewczynę raniąc. Japonka wyczuła obok siebie Krzysztofa, który odbił następny cios i jeszcze dwa kolejne, dając jej czas na powrót do walki. Teraz stanęli po dwóch stronach przeciwnika. Aurelita zacisnął zęby w bezradności. Jeszcze przez chwilę walczył ze sobą, czy nie kontynuować, aż wreszcie się odwrócił i błyskawicznie zniknął za drzewami.

- Jezu, kto to był?! - spytał kompletnie zbity z tropu Lorent.

- Teoretycznie aurelita - Haiku starała się wyrównać oddech. - Ale albo na nieznanym mi do tej pory speedzie, albo coś tu bardzo nie gra.

- Był w stroju aurelity - Krzysztof wciąż szukał uparcie jakiejś sensownej odpowiedzi.

- Bo to był aurelita - Yasuko dość sprawnie poradziła już sobie ze skutkami chwilowego zaskoczenia i szoku.

- Tak wyszkolony?! Mało cię nie zabił! Normalnie pojedynkę z rycerzem aurelickim zająłby ci góra dziesięć sekund!

- Dałabym sobie radę i tym razem - warknęła wściekła Japonka.

- Oczywiście - przytaknął nie gotów teraz na kłótnie Lorent.

- Jesteś cała?

- Lekko mnie zadrapał. Zniszczył mi, kretyn, kurtkę!

- Musimy się wycofać - zdecydował Kapłan.

- Zostawisz ich tu? Swoich przyjaciół?

Krzysztof zaprzeczył zdecydowanym ruchem głowy.

- Jestem niemal pewien, że ich tu nie ma. I obym miał rację. Spóźniliśmy się. Ktoś obserwuje ten dom, a człowiek, którego

spotkaliśmy, z pewnością nie jest tu sam.

Lorent znowu zamilkł na kilka sekund.

– Jak to możliwe, że był w stanie cię zranić?

– Nie wiem, ale to na pewno aurelita. Ich styl poznałabym wszędzie.

– To co się stało?

– Walił jak cepem, podobnie jak każdy z nich, tyle tylko, że... niesamowicie szybko. – Haiku głęboko wzięła oddech. – Nadnaturalnie szybko. Szybciej niż ty i ja. A co dopiero normalny człowiek. Walczył jak robot. Prostacko, ale konsekwentnie i tak jakby połknął kilogram amfetaminy.

– No, to mamy kłopot – Lorent cały czas starał się nasłuchiwać, czy nie grozi im nowe niebezpieczeństwo. – Popelniliśmy podwójny błąd. Nie dość, że przybyliśmy za późno, to jeszcze oni teraz wiedzą, że tu jesteśmy. A my o nich nie wiemy nic.

– Zrobił na tobie wrażenie naćpany aurelita, któremu udało się na chwilę mnie zaskoczyć. Niech tu przylezie drugi raz, to zobaczymy – odgrażała się dziewczyna.

– Dorośnij, Yasuko! – skarcił ją Kapłan. – Ten facet nawiązał z nami walkę jak równy z równym! A stał tylko na czujce. Wiesz, co to oznacza?! Ze to nie tylko małe kłopoty. Znalazł się ktoś, kto okazał się lepszy niż my.

– Co ty mówisz?! – teraz z kolei Yasuko gniewnie zmarszczyła brwi. – Nie ma takich jak my! Mogą nas zabić kulą z karabinu, armatą, czołgiem, ale nie mieczem! To po prostu niemożliwe! Mamy wiedzę nieporównywalną z żadnym człowiekiem żyjącym na ziemi. A na tobie robi wrażenie aurelita z ADHD, któremu ktoś coś wstrzyknął, dlatego nie narobił w majty na mój widok i udało mu się przeżyć.

- Nie. Zrobiło na mnie wrażenie to, jak szybko biega. Zniknął tak błyskawicznie, że teraz nie mam pojęcia, gdzie jest. Las milczy, nie słyszysz?

- To prawda - przyznała Haiku, której skończyły się najwidoczniej argumenty na to, że nic właściwie się nie stało.

- Więc to trochę więcej niż ADHD. A teraz spróbujmy się stąd wydostać. Mam nadzieję, że będziemy mieli na tyle szczęścia, że przeżyjemy.

Doktor Aleksandra Sambierska mocno chwyciła ramię Bzdeta i zdecydowanym ruchem odprowadziła go kilka metrów na bok, pod ścianę korytarza.

- Co ty, do cholery, wyrabiasz, mopie jeden?! - syknęła wściekła.

- Zupełnie nie rozumiem, o co ci chodzi - odparł spokojnie punk. - Staram się najzwyczajniej w świecie pomagać.

- Jak?! Przyprawdzając tu tego świra? Ty jeden już wystarczysz!

- Jezu... jak ty skończyłaś medycynę? - pokręcił głową zgorzony punk. - Jak gości nazywasz świrami, to co dopiero myślisz o pacjentach.

- Nie twoja sprawa! - warknęła, nie spuszczać z tonu. - Wiesz, ile musiałam się nagimnastykować, żeby w miarę skutecznie ukryć tu chłopaka? Ile ryzy- kuję?!

- Wszyscy ryzykujemy - zauważył punk.

- Wszyscy?! A ty niby czym? Ze skrzyczy cię tutejsza pani woźna?! Ja, Bzdeciu, ryzykuję karierę. Wiesz, co to w ogóle jest Naczelna Izba Lekarska? Wiesz, ile przepisów złamałam? Wiesz, co teraz robi Jurga? Siedzi i obgryza paznokcie w swoim gabinecie, zastanawiając się, gdzie zadzwonić. I jedyne, co go

powstrzymuje, to fakt, że boi się śmiechności. Że go wyśmiejają! Do czasu zanim się przemoże, chłopak musi stąd zniknąć.

– A Suchowski? – Bzdet postanowił wykazać zrozumienie, a przy okazji zakłopotanie.

– Wybiera garnitur, w którym ma zamiar odebrać Nagrodę Nobla. – Sambierska rozejrzała się uważnie po korytarzu. – Zanim się zorientuje, że nie ma żadnych materiałów.

– A nie ma? – po tym pytaniu buzia punka jakoś się przez chwilę nie zamykała.

– Na jego oddziale pracuje mój były chłopak. Kiedy rzucił mnie mój pierwszy mąż, byłam z nim pewien czas, ale przyjaźnimy się do dzisiaj.

– Ciekawie opowiadasz. Nie przeszkadzaj sobie... kontynuuj.

– Wykradł wszystkie rentgeny, skany i materiały komputerowe po rezonansach. Suchemu zostały w biurku tylko nic niewarte notatki, które równie dobrze mógł sobie napisać o kosmitach. Wszystko mam ja.

– I Suchy o tym cały czas nie wie?

– Nie sądzisz, że by zadzwonił, jakby się dowiedział?

– Jak się skapuje, staniesz się jego, jak sądzę, ukochaną koleżanką do grobowej dechy.

– Trudno, takie życie.

– A twój mąż?

– Jutro wylatuje do Londynu na ważną dla niego konferencję. Jak mu piśniesz cokolwiek przed wyjazdem, wyjmę ci operacyjnie jądra jamą ustną, zrozumiałeś, mo- pie?! – Ola zrobiła wyjątkowo groźną minę.

– A kto by chciał mu donosić? Wyluzuj... – nawet Bzdetowi nadpobudliwość Sambierskiej wydała się przesadzona. – To

wasza sprawa, o czym sobie mówicie. Profesorek jest OK. Niech jedzie do Anglii i dobrze się tam bawi, a my tu zajmiemy się czym trzeba.

- No - mruknęła pojednawczo Ola - tak już lepiej. Co to za jemioł? - wskazała drzwi sali, za którymi właśnie zniknął Dybcio, by „zbadać obiekt”. - Nie dziwię się, że go z tobą wpuścili, wygląda jak jeden z pacjentów.

- Nie żartuj z niego! - obruszył się Bzdet. - To wybitny wynalazca i naukowiec. I mój przyjaciel. Uznałem, że jego wiedza bardzo się przyda. Do tej pory żadne z nas nawet nie miało pomysłu, co zrobić z dzieciakiem. A ten koleś przeczytał więcej książek, niż ty masz włosów na głowie. - Punk nieco się zmieszał. - Nie mówię, że masz mało włosów... na głowie. Masz bardzo dużo ładnych włosów. .. chciałem tylko swego rodzaju przenośnią wyrazić...

- Wiem, co chciałeś - machnęła ręką lekarka. - Co on wie?

- Na razie w nic nie wierzy. Ale wie o Krzyśku.

- Ty kretynie!

- Wiem, co robię, Olu! - Bzdet wydawał się przekonujący. - Zaufaj mi, do cholery! Nie masz patentu na Lorenta. To mój przyjaciel i kocham go nie mniej niż ty. Tak będzie najlepiej, zobaczysz.

- Jezu... ten facet nie ma ucha.

- Jeszcze raz gratuluję lekarskiej etyki! - pokiwał głową z zażenowaniem punk. - Nie wykształciła mu się małżowina. Od urodzenia. Jak znajdzie czas, zrobi sobie zapasową. Jeszcze jakaś równie dojrzała uwaga?

- Chodźmy tam. Cipucha, Czarno-Biały i... jak ty go nazywasz?

- Koper.

- .. .i Koper. To może być zbyt pikantna dawka Ziemiań jak na biednego chłopaka.

Bzdet uśmiechnął się pod nosem. Ola zmierzała już do sali, ale jeszcze na chwilę się zatrzymała.

- Dlaczego twojego kumpla tak nazywają? - spytała. - Od zieleniny?

- Od Kopernika. Wiesz, takiego astronoma, lekarza i tak dalej...

- Ha, ha, ha - wyszczerzyła sarkastycznie zęby lekarka. - Jakiś ty omnibusiasty. Zobaczmy, w którym momencie skończy ci się poczucie humoru.

- Może jak przylecą jego mama i tata, którzy będą mieli po cztery nogi i po dwie głowy? Wiesz... co cztery głowy, to nie dwie.

Komórka Sambierskiej rozdzwoniła się nagle w kieszeni fartucha.

Lekarka wyjęła telefon i spojrzała z zakłopotaniem na Bzdeta.

- To Suchy.

- Jak na zawołanie - skrzywił się punk, ale nagle niespodziewanie poweselał, i to na tyle, że kompletnie przestał się interesować okradzionym przez Sambierską profesorem.

- Odebrać? - jęknęła Ola, nieco zdziwiona reakcją Bzdeta.

- Olej go! - machnął ręką uradowany punk. - Lepiej odwróć głowę i zastanów się, co powiesz jemu! - wskazał na postać zmierzającą w ich stronę korytarzem.

- Krzysiek... - wyszeptała, łapiąc mocno oddech.

- No, no, no... - zarechotał Bzdet. - Jeszcze bardziej wybałuszysz oczy i jednak zadzwonię do mężusia.

Ola nie słuchała Bzdeta tylko pobiegła w stronę Lorenta i wpadła w jego ramiona, nie zwracając uwagi na nikogo na korytarzu. Gdy tylko utonęła w jego uścisku, kilka metrów za nim zauważyła ostrożnie rozglądającą się Yasuko.

- Matko Boska! - usłyszała za sobą przerażenie punka. - Haiku!

Lekarka rozluźniła uścisk, kierując pytające spojrzenie w oczy Lorenta.

- Spokojnie... - powiedział cicho. - Wszystko jest w porządku. Ona jest ze mną.

- Rok temu widziałam, jak niemal cię zabiła! - jęknęła Ola.

- A teraz od roku współpracujemy. Ona naprawdę jest kompletnie inną osobą niż... no wiesz.

- Żyjesz z nią? - puściła już całkowicie Krzysztofa.

- Mieszkamy oboje u Kaneczua.

Lekarka zmierzyła ją ostrym spojrzeniem. Bzdet przykleił się do ściany. Na szczęście nikogo oprócz nich nie było na korytarzu. Po chwili z sali wyszedł Czesio i przesłał mu pytające spojrzenie.

- Nie tak, jak myślisz - uśmiechnął się Lorent także do Bzdeta.

- Skąd wiesz, co ja myślę? - udało jej się rezolutnie wypogodnić. - Jest piękna. A ty już nie jesteś księdzem.

- Cipucha też jest tutaj? - Kapłan zignorował kłopotliwą uwagę Oli.

- Tak.

- To dobrze.

- Jaktuweszliście?

- Do szpitala psychiatrycznego łatwo wejść. Trudniej z niego

wyść.

– Pamiętasz? To twoje piętro. Co by było, gdyby ktoś z personelu cię poznał?

– Po prawie sześciu latach?

– Uciekłeś stąd. Do tej pory cię nie znaleziono – uśmiechnęła się Sambierska i pocałowała go lekko w policzek.

– Staraliśmy się nie rzucać w oczy.

Kapłan kiwnął lekko głową do Haiku.

– Yasuko Kimura, Ola Sambierska – dokonał prezentacji, gdy Japonka zbliżyła się do lekarki.

Haiku wyciągnęła dłoń i uśmiechnęła się niespodziewanie.

– Rzeczywiście wiele się zmieniło – przyznała Sambierska, witając się spokojnie z gościem.

Bzdet, a za nim Dybcio zbliżyli się do nich. Punk z wciąż niezbyt przyjazną miną, ale i on podał rękę Japonce. Czesio, ściskając dłoń Haiku, nie mógł zrozumieć, jak można się bać tak delikatnej, pięknej kobiety.

– Nie możemy być tu zbyt długo – westchnął cicho Krzysztof. Sambierska skinęła głową.

– Chodź go zobaczyć.

Luigi Balea wstał od stołu, przy którym siedzieli Andrea Villon, Pierre de Fleur i Alain Forteil oraz kilku braci zajmujących się bezpieczeństwem Rodziny. O sprawie wiedziało najwyżej kilkunastu braci, starannie przez mistrza dobranych, a jego wyraźnym życzeniem było, aby tak na razie zostało. Przynajmniej do czasu, kiedy upublicznienie tego w Chatillon nie będzie absolutnie konieczne. Luigi z zasady niechętnie ogłaszał złe wieści, nawet swojemu najbliższemu otoczeniu.

Dość ciężkie niekiedy brzemie kłopotów brał raczej na siebie, instynktownie. Taki był koszt władzy. Rozwiązywanie kłopotów zaczynał od siebie. Ceniono go za to, ale zwyczaj ten, co zrozumiałe, u wielu rodził lęk. Lepiej mieć do czynienia ze złem dobrze poznanym niż pozostającym tajemnicą. Nikt jednak mistrzowi nie śmiał się w tej kwestii przeciwstawiać. Do tego stopnia, że tajemnica powierzona komukolwiek z Chatillon raczej nigdy nie wyciekała na zewnątrz. Słowo „plotka” w słowniku wielu w ogóle nie istniało i chyba mało kto pamiętał, aby przez kogokolwiek w ciągu ostatnich lat było używane.

– Bracia – rzekł dość cicho swoim zwyczajem Balea – proszę, abyście zostawili mnie samego na kilka minut. Za chwilę was poproszę. Andrea, ty również zostań. Resztę proszę o to, aby zażyła spaceru.

Wszyscy z wyjątkiem Villona wstali, z pewnym zakłopotaniem, ale i ulgą po długiej naradzie. Gdy zamknęły się drzwi za ostatnim z nich, Luigi podszedł z powrotem do stołu, by usiąść blisko swojego dawnego mistrza.

– Wyczułem, mój stary przyjacielu, że jest coś, co zostawiłeś tylko dla mnie. Nie powiedziałaś przed chwilą wszystkiego.

– To prawda, Luigi – Villon westchnął, nie ukrywając zaniepokojenia. – Kapłan jest w Europie. W Polsce.

Luigi zmrużył lekko oczy.

– To pewne?

– Giordano Coluneo i jego ludzie. Nie ma możliwości, aby opuścił swoją wioskę bez ich wiedzy. Są we wszystkich miejscach, z których w jakikolwiek sposób można opuścić tereny Kaneczua. Lądowiska, wszelkie środki transportu. Na szczęście sam jeszcze nie umie latać.

– Może to przypadek. Ma w Polsce przyjaciół.

- Jest gorsza wiadomość.

- Ta nie jest taka zła. Z nim dogadamy się łatwiej niż z Xavrilem. No i on łatwiej go powstrzyma.

- Jest z nim Japonka.

Luigi drgnął. Chwilę tkwił bez ruchu, aż wreszcie opuścił bezradnie głowę.

- Dlaczego ja zawsze muszę mieć rację - mruknął bardziej do siebie niż do Villona. - Wszyscy byli tacy pewni, że nie przeżyła w Slazerhoffie. Ale i to nie jest aż taka zła wiadomość.

- Nie o tym myślałem. Sądzę, że skoro Lorent spuścił ją ze smyczy... to upada nasza wersja o przypadku.

- Tak - westchnął Luigi. - To właśnie jest zła wiadomość. Ktoś musiał mieć dobry powód, żeby wyciągnąć go od tych jego dzikusów i jeszcze nakłonić do tego, by zabrał Haiku. A to napawa mnie niepokojem.

- Myślę, że wiem, dokąd jedzie Xavril Ganti.

- Mówiłeś pół godziny temu przy braciach, że omijając duże miasta, kierują się w stronę Katowic. Tak się nazywa to miasto?

- Tak. Wybacz, ale celowo byłem niedokładny. Śledzimy ich satelitą. Godzinę temu zameldowano mi, że od dłuższego czasu są w jednym miejscu.

- Niech zgadnę. W lesie otaczającym dom, w którym Kapłan ukrywał się pięć lat temu, kiedy uciekł przed nami ze szpitala z doktor... o ile pamiętam, Sambierską?

- Tak się nazywała. Też to pamiętam. I właśnie tam są.

Teraz dopiero Balea wstał i zaczął chodzić po komnacie z rękami założonymi z tyłu.

- Nie nadużywaj satelity. Drogo nas kosztuje, a nasi ludzie sporo ryzykują - powiedział po chwili.

- Chcę poczekać na Kapłana.

- Nie czekaj. Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent tam jedzie. Tylko nie wiadomo po co.

- Zakładam, że chronić przyjaciół.

- Oczywiście, że tak. Ale chyba nie sądzisz, że Gan- tiemu chodzi o nich. Ściągają go, a ja nawet nie umiem się domyślić dlaczego.

- Żeby go zlikwidować?

Balea wzruszył ramionami.

- Po co? To tak trudne, że musieliby mieć niesamowicie wręcz ważny powód. A mnie właśnie interesuje ten powód. Z góry odrzucam wersję, że Lorent zgodził się z nimi współpracować. A już szczególnie, że zgodziła się na to Kimura.

- Odradzam wkraczanie.

- Nie musisz odradzać. Ale znajdź Krzysztofa.

- Przez lekarkę?

- Tak. Tych kolorowo uczesanych, dziwnych ludzi zostaw. Nie rozumiem, co nimi kieruje. Poza tym nie zbliżaj się na razie do ich domu. Może lekarka cię wysłucha. Może ona wie więcej od nas.

- Tego ekscentrycznego mężczyzny z żoną nie ma w domu od wielu godzin. Przynajmniej od czasu, kiedy mam tam satelitę. Xavril z resztą swoich ludzi zatrzymał się w pobliżu i czekają.

Drzwi do komnaty lekko się uchyliły i wszedł Alain Forteil z telefonem w dłoni.

- Dzwonią z Polski. Mówią, że to sprawa niecierpiąca zwłoki.

Villon spojrzał na Baleę. Luigi skinął głową. Andrea wziął telefon od sekretarza, który natychmiast zniknął za drzwiami.

Włączył system głośnomówiący.

– Kapłan i Haiku weszli do lasu – mówił głos w słuchawce.

– O mój Boże... – jęknął stary nauczyciel.

– Pół godziny później szybko opuścili to miejsce. Pojechali do Warszawy. Zostaliśmy z Xavrilem.

– Słusznie. Nie spuszczaście go z oka. Wiesz, co stało się w lesie?

– Za gęsty teren, aby mieć całkowitą pewność. Analizujemy teraz nagranie i obrabiamy to na komputerze. Wynika z tego, że jeden z nich próbował zabić ich oboje. Wszystko wskazuje na to, że Roe Rasmussen. Po krótkiej walce uciekł.

– Słucham?! – Villon nie mógł uwierzyć. – Twierdzisz, że Rasmussen rzucił się na dwójkę Kapłanów?!

– Tak. I przeżył. Jesteśmy pewni. Chyba nie chcieli go zabić.

– Był sam?

– Tak. Pozostali byli dość daleko, po drugiej stronie domu. Czasem ciężko ich odszukać. To naprawdę gęsty las.

– Będę w kontakcie – rzucił szybko do słuchawki Andrea i się rozłączył.

– A już myślałem, że nic mnie nie zdziwi – odezwał się Balea, kiwając wciąż głową z niedowierzaniem.

– Oni powariowali – szepnął nie na żarty zaniepokojony Villon.

– Dziwisz się, że rzucił się na nich? Dziw się, że przeżył. Ale przynajmniej mamy uzasadnione podejrzenie, że raczej nie współpracują. Lorent na pewno pojechał do Sambierskiej. Ale wiesz co, zmieniłem zdanie. Nie zbliżaj się do Kapłana. Postaraj się, żeby twoi ludzie jak najdłużej byli w stanie go obserwować.

– Zorientuje się.

- Może nie od razu. A później może nie będzie mu to przeszkadzało. Jest najlepszy z nas wszystkich. Zakładam, że ma plan. Cokolwiek się stanie, niech nasi ludzie staną po jego stronie. Przydamy się mu. Jest nadzieja, że przy okazji rozwiążemy nasz problem.

Chłopiec wyczuł obecność Kapłana, zanim Krzysztof wszedł do szpitala. Wiedział też, kto mu towarzyszy. Wśród uśmiechów i prób rozmowy z Cipuchą nagle spoważniał, usiadł na łóżku i szeroko otworzył oczy. Przestał też reagować na żarty dziewczyny, a tym bardziej na refleksje co pewien czas ogłaszane przez Czarno-Białego.

- Powiedz, powiedz - domagała się wciąż Cipucha. - „Szafa”... „łóżko”... Już przecież powiedziałeś!

Po kilkudziesięciu sekundach ona jednak także się zaniepokoiła, widząc znieruchomiałego jak kamień chłopca.

- Hej, mały, co ci jest? - dotknęła jego ramienia. - Nie strasz mnie.

Chłopiec wciąż tkwił w bezruchu.

- Kolory w nim odpływają... - ocenił Czarno-Biały.

- Hej, mały! - nie dawała za wygraną dziewczyna. - Proszę cię, obudź się. Weź coś mruknij, albo chociaż nadaj mi po swojemu, bo w ogóle nie wiem, o co ka-man?

Rozejrzała się niepewnie dookoła. W pokoju nie było Oli ani nikogo, z kim można by się podzielić strachem.

- Nie świruj! - prosiła dalej płacząco Cipucha. - Jak ci zaraz zacznie wyrastać druga głowa albo wyfruniesz oknem na dywan, będzie na mnie, kapujesz?!

Zanim jej serce dostało kompletnej palpitacji, drzwi się

otworzyły i wszedł Lorent, spokojnie uśmiechając się do Cipucha, po czym szybko przeniósł wzrok na chłopca.

- Krzyś! - niemal wrzasnęła Cipucha i już zrywała się z łóżka, by zawisnąć mu na szyi, ale ten łagodnym, choć zdecydowanym ruchem poprosił, żeby wyszła na chwilę z pokoju.

Dziewczyna co prawda powstrzymała się przed wylewnym obcałowaniem Lorenta, ale jakoś przestało jej się śpieszyć z wyjściem, kiedy zauważyła, że twarz Kapłana zaczyna wyrażać wyraźny ból, a palcami mocno uciska skronie.

- Nic mi nie jest - szepnął cicho do dziewczyny. - Idź do Oli i reszty, czekają na korytarzu.

- Na pewno?! - Cipucha znana była, jak ogólnie wiadomo, z dociekliwości.

- Tak.

Do pokoju niemal bezszelestnie weszła Haiku. Wyczuwając, że z Krzysztofem jest coś nie tak, instynktownie położyła rękę na *umuri*.

- A ty to byś się tylko napierdalała! - warknęła na nią Cipucha, po czym zdębiała, gdy doszedł do jej szarych komórek całokształt sytuacji. - Boże... - teraz dopiero zdębiała ze strachu. - Co ty tu robisz, laska?

- Jest ze mną, na korytarzu ci wszystko wytłumaczą - wtrącił Lorent. Mówił z coraz większym wysiłkiem: - Wyjdź i zabierz tego pacjenta. Proszę...

- Mantu... - wyszeptał z trudem chłopiec, wpadając w coraz silniejszy trans. - Uá...

- Spadamy, kolorowa! - zgodził się Czarno-Biały. - Szaro się zaczyna robić.

Oboje szybko zniknęli za drzwiami.

Kapłan wpił wzrok w chłopca.

- Słyszysz go, Yasuko? - spytał, ciężko oddychając.

- *Tookasumi*⁵... - Kimura bezwiednie puściła *umuri* i podobnie jak Krzysztof przykleiła palce do swoich skroni.

- *Hai*⁶ - odparł Kapłan.

- *Yuku haru*⁷ - jęknęła Haiku.

- *lie, haru-no umi. Kampeki da. Kiku!*⁸

- *Suzushiza..* ⁹

- *Uatashiua shitere. Waregane-mo kyo bakari-tote ka- sumu -ka-na*¹⁰. Kapłan nie spuszczał oczu z chłopca, ale wciąż mówił do Haiku.

- *Ware-to kite asobeya oya-no nai suzume*¹¹.

Dybcio, korzystając z jednego ze swoich wynalazków, z którym przybył do szpitala (szczególnie skądinąd ciekawej dla niego instytucji), słuchał bezwstydnie tego, co dzieje się za drzwiami. Urządzenie przymocował do nich, jak tylko weszli tam Krzysztof i Japonka.

Sambierska, Cipucha i Bzdet, mimo że mocno skonfundowani sytuacją, jakoś nie mieli odpowiednio silnej woli, by zaprotestować. Wreszcie Bzdet nie wytrzymał:

- No, gadaj! Co tam się dzieje?! - burknął, podobnie jak Ola ze strachem rozglądając się po korytarzu, czy przypadkiem nikt nie idzie. Czarno-Biały, jak tylko wyszedł z pokoju, podszedł do okna, wczepił palce w kraty i zaczął dość przekonująco rozmawiać sam ze sobą, kompletnie nie zwracając uwagi na to, co dzieje się przed salą.

- Stary... - Dybcio zmrużył oczy w błogostanie. - Ale pojechali...

- Mów po ludzku! - warknęła Cipucha.

- Napieprzają po japońsku. Ja pierdziele! - Czesio był wniebowzięty. - Jak na filmach o Godzilli.

Ola ukryła twarz w dłoniach.

- Wychrzanią mnie z tej roboty - jęczała. - Będę badała bachory w jakiejś przychodni w pipidowie.

Bzdet nagle potrząsnął ją za ramię.

- Nie jęcz! Wyobraź sobie, że zaraz stamtąd wyjdą i dowiemy się, o co chodzi! Oni rozmawiają. Natychmiast nawiązali z nim kontakt!

- Nauczyłam go mówić „szafa” i „łóżko” - wtrąciła Cipucha.

- Ale potem znowu zdębiał i tyle było z tego gadania - dodała z wyraźnym żalem.

- Będziemy wiedzieli coś, o czym nikt nie ma pojęcia! - kontynuował punk. - Odkryjesz najciekawszy przypadek w swojej karierze. No... może po Krzyśku.

- Dość już mam tych ciekawych przypadków - burknęła Ola.

- Gdzie twoja dawna zachłanność na wiedzę?! Pamiętasz?! Jesteś Aleksandra Sambierska, świetny psychiatra, znana z zamiłowania do przypadków ciekawych i trudnych!

- Pani doktor! - usłyszeli nagle donośny głos z drugiej strony korytarza. - Mogę panią poprosić na chwilę?

Korpulentny facet w płaszczu stał w pobliżu schodów piętnaście metrów od nich.

- Kto to? - szepnął szybko punk.

- Błażej Kulawik, ordynator. Zamknijcie się, załatwię to - syknęła do całej trójki, po czym szybko pomaszerowała w stronę szefa.

- Cześć, Gruby - wykonała wyjątkowo staranny uśmiech,

gdy tylko znalazła się tuż przed nim. – Jak było w Poznaniu?

– Bardzo naukowo – mruknął, spoglądając za jej ramię na „gości”. – Co to za ludzie, Olu?

– Przyjaciele dopiero co przyjętego pacjenta. Bardzo się denerwują o jego stan.

– Kto go przyjął?

– Ja.

– Jak się nazywa?

– On jest... NN.

– I ma tylu przyjaciół?

Sambierska głośno przełknęła ślinę.

– Nie wszedłbyś ze mną do swojego gabinetu? Naświetliłabym ci przypadek.

– Byłoby dobrze, gdybyś zaczęła mówić do rzeczy.

– Ależ oczywiście. Wejdziemy?

– Niemal wepchnęła Kulawika do gabinetu, przed którym stali.

– Co ty wyrabiasz, Marchewa?! – zaczął ostrym tonem ordynator. – Na korytarzu cywile, ty wciskasz mi kit, a ostatniego pielęgniarza spotkałem dwa piętra niżej!

– Panuję nad sytuacją, Błażej, ale jak to czasem u nas bywa... jest trochę nietypowo.

– Bo nie leżą tu ludzie chorzy na grypę, tylko psy- chotycy wymagający stałej opieki.

– Nie na tym piętrze. Tu nie ma niebezpiecznych chorych. Dasz powiedzieć, o co chodzi?

– Co to-.za ludzie?!

– Moi znajomi – bąknęła z pewnym zakłopotaniem w głosie lekarka.

- A rozumiem, mieszkasz teraz w komunie punkowej?

- W komunach żyli hipisi. Na Boga... To twoje czasy, zgredzie. Znam tych ludzi i ufam im.

Kulawik zmarszczył brwi.

- To umów się z nimi w kawiarni. O tej porze nie mają prawa pętać się tu cywile bez opieki pielęgniarzy. Proszę o kartę tego... NN.

- Zaraz przyniosę - Sambierska zbliżyła się do drzwi.

- Miałaś o nim opowiedzieć - powstrzymał ją ordynator. Powiesił swój płaszcz na wieszaku i przebrał się w fartuch.

- Wezwano karetkę do dziwnie zachowującego się nastolatka. Nie mówi, traci świadomość, nie rozumie otaczającej go rzeczywistości. Podejrzewam zaniki pamięci, być może epilepsję.

- Skąd wiesz, że nie jest dla siebie niebezpieczny?

- Od dwóch dni jest pod stałą obserwacją. Raczej nie ma niebezpieczeństwa. Nie jest agresywny ani autoagresywny, nie jest pobudzony, nie zauważyłam zaburzeń obsesyjno-kompulsywnych. Na tym etapie powoli wykluczam „paranoidalną”¹², hebefrenię, katatonię, a tym bardziej schizofrenię rezydualną...

- Tak po dwóch dniach? - mruknął kąśliwie Kulawik.

- Przestań być dupkiem. Mówię, że „na tym etapie”. Co cię ugryzło?!

Ordynator usiadł za swoim biurkiem.

- Krzysztof Lorent jest w Polsce - odparł, wzięwszy głęboki oddech. Wyjął z szuflady swój notatnik i zaczął przewracać kartki.

Sambierska w ciągu sekundy poczuła, jakby płyn mózgowo

-rdzeniowy zagotował jej się w kręgosłupie.

- Skąd taka wiadomość? - spytała wyraźnie zbita z tropu.

- Nasz znajomy z policji, komisarz Michał Kępiński.

Pamiętasz go?

- Oczywiście.

- Dzwonił dziesięć minut temu. Złapał mnie w samochodzie.

- A on skąd wie?

- Też go o to spytałem. Odpowiedział, że wiarygodny anonim.

- To sprawa sprzed pięciu lat. Co nas to obchodzi? - wzruszyła ramionami Ola, próbując przybrać obojętny wyraz twarzy.

- To sprawa, przez którą wielu z nas omal nie straciło życia.

- To nie jego wina.

- Wiem. Ale przez to, że tu był... - Kulawik zacisnął wściekły usta, zamknął na chwilę oczy i potarł nerwowo czoło.

- Błazej... - Ola jakoś zapanowała nad sobą. - Zatuszowano sprawę. Nikt o tamtych problemach nie wie oprócz nas i kilku gliniarzy, którzy już nie chcą o tym wiedzieć.

- Nie chcą, bo miło ich o to poprosiła międzynarodowa mafia.

- No, niezupełnie mafia, ale nieważne.

- Masz rację, nieważne. Ja też nie chcę o tym wiedzieć. Komisarz zadzwonił, żebyśmy uważali. Tylko po to.

- Na co uważali?

- Na kłopoty, które Lorent zawsze ciągnie za sobą. On doskonale wie, że się przyjaźniliście. Więc jeśli rzeczywiście jest w Polsce, może się u ciebie zjawić.

- No... może - Sambierska znowu przełknęła głośno ślinę.

- Daj mi pięć minut na ogarnięcie się i przynieś historię choroby tego NN. Rozumiem, że jego „przyjaciele” to tak naprawdę twoi przyjaciele?

- To oni go znaleźli i oni zadzwonili po pomoc.

- Nic nie wiemy oczywiście o rodzicach itd.?

- Jak wspominałam, to NN.

- Widzisz, jaki śmieszny „nomen omen” – mruknął wściekły Kulawik. - Trzeba zawiadomić gliniarzy, których właśnie tak miło wspominaliśmy.

- Poczekaj chwilę – Sambierska podniosła gwałtownie rękę, jakby chciała zasalutować, ale w końcu podrapała się tylko w szyję. - Przyniosę tę kartę i porozmawiamy.

- W porządku – skinął głową ordynator.

Ola wyszła spokojnie w gabinecie, po czym w tempie gazeli przybiegła pod salę, w której leżał chłopiec. Była wciąż zamknięta, a dwoje punków i Czesio Dybcio czekali na zewnątrz.

- Nie przeszkadzaj im! – zaprotestował Bzdet, gdy sięgała do klamki.

- Nie ma czasu – Sambierska otworzyła drzwi.

- Szafaaaaa... łóżko, szafa... – powiedział wesoło chłopiec, uśmiechając się od ucha do ucha. Siedział na łóżku, podobnie jak Krzysztof. Yasuko stała przy drzwiach, jakby pilnowała, by nikt niepowołany im nie przeszkadzał.

- Ślicznie – odesłała mu uśmiech lekarka, po czym szybko przeniosła wzrok na Lorenta. Wyglądał na nieco zmęczonego, ale twarz miał raczej pogodną. Dopiero teraz obejrzała się na Haiku i dostrzegła pot na jej twarzy, jakby przebiegła co najmniej kilka kilometrów. Nie było jednak czasu na pytania. - Musicie stąd zniknąć, i to natychmiast – rzuciła bez wstępów. -

Ktoś doniósł, że jesteście w kraju. Zaraz zjawia się tu gliny.

- Gliny?! Tutaj?! - wybuchnęła niezłą w sumie polszczyzną, prawie bez akcentu, Haiku.

- Nie po was. On jest tu jako NN, czyli pacjent o nie-zidentyfikowanej tożsamości. A właśnie ordynator odkrył jego obecność. Dam sobie z tym radę, ale wy musicie zniknąć.

- Wszyscy musimy zniknąć - powiedział spokojnie Lorent.

- Jak to wszyscy?

- Tak jak powiedziałem, z nim na czele - wskazał palcem chłopca. - Zanim zjawia się tu policjanci, możemy mieć znacznie większe kłopoty. Takie jak pięć lat temu. Właśnie nam to przekazał.

- Nie... - jęknęła Ola - Znowu?! I tak wam to powiedział, jak... nam. Czyli...

- Lepiej nie pytaj - mruknęła spod drzwi Yasuko. - Chłopak wali po mózgu taką wiązką, że mam dość na tydzień.

- Tym razem uwierz mi za pierwszym razem - dodał Lorent.

Ola obejrzała się na stojących w progu punków i Dybcia. Szczególnie Cipucha miała kłopot z ukryciem strachu.

- Dajcie mi chwilę pomyśleć - lekarka przetarła dłońmi oczy.

- Nie dłużej niż kilka sekund - poprosił poważnym tonem Krzysztof.

- W porządku. Przygotujcie go. Ubierzcie go w przewozy. To takie szpitalne ubranie, w którym przewozimy chorych na badania w innych miejscach miasta. Kilka kompletów jest w szafie.

- Szafa - powiedział chłopiec.

- No właśnie. Ja zaraz wrócę. Załatwię transport i coś wymyślę, żeby nas stąd wypuścili.

Japonka i Lorent skinęli głowami. Dybcio otworzył buzię i zamarł na chwilę, czując, jak sztywnieje mu kark.

– Podoba ci się przygoda? – szturchnął go Bzdet. – To pomóż, zanim ci okulary do reszty zaparują!

– Mopiku, – wysiadam... – jęknęła Cipucha.

– Wszystko będzie dobrze – punk objął troskliwie żonę. – Ola coś wykombinuje, a Krzysztof i...

– Yasuko – pomogła uprzejmie Haiku.

– .. i Yasuko ochronią nas. Wiesz przecież, jak jest. Krzyś ma łeb jak sklep, a Yasako...

– Yasuko.

– No właśnie, Yasuko wywija mieczem i nogami lepiej niż armia aurelitów.

Haiku uśmiechnęła się pod nosem. Od początku polubiła punka. Był szczery, bystry i opiekuńczy wobec swojej kobiety. Czego chcesz więcej od faceta?

Sambierska pobiegła do gabinetu równie szybko, jak z niego przybiegła. Co ciekawe, Czarno-Biały dalej rozmawiał ze sobą i jakoś nie zaabsorbowało go całe zamieszanie za jego plecami.

Gdy ponownie weszła do Kulawika, ten siedział nadal przy swoim biurku, nadal w parszywym humorze.

– Masz kartę? – mruknął znad papierów.

Ola głęboko nabrała powietrza w płuca i dała sobie kilka sekund na przygotowanie. Wreszcie przesunęła zasuwkę w drzwiach, aby nikt im nie przeszkadzał.

Ordynator uniósł brwi.

– O nie! – uśmiechnął się wreszcie po raz pierwszy, odkąd przyjechał z konferencji w Poznaniu. – Nie zgadzam się na nierzęd w tym pokoju. Poza tym twój mąż by mnie zabił.

- Cieszę się, że odzyskałeś poczucie humoru - Sambierska była wciąż poważna.

- Co znowu? - Kulawik jednak porzucił myśl, że ten dzień może stać się w końcu miły.

- Masz rację - podjęła Ola. - Wiem, że Lorent jest w Polsce. Ordynator lekko poczerwieniał.

- A tak dokładnie, może wiesz gdzie?

- W sali na końcu korytarza.

Kulawikowi, jakby to ujął Bzdet, „japa opadła maksymalnie”, ale górę nad zaskoczeniem wziął strach o pacjentów, szpital i... o siebie.

- I jakie mam teraz zadać pytanie, żeby nie paść za chwilę na zawał? - jęknął załamany.

- Wysłuchaj mnie uważnie, to wszystko dobrze się skończy.

- Tak jak wtedy?

- Wtedy nie słuchaliśmy ostrzeżeń Lorenta.

- A teraz wszystko będzie dobrze?

- Teraz nie będziemy grali mądrali, tylko zrobimy to, co trzeba.

Ordynator pokręcił głową z niedowierzaniem.

- A nie mógł po prostu nie przyjeżdżać?

- Tym razem to nie o niego chodzi. Przyjechał pomóc.

- Super. A ja tak bardzo się modliłem, żeby już nigdy nam nie pomagał.

Ola skrzywiła się z lekkim zniecierpliwieniem.

- Chodzi o chłopca. Tego NN. Stanowi dla pewnych ludzi zagrożenie. Ludzi podobnych do tych, którzy wtedy ścigali Lorenta.

- Kurwa... - nie wytrzymał Kulawik. - I jak tu nie wierzyć

Zeniowi, kiedy mi jęczy, że to trefny szpital.

– Nie mów o tym Zeniowi! – ostrzegła Sambierska.

– Czego chcesz?

– Kilku przestępstw.

– I kto ma ich dokonać?

– Ja, oni – wskazała korytarz za drzwiami. – A ty masz tylko wziąć z mojego biurka kartę, po którą nie zdążyłam pójść, i napisać, że na prośbę rodziców został wypisany i nie nazywa się NN, tylko Jan Kowalski.

– Koronkowa intryga – mruknął posepnie Kulawik.

– Zapewniam, nikt się po niego nie zgłosi. A kiedy już wypiszesz go z rejestru, a my wyjedziemy ze szpitala, postaraj się, żeby wszystkie papiery o nim zniknęły.

– A potem mam się zgłosić do więzienia?

– Nic się nie stanie. Będą podpisy rodziców. Wpiszemy adres moich przyjaciół, a potem wszystko zniknie. Nikt nie zwrócił tu na niego uwagi. Zanim zrobisz dzisiejszy obchód, będzie po sprawie.

– Porywacie chłopca z amnezją?

– Nie porywamy. Ratujemy. Uwierz mi, znamy się tyle lat.

– Dlaczego ty zawsze chcesz ratować chorych, porywając ich ze szpitala, a nie odwrotnie? To tu się ich przywozi, żeby ratować.

– Sam wiesz, jak cholernie groźni byli ci ludzie, którzy przyszli po Lorenta pięć lat temu!

– Sześć.

– No prawie sześć lat temu. Gdyby nie on, pozabijaliby połowę personelu. I dobrze wiesz, że nie pomoże tu ani policja, ani nasi ochroniarze. Przerabialiśmy już to. Daj nam wyjechać,

a ja za jakiś czas wrócę i postaram ci się to wytłumaczyć.

Ordynator zmarszczył groźnie brwi.

- Przysięgnij na Hipokratesa, że robisz to wszystko tylko i wyłącznie dla dobra pacjenta, nawet jeśli to brzmi jak czysty nonsens.

- Co ty gadasz?

- Mówię poważnie. Znamy się od piętnastu lat i pamiętam tamtą noc sprzed pięciu czy tam prawie sześciu lat jak dzisiaj. Przysięgniesz, to wam pomogę - założył ręce na piersiach i wyglądał na nieprzejednanego.

- Przysięgam, że jako lekarz robię wszystko, aby zawsze chronić każdego pacjenta. Błazej, ten chłopak nie jest choiy. On tylko się tu ukrywał.

- Rany boskie... - jęknął po raz kolejny Kulawik.

- Robimy tak. Daj nam karetkę, żebyśmy bezpiecznie wyjechali ze szpitala.

- A wozacy?

- Wymyśl coś. Nie potrzeba nam świadków. Ja wezmę kluczyki. Potem zadzwonię i powiem co dalej. Jeśli nie wyjedziemy stąd służbowym wozem, chłopak może zginąć, a z nim także my.

Przez chwilę oboje milczeli, mierząc się wzrokiem.

- Gruby... błagam cię - odezwała się wreszcie Ola - uwierz mi jeszcze ten jeden raz.

- Jesteś świetnym lekarzem - odparł poważnie Kulawik. - Po co tak cholernie ryzykujesz?

- Nie mam innego wyjścia - Sambierska otworzyła drzwi i wyszła na korytarz.

Przywołała Bzdeta i Cipuchę.

- I co? - spytał szybko punk.

- I nic. Zostaliście właśnie rodzicami tego gówniarza. Pan doktor w tym gabinecie pokaże wam, gdzie podpisać.

Xavril Ganti uniósł wzrok, aby Tyhron mógł otworzyć się na jego umysł. Olbrzym wciąż był spokojny, choć świadomy porażki. Aurelita nie umiał jednak odnaleźć w nim choćby cienia gniewu. Stał zaledwie dwa, może trzy metry od niego i czekał, aż ich myśli uspokoją swój bieg i połączą się w jedno.

- *Już tu nie wrócę, Tyhronie* - Ganti, dając wejść swojemu mistrzowi do własnego umysłu, nigdy nie tracił okazji, by uczyć się niezrównanego spokoju i wyciszenia nieporównywalnego z niczym, czego doświadczył do tej pory. Nawet naśladować niegdyś ojca Aureila. - *Spóźniliśmy się, a Kapłan już tu jest. Ostrzeże ludzi z tego domu, a co najważniejsze - ukryje Yovitę.*

- *Nie, Xavrilu* - myśli Tyhrona docierały do Gantiego płynnie, a swoboda, z jaką panował nad jego emocjami, zawstydziała aurelitę. — *Yovita nie jest w stanie przed nami uciec. Nasza dzisiejsza porażka nie ma znaczenia. Czas nie ma znaczenia. To nieistotne, jeśli osiągniemy cel. Istotny jest błąd twojego człowieka.*

- *Wybacz mi, Mistrzu. Kierowała nim nienawiść do wroga. Nie wiem, jak w jego imieniu mam wyrazić wdzięczność, że go wsparłeś w czasie walki.*

- *Nienawiść także nie ma znaczenia* - Tyhron uniósł lekko dłonie, by pomóc Gantiemu rozproszyć niepokój, który wciąż w nim wyczuwał. Między jego rękami przepływała energia, której aurelita nie potrafił jeszcze zrozumieć. - *Nigdy nie walcz z nienawiści, nigdy nie zabijaj z nienawiści. Spraw, abyś widział tylko cel. Inaczej odnajdziesz jedynie chaos.*

- Rasmussen usłucha tego, co mu rozkażę. Nie popełni więcej tak nagannych błędów.

- Potęga umysłu Kapłana, tak jak mówiłeś, jest ogromna.

- Nie jest w stanie cię pokonać, Mistrzu.

- Teraz ty czynisz błąd, lekceważąc wielkiego przeciwnika. To, co próbuję ci wciąż przekazać, jak widzę, niezmiennie idzie na marne.

Xavril spuścił odruchowo wzrok, ale natychmiast ponownie skierował oczy na Tyhrona, by móc z nim dalej rozmawiać.

- Nie chciałem, aby wyczuł moją obecność, ale nawet gdybym próbował go przeniknąć, nie jest powiedziane, że zakończyłoby się to sukcesem.

- Co teraz rozkażesz, Mistrzu?

- Kobieta, która walczyła u boku Kapłana, dorównywała mu potencjałem, ale na szczęście dla nas – swego umysłu nie umie nawet w połowie wykorzystywać tak jak on. Siła spokoju, harmonia i wyzbycie się nienawiści, których uczy ją Kapłan, jeszcze nie dały rezultatu.

- Tak, Mistrzu.

- Ale jeśli pozostaniecie sami, nawet ona pokona was bez trudu. Mimo to rozdzielimy się dzisiaj. Za chwilę przekażę ci po co, ale niezależnie od zmiennych, które mogą was zaskoczyć, nie pozwól swoim ludziom zbliżyć się do Yovity i tych, którzy go chronią, dopóki znowu nie zespolimy sił.

- Czekam na rozkazy.

- Ty pozostaniesz ze mną. Oni zrobią to, co zaraz im przekażesz ode mnie.

- Tyhronie... - Ganti nie śmiał mu się sprzeciwić, ale nigdy nie rezygnował z pytań, nawet jeśli umniejszały szacunek

mistrza do jego możliwości. – *Czy wiesz, gdzie teraz jest Yovita?*

– *Zawsze wiem, gdzie on jest, Xavrilu. Ale to nie wystarczy, aby go unicestwić.*

– Dokąd teraz? – rzuciła Ola w kierunku Lorenta, wyjeżdżając może trochę zbyt szybko główną bramą.

– Zwolnij, jedź ostrożnie i postaraj się nie przyciągać uwagi przechodniów – upomniał ją spokojnie Kapłan. – W lewo i do ronda.

– Krzysiek, to jest karetka, do cholery! Jak mam nie przyciągać uwagi przechodniów?!

Haiku parsknęła krótko śmiechem, napotkawszy jednak wzrok Lorenta – przynajmniej teoretycznie, ale za to natychmiast – spoważniała.

– Tak jest, Kapłanie – zasalutowała, po czym spojrzała nabożnie w niebo.

Cipucha nachyliła się nad uchem Krzysztofa.

– Czy ona nie wkurza cię czasem? – spytała najciszej, jak potrafiła.

– Trochę częściej niż „czasem” – mruknął, mroząc wzrokiem Yasuko.

– Masz jakiś pomysł? – spytała Sambierska, wjeżdżając na rondo.

– Mam. Dojeżdż do Marszałkowskiej, w prawo i na Ursynów.

– Szafa, łóżko – wtrącił chłopiec i obdarzył wszystkich szerokim uśmiechem.

– Co jest grane, Krzysiek? – wtrącił Bzdet.

Lorent patrzył uważnie za przednią szybę.

– Ona na razie wie, gdzie jechać – naciskał punk.

- Ten chłopiec ucieka przed bardzo groźnym człowiekiem.

- Tylko jednym? - zainteresował się Dybcio.

- Nie rozumiecie.

- Czyżby? - skrzywił się Bzdet. - Gdybyś wiedział, co ten dzieciak ma w środku!

Lorent zastanawiał się przez chwilę, jak dobrze dobrać słowa.

- To wynik innej ewolucji niż tej, którą my znamy.

Dybcio zakrztusił się nagle śliną, ale zaraz potem gdy

Bzdet zdzielił go w plecy, uspokoił się i pozostały mu tylko bardzo szeroko otwarte oczy.

- No i doczekałam się! - wybuchnęła wesoło Ola. - Wreszcie jakiś księżulo mówi mi o ewolucji!

- Nie jestem już księdzem. Poza tym ile razy mam ci mówić, że Kościół dawno już uznał większość tez z teorii ewolucji?

- Ośmielę się zaprzeczyć - wtrącił naukowym tonem Dybcio.

- Krzysiek, czy my jesteśmy bezpieczni? - przerwała spór Cipucha, której wyraz twarzy wciąż nie błyszczał entuzjazmem.

- W tej chwili tak. Na pewno nie ma ich w pobliżu. I przez pewien czas nie będzie. Za chwilę wytłumaczę, skąd to wiem.

- Od niego? — Bzdet wskazał chłopca.

- Tak. - Lorent odwrócił się do Dybcia. - Dlaczego uważasz, że tak nie jest?

- Oceniam, że górę bierze wciąż konserwatywna część Kościoła.

- Nowe zdobycze nauki każą nam uznać, że teoria ewolucji jest czymś więcej niż hipotezą.

- To ty tak mówisz - mruknęła Ola, nie odwracając się od przedniej szyby.

- Nie. Jan Paweł II. I to dawno temu. To cytat z encykliki.
- Mieli na to dwieście lat od czasu Darwina!
- Nigdy się nie zmienisz, Olka - pokręcił głową z zażenowaniem Bzdet.

- A którego Darwina? - zainteresował się Dybcio.
- Bzdeciu... - rzuciła Sambierska do punka, wciąż nie tracąc drogi z oczu. - Mówiłeś, że on jest mądry.

- Nasz przyjaciel pyta o Erasmusa Darwina, dziadka Karola. Prekursorzy teorii pojawili się znacznie wcześniej niż wydanie *Opowstawaniu gatunków...* - wyjaśnił Lorent.

Czesio uśmiechnął się. Wreszcie ktoś, z kim można po ludzku pogadać.

- Pierwsze myśli o ewolucji pojawiły się, zanim urodził się Chrystus - zakomunikował na wypadek, gdyby ktoś nie wiedział.

Krzysztof uklonił się lekko z szacunkiem w stronę Dybcia.

- Anaksymander z Miletu - potwierdził.
- Heraklit z Efezu - podjął zabawę Czesio.
- Potem Leopold von Buch.
- Condorcet.
- Étienne Geoffroy Saint-Hilaire.
- Karl Ernst von Baer.
- Dosyć! - jęknął Bzdet.
- Dosyć - powtórzył dość dokładnie i wyjątkowo wesoło chłopiec, uważnie przysłuchując się rozmowie.

Wszyscy przez chwilę patrzyli na niego ciekawie, aż wreszcie Bzdet postanowił posunąć sprawę do przodu.

- Krzysztof... Pytam jeszcze raz. O co tu chodzi?

Lorent spoważniał i głęboko westchnął.

- To trudne - ostrzegł.

- Jak to życie - potwierdził punk.

- On urodził się i wychował w świecie... bardzo podobnym do naszego. Ale tam ewolucja przebiegła nieco inaczej. Zbudowała człowieka tak, jak tu widzimy. Trochę innego niż my...

- Wiesz to od niego?

- Tak. Nie wiem jak, ale mam z nim nieprawdopodobny kontakt, no, powiedzmy...-mentalny. Kiedy pierwszy raz zaczął do mnie mówić, tak jak na początku do was... poczułem coś bardzo podobnego do tego co kilka lat temu, na początku. Gdy stałem się tym, kim jestem, kilka lat temu.

- Tym... Kapłanem Wiedzy? - uszczegółowił Dybcio.

- Tak. Nie był to najfajniejszy okres w moim życiu. Zamknięto mnie w szpitalu psychiatrycznym, nie rozumiano...

- No, już dobra... wiem, że pijesz do mnie - burknęła Ola.

- Teraz mój umysł, a także mózg Yasuko jest na to lepiej przygotowany - kontynuował Lorent, nie zważając na uwagę Sambierskiej. - Oboje przeszliśmy podobny proces, a teraz on - wskazał na chłopca - wykorzystał drogę, którą tamta przemiana spowodowała.

- Cool - przyznał Czesio.

- No, tak sobie „cool”, ale nieważne - skomentował krótko Krzysztof. - Mówimy do siebie językiem fenomenalnie.. . „innym” niż nasz. O wiele bogatszym, szybszym. Nawet teraz, kiedy równocześnie rozmawiam z wami.

- To trochę chore... - skrzywiła się Cipucha.

- Nie - uśmiechnął się do niej Kapłan. - Sama nie zdajesz sobie sprawy, że robisz podobnie, tyle tylko że w innym

zakresie. Wyobraź sobie, że idziesz ulicą i rozmawiasz z koleżanką. Odbierasz impulsy, które ona przekazuje ci werbalnie, odpowiadasz. A jednak dalej idziesz ulicą, znasz drogę, a twój mózg odbiera jednocześnie wszystko dookoła: idących obok was ludzi, jadące ulicą samochody, pogodę. Nie wpadasz przecież w czasie spaceru na każdą latarnię tylko dlatego, że z kimś rozmawiasz.

- No, różnie z nią bywa - wtrącił Bzdet.

- Nie zdajemy sobie sprawy, na jak wielu płaszczyznach odbieramy płynące do nas wiadomości. Inny jest język mowy, inny jest ten, dzięki któremu odczuwasz chłód, zapamiętujesz i analizujesz dostrzeżone zdarzenia. Jeszcze inny jest abstrakt, który rozumiesz jako uczucia.

- I wszystko już wiesz? - spróbował nie odchodzić od konkretów Bzdet.

- O nie... I nie wszystko rozumiem. Mało tego, sędzę, że i on wszystkiego, nawet jeśli dotyczy to jego samego, do końca nie rozumie.

- Do końca nie rozumie... - powtórzył szalenie z siebie zadowolony chłopiec.

- Czego on nie był taki elokwentny, jak nam robił wodę z mózgu? - jęknęła Ola.

- Do was trudniej mu dotrzeć. Ale umiał wyczuć w waszych wspomnieniach... kogoś takiego jak ja. I wydobył to, a następnie przekonał was, żebym tu przyjechał.

- Cwaniaczek - przyznał Bzdet.

- Mam rozumieć, że opowiedział ci właśnie o swoim świecie, skąd przybył, o swojej anatomii?! - spytała dość powątpiewająco Sambierska.

- Ależ skąd, Olu, to jest szesnastolatek. Dla nas jest

wyjatkowy, ale w swoim świecie jest normalny. Rozumie i wie mniej więcej tyle, ile nasze szesnastolatki – przerwał na chwilę, jakby poczuł się nieco niepewnie. – Przynajmniej tak mi się wydaje.

– Tak ci się wydaje? – lekarka nadal była dość sceptyczna. – Powiedział ci to czy nie?

– Nie wiem, jak to wytłumaczyć – Lorent rzucił bezradne spojrzenie na Yasuko.

– *Sakazuki-ya, yamaji-no kiku-to, kore-o hosu* — Ki- mura postanowiła okazać się przydatna i w wygłoszenie tej kwestii włożyła cały swój poetycki kunszt.

– Co ty powiesz... – pokiwała raczej z sarkazmem Cipucha. – Najlepsze to to „kiku-to”. Zajebicie przekonujące.

– „Na górskiej ścieżce, wysuszyłem ten kielich – z chryzantemą” – przetłumaczył szybko Kapłan. – To haiku Bashō z siedemnastego wieku.

– I wszystko jasne. Ja tam już nie mam pytań – pokiwał ze „zrozumieniem” Bzdet.

– Przestań być jemiółem – skarcił go Dybcio. – Ona ma taki sposób myślenia, mówi poważnie. Nie tylko jest Japonką, ale jeszcze ma w głowie, jak się od ciebie zresztą dowiedziałem, setki takich jak ona. Więc pomijając już fakt, że ma teraz prawo spuścić ci manto za obrazę jej kultury... proponuję – więcej szacunku!

– Wybacz mu, Yasuko – skłonił głowę Kapłan. – Pozwól, że ja cię za niego przeproszę.

Kimura nie czuła się jednak specjalnie urażona. Nadal miała wiele sympatii dla Bzdety i poniekąd zaimponowała jej jego odwaga. Mało kto umiał w jej obecności być sarkastyczny.

– Nie przepaszajcie za mnie! – zbuntował się Bzdet. – Sam

to potrafię. Jestem zdenerwowany naszą sytuacją, liczę, że to zrozumiesz, Yasuko. Nie chciałem być niegrzeczny.

Haiku krótko, energicznie, po japońsku skinęła głową, przyjmując przeprosiny. Nadal jednak z jej twarzy nie schodził rezolutny, zagadkowy uśmiezek. Nie lubiła mówić, gdy nie miała nic do powiedzenia. Rzadko w ogóle lubiła mówić i niewiele rzeczy i spraw ludzkich wydawało jej się na tyle ciekawych, by podejmować trud dyskusji. Teraz jednak spotkało ją coś, co zawładnęło nią bez reszty. Sposób, w jaki chłopiec pozwolił jej dotrzeć do siebie, był nawet w konfrontacji z jej dotychczasowymi przeżyciami – cudem. Spokojnie słuchała dyskusji zdenerwowanych Polaków, chłonąc jednocześnie to, co dawał jej chłopiec. Czowała się, jakby odkrywała niewyobrażalną tajemnicę, której określanie słowami było równie właściwe jak użycie szybowca do wycieczki na Księżyc. Wiedziała, że Kapłan nie będzie próbował o tym mówić. Powie tylko to, co konieczne, by ratować ich życie i osiągnąć cel, który dopiero rysował się na horyzoncie, ale jeszcze nie przybrał realnych kształtów.

Lorent ponownie ciężko westchnął.

– On otworzył się na nas. Pozwolił nam zajrzeć w kilka miejsc swojego umysłu. Otworzył przed nami kilkoro drzwi – próbował tłumaczyć.

– Możesz spróbować trochę jaśniej? – upierała się Cipucha.

Kapłan zamknął oczy. Dał sobie kilkanaście sekund, zanim podjął wątek.

– Człowiek jest cudem. W każdym calu, z każdego punktu widzenia, jaki umiemy zrozumieć.

– Jasne – westchnęła dziewczyna. – Gra wstępna OK. Co dalej?

– Nie przerywaj – skarcił ją delikatnie Krzysztof. – Jak wiesz

po moim i Yasuko przykładzie, nie zdajemy sobie sprawy ze znacznej większości niezwyklej wiedzy, którą dysponuje nasz mózg. Ona po prostu pozostaje poza świadomością. To, że chłopiec czegoś nie wie lub jeszcze czegoś w swoim wieku nie rozumie, nie oznacza, że nie istnieją w nim wielkie i być może wspaniałe tajemnice, które czekają na odkrycie. Paradoksem jest to, że on dzięki swojej woli potrafi pokazać nam właśnie część z tych rzeczy, a my dzięki swoim zdolnościom i darowi, który kiedyś z Yasuko dostaliśmy, umiemy to przynajmniej częściowo zrozumieć. Dlatego nas szukał. Skądś wiedział, że dopiero my odnajdziemy kilka kluczy, które pomogą mu w osiągnięciu trudnego celu. Ale o tym właśnie celu na razie nie mogę wam powiedzieć. Aby łatwiej pojąć, jak to we trójkę robimy, wybaczenie, użyję banalnego przykładu. Wyobraźcie sobie, że stoi przed nami kobieta, która ma zasłoniętą twarz. W pewnym momencie zaczyna nam ufać, zdejmuje zasłonę. Nic nie mówi, a jednak zaczynamy tak wiele się o niej dowiadywać. O jej urodzie, spojrzeniu, nastroju... Nikt nie widzi własnej twarzy. Dopóki nie wymyślono kamery, nikt nigdy nie był w stanie w żaden sposób zobaczyć, jak naprawdę wygląda. Woda, lustro dawały tylko odwrócony obraz. Nawet podwójne i potrójne odbicia lustrzane zafałszowywały rzeczywistość. Chłopiec zdjął przed nami zasłonę i pozwolił dostrzec zaledwie ułamek tego, co jest jego światem. Ale nawet to zmusiło nas do ogromnego wysiłku. Nie wiemy skąd, ale rozumiemy ten język. Tak jakby w umiejętnościach, które przekazały nam pokolenia i które obudziły się w naszej świadomości, gdy stało się z nami to, co się wtedy stało, był ktoś, kto... wiedział. Wiem, kim był Tacjades z Malii, Devirk z Jelling i wielu innych, których życie jest we mnie. Ale ten, który „wie”, jest w moim umyśle tylko

cieniem. Nie widzę go. Rozumiem tylko, co mi dał.

Haiku skinęła głową na znak, że w jej przypadku jest podobnie. Choć zapewne jej wiedza pochodzi z innego, ale równie głęboko ukrytego źródła.

– Jednym słowem, chłopiec pokazuje nam to, dzięki czemu możemy poznać jego naturę – ciągnął Kapłan. – A kiedy to nam się uda, będziemy umieli udzielić mu pomocy, o którą prosi.

– Czy on ma imię, rodzinę?

– Tak. Oderwano go od bliskich gwałtem. On nie chciał tu się znaleźć. Jego matka nadała mu imię Yovita.

– Po babsku trochę – wyrwało się Czesiowi.

– I kto tu jest jemiółem... – pokręcił głową z dezaprobatą Bzdet.

– Chłopiec ucieka przed bardzo niebezpiecznym człowiekiem. Takim jak Yovita, z jego świata, ale znacznie starszym, bardziej doświadczonej i oczywiście silniejszym.

– Dlaczego w takim razie jeszcze żyje? – spytał dość logicznie Dybcio.

– Bo pod pewnymi względami, które również dość trudno nam zrozumieć... chłopiec góruje nad nim i nad trzema ludźmi z naszego świata, których tamten wykorzystuje do swoich celów. To, co najłatwiej nam pojąć, to szybkość. Jest szybszy. Umie wyczuć swojego prześladowcę z bardzo daleka. Mimo że Tyhron, czyli jego przeciwnik, a teraz także nasz, jest jak lew, a Yovita jest jak gazela... to jednak ta gazela na razie jest górą – uśmiechnął się na koniec Krzysztof.

Yasuko nieco się skrzywiła, słysząc porównania Kapłana, które średnio jej się podobały, szczególnie w zderzeniu z tym, co zaoferowała jej wielka kultura i poezja starojapońska, ale jak zwykle to przemilczała. Umysł Kapłana jest wielki, jego kunszt

jest wielki, szlachetność jest wielka, jego talent do poezji i transcendentu... jest do dupy. Nikt nie jest doskonały.

- Dobra, jesteśmy na Ursynowie, co dalej? - włączyła się Ola, którą w tym momencie interesowało głównie bezpieczeństwo wszystkich.

- Jedź do ulicy Rosoła i w prawo, w stronę lasu - odpowiedział Lorent.

- Gdzie jedziemy?

- Do pewnego kościoła.

- Do kościoła?! Znajdą nas tam!

- W tym kościele nikt nie będzie nas szukał. Zresztą jest tam kilka rzeczy, które nam pomogą.

- Krzysztof... - Bzdet podniósł wzrok na Kapłana. - Skąd on jest? Skąd jest Yovita?

- Nie mogę... - Lorent spojrział na chłopca. - On tego nie chce. Dla niego zachowanie tej tajemnicy to niemal instynkt. Przynajmniej teraz... nie mogę.

- Z kosmosu? Z jakiegoś innego wymiaru?

- Nie - Kapłan zamknął ponownie oczy. - On jest... z drugiej strony lustra, przyjacielu. Ale nie mogę ci o tym opowiedzieć.

Teraz przenośnia Lorenta nawet spodobała się Yasuko.

ROZDZIAŁ 6

Na skraju ursynowskiego lasu budowa niewielkiego kościoła wyglądała na rozgrzebaną i pozostawioną samej sobie. Trudno było nawet się zorientować, na ile świątynia jest gotowa. Ze wszystkich stron ceglane mury osłaniały rusztowania, a zamiast dachu sterczał zaledwie drewniany szkielet. Ogrodzony teren jak na wielkość budowli był bardzo rozległy, a do najbliższego osiedla willowego trzeba było jechać niemal kilometr. Droga tu kończyła swój bieg ścianą lasu. Po jej lewej stronie, stojąc przodem do Kabat, znajdował się właśnie teren przyszłego kościoła. Solidna brama wyglądała na zamkniętą, a dookoła placu budowy rosły wysokie trawy i niewielkie drzewa, widać, że mocno zaniedbane i z pewnością od dłuższego czasu nienawiedzane przez żadnego, chociażby najbardziej abnegackiego ogrodnika. Wprawdzie nie zanosilo się na deszcz, ale popołudnie było dość chłodne, co być może nieco wzmogło czujność doktor Sambierskiej.

– Co my tu robimy, Krzysztof? – spytała po kilkusekundowej konsternacji, gdy już zgasła silnik.

– Tutaj mieszkam, kiedy jestem w Polsce – odparł spokojnie Lorent. – Nikt oprócz mojego wuja o tym nie wie. Do tej pory, wybaczcie, ale nie mówiłem nawet wam. Kiedy mnie nie ma, bywają tu zaufani księża, ale rzadko. (Idy przyjeżdżam, ksiądz Demel na ten czas wstrzymuje prace robotników. W podziemiach jest niewielkie mieszkanie. Nawet ekipa obecnie tu pracująca nie jest tam wpuszczana. Z daleka wygląda to na

miejsce, w którym właściwie nie ma się gdzie ukryć.

Ola przysunęła się do Yasuko.

- Daj, opatrzę to.

Japonka rozpięła przeciętą kurtkę i podwinęła lekko czarny, również przecięty, ściśle przylegający do ciała T-shirt, co przyciągnęło wzrok obecnych panów.

- Czego się gapicie?! - burknęła na nich Ola. - Babskiego brzucha nie widzieliście?

Bzdet odwrócił się do Krzysztofa.

- Co teraz? - spytał, udając obojętność.

- Ta karetka rzuca się w oczy. Nie może tu stać. - Kapłan rozejrzał się przy okazji jeszcze raz dookoła. - Proponuję, żeby Ola wróciła do szpitala. Będziemy się kontaktować. Reszta zostanie tu jakiś czas.

Lekarka chwilę się zastanawiała, ale w końcu skinęła głową.

- Muszę założyć co najmniej trzy szwy, żeby to w przyszłości jakoś sensownie wyglądało - rzuciła cicho do Yasuko, czyszcząc ranę. Sięgnęła po drugą torbę. - Dam ci znieczulenie miejscowe.

- Nie marnuj czasu - odparła szybko Haiku. - Od razu szyj.

- Na pewno?

- Na pewno.

- Może wrócimy z Olą i weźmiemy naszą gablotę sprzed szpitala? - zaproponował Bzdet.

- W waszym domu są ludzie, przed którymi uciekamy - odpowiedział nieco zakłopotanym tonem Lorent.

- I dopiero teraz nam o tym mówisz?! - wybuchnęła Cipucha.

- Nie chciałem was denerwować w miejscu publicznym, jakim jest w końcu szpital. Wybaczcie, przykro mi.

- Jezu... co teraz zrobimy?

- Oni nic do was nie mają - odparł Kapłan. - Wiedzieli, że tam był chłopiec, a aurelici powiedzieli, jak sądzę, Tyhronowi, w jaki sposób jesteście związani ze mną. Kiedy się zorientują, że czekanie tam nic nie da, zostawią was i zaczną gdzie indziej szukać Yovity.

- Aurelici?! - struchlała Cipucha, zerkając jednocześnie na Japonkę i podziwiając, jak mężnie znosi ból.

- To oni pomagają Tyhronowi - Lorent starał się mówić to wszystko jak najbardziej spokojnym tonem.

- Przecież dogadałeś się z nimi!

- To byli ludzie Trantignana. Nie Luigiego Balei. Spotkaliśmy jednego z nich.

- I co?

- Nie za bardzo chciał z nami gadać - wtrąciła niespodziewanie Yasuko, znużona idiotycznymi jej zdaniem pytaniami punków, podczas gdy Ola zakładała jej kolejny szew.

- Ja nie łapię - przyznał Dybcio.

- Mówiłem ci - zniecierpliwził się Bzdet. - Kiedy Balea obejmował władzę, część aurelitów pod wodzą kolesia, który nazywał się Luc Trantignan, zbuntowała się, ale dostali łomot i teraz zostały ich niedobitki. Potem ci o tym dokładniej opowiemy.

Wzrok Yasuko ani drgnął, ale gdy zorientowała się, że punk nie wchodzi w szczegóły, niezauważalnie dla pozostałych poczuła wyraźną ulgę.

- Ty jedź, Olu - zdecydował Krzysztof i nacisnął klamkę drzwi samochodu. - Zaraz to wszystko otworzę - poinformował resztę.

- Gotowe - rzuciła do Kimury lekarka. — Jeśli nie będzie mnie w pobliżu, za dwa tygodnie możesz zdjąć je sobie sama. Wygotuj jakieś nożyczki, przetnij tu i pociągnij delikatnie w tym miejscu. Opatrunek zmieniaj co jakiś czas, to proste, popatrz - wyjęła gotowy i przykleiła na ranę.

Japonka skinęła głową. Wiedziała, co trzeba robić, ale nie przerywała Sambierskiej.

- A jak oni znajdą ją w szpitalu? - Cipucha wciąż była pełna obaw.

- Yovita mi powiedział, że Tyhron wie, kiedy on jest w pobliżu. Znacznie bardziej polega na swoim instynkcie i umiejętnościach niż na wywiadzie towarzyszących mu aurelitów. Nie zaryzykuje zdemaskowania, włamując się do szpitala i tam grożąc Oli. W szpitalu będzie bezpieczna.

- Jadę, będzie dobrze - stwierdziła Sambierska.

- Twój mąż już jest w domu? - spytał Kapłan.

- Dziś rano poleciał na konferencję. Był na mnie trochę zły, że nie odprowadziłam go na lotnisko, ale dla dobra wszystkich na razie nie powiedziałam mu, o co chodzi.

- Dopóki cię nie zawiadomimy, nie wychodź ze szpitala. Na wszelki wypadek. W razie niebezpieczeństwa powiedz, gdzie jesteście. Chłopiec wyczuje niebezpieczeństwo. Nie narażaj się.

- OK.

Kiedy wszyscy wysiedli, lekarka szybko zawróciła i zniknęła, zanim Lorent zdążył otworzyć bramę.

Krzysztof zaprowadził gości do podziemi i wpuścił do mieszkania. Gdy Dybcio z punkami podziwiali kryjówkę, Kapłan zatrzymał na chwilę Haiku i nachylił się nad jej uchem.

- W porządku?

- Tak.

- Popilnuj młodego, dopóki nie wrócę - szepnął tak cicho, że ledwie ona usłyszała. - Muszę wyjść na minutę.

Yasuko kiwnęła głową, weszła do środka z idącym obok niej Yovitą i zamknęła za sobą drzwi. Lorent wspinał się po schodach z powrotem na dwór. Wyjął telefon komórkowy i wystukał numer. Gdy po drugiej stronie usłyszał znajomy głos, rzekł stanowczo:

- Pilnuj jej, jedzie do szpitala.

- Zaryzykują, żeby do niej wejść? - usłyszał w słuchawce.

- Nie wiem. Ale muszę mieć stuprocentową pewność, że będzie bezpieczna.

- Wywiążę się z umowy. Wiem, że ty też.

- Tak - potwierdził Kapłan. - Zrobię to, o co prosiłeś. Ona ruszyła stąd kilka minut temu karetką z rejestracją WY38111.

- Zaraz ją przejmujemy, bądź spokojny. Rób, co trzeba.

Mieszkanie nie było tak małe, jak wyobrażali sobie nowi goście po opowieściach Krzysztofa. Miało co najmniej osiemdziesiąt metrów, na co składały się trzy pokoje i łazienka. Niestety nie było tu żadnych okien, więc mimo dość miłego wystroju robiło wrażenie bunkra. W każdym z pomieszczeń stało jedno skromne łóżko, szafa, stolik do pracy i kilka krzeseł. Żadnego telewizora czy radia. Wystrój drewniany, przytulny, ale mimo wszystko przez brak dziennego światła nastrój był nieco klaustrofobiczny. Wyraźnie każdy z pokoi urządzone był na potrzeby krótko przebywających gości. Jak w hotelu, tyle że... pod ziemią.

Chłopiec był coraz słabszy. Usiadł na łóżku i dał znak Haiku,

że musi się schłodzić albo zasnąć. Drzwi się otworzyły i wszedł Krzysztof.

– Jest tu bieżąca woda? – spytała go natychmiast Yasuko.

– Ja się tym zajmę – zdecydował Lorent i pomógł wstać Yovicie. Zaprowadził go do łazienki i puścił do wanny zimną wodę.

– *Dam już sobie radę* – otrzymał sygnał od chłopca.

– *Niejest za późno? Kąpiel w zimnej wodzie wystarczy?*

– *W zupełności.*

Krzysztof skinął głową, uśmiechnął się i wyszedł do swoich gości.

– Ile mamy czasu? – spytał Bzdet.

– Nie wiem – odparł Kapłan. – Ale chłopiec w porę nas ostrzeże.

– Oby.

– Ten instynkt ma znacznie silniej rozwinięty niż Tyhron. Oni obaj mniej więcej wiedzą, gdzie jest ten drugi, ale stosują sprytne metody, aby się nawzajem zwodzić. Nawet trudno nam sobie wyobrazić, jak to robią. W każdym razie, mimo że Tyhron czuje obecność Yovity, czasem niełatwo mu określić, w którą stronę ma iść. A teraz, kiedy jesteśmy pod ziemią, ma jeszcze trudniejsze zadanie.

– Tak jak i chłopak.

– Mówiłem ci. Pod tym względem Yovita jest znacznie silniejszy.

– Tak wszystko o nim wiesz? – spytała nieco już spokojniejsza Cipucha.

– To proste sprawy. Nie wiem bardzo wielu rzeczy, które chciałbym teraz wiedzieć.

- Na przykład? - zainteresował się jak zwykle w takich przypadkach Dybcio.

- Przepraszam, przypomnisz mi swoje imię? - poprosił Lorent.

- Jestem Czesio. Kumpel Syda... to znaczy Bzdeta.

Kapłan rzucił pytające spojrzenie w stronę punka.

- On nadaje ludziom imiona w zależności od sytuacji. Przynajmniej ze mną tak robi. Takie dziwactwo. Nie zwracaj na to uwagi - wyjaśnił Bzdet. - Wybacz, że cię nie ostrzegłem, ale on naprawdę się przyda. Ma nieprawdopodobną wiedzę, i to inną niż ty. Współczesną. Jest wynalazcą, fizykiem, chemikiem, no w ogóle naukowcem. Czyta wszystko, co się da, i ma nakopane pod sufitem jak my wszyscy.

Yasuko pokręciła z uśmiechem głową.

- Czego nie wiesz? - wciąż dociekał Dybcio.

- Przede wszystkim nie mogę zrozumieć, czego tak naprawdę Tyhron chce od chłopca. Ciągłe przekazuje mi dość mgliste sygnały o czymś, co czasem określa jako „samotną wyspę”, czasem jako... sentinele... Nie wiem, jak to zinterpretować.

- Nie może ci tego wytłumaczyć?

- Nie. Ma to zakodowane, tak jak tę piosenkę, którą pewnie i wy słyszycie.

- Odkąd się pokazałeś, już nie - oznajmiła Cipucha. - Ale wcześniej słyszałam nawet melodię.

- Wiem. To jakby zakamuflowane ostrzeżenie, a jednocześnie kod... być może także dla kogoś takiego jak my. On skądś o mnie wiedział. Wiedział, że do mnie (.łotrze, wiedział, jakie mam możliwości, wiedział, że mu pomogę. Ktoś... - Lorent chwilę się zastanawiał, jak to ująć - „umieścił” mu kilka takich

rzeczy w głowie, aby podświadomie z tego korzystał, ale on sam nie potrafi mi tego wytłumaczyć albo to przede mną ukrywa. Możliwe też, że ktoś po prostu uznał, iż tak będzie bezpieczniej.

– Ale wiesz, skąd on jest? – spytał znowu Czesio.

– Akurat tę rzecz próbował mi wyjaśnić, ale do tej pory trudno mi to sobie wyobrazić.

– Może ci w tym pomożemy? – zaproponował przebiegle Bzdet.

– Mówiłem ci już – Lorent miał do niego niezmiennie świętą cierpliwość. – Teraz nie mogę.

Rozmowę niespodziewanie przerwała Cipucha:

*Uciekaj, chłopczyku, przez ciemny las
Zapomnij o słońcu, powstrzymaj czas
Zapomnij o bogach, drzemiących w niebie
Posłuchaj piosenki i ratuj siebie...
La la la la... i ratuj siebie...*

Zaśpiewała cicho, ale niezwykle przejmująco i – co nawet zadziwiło jej męża – wyjątkowo urokliwie. Melodia płynęła z jej ust, jakby opadło na nią tajemniczo rzeczywiste wspomnienie tego dalekiego poranka, kiedy kobieta inna niż ona i inna niż to, co do tej pory znała i umiała zrozumieć, objęła chłopca, by przekazać mu tych kilka prostych, z pozoru naiwnych, a może jednak niezwykle ważnych słów. Yovita zapamiętał je, jakby ktoś wypalił mu te słowa w umyśle jak drogowskaz świecący w ciemności, by chronił i pokazywał drogę.

Jako pierwszy, po dość długiej ciszy, postanowił wypowiedzieć się Dybcio, jak to on, tonem raczej trzeźwym, zmierzającym ku naukowej analizie:

- Trochę oldschoolowe, nie? - rozejrzał się po twarzach wszystkich obecnych. - Babcia mi coś podobnego śpiewała. Często siadywała przy łóżku, kiedy zasypiałem, ale mnie nie lubiła i opowiadała mi głównie o diabłach w szafie.

- Ktoś, kto mu to „wdrukował”, wiedział, że chłopiec trafi do takich jak my - mruknęła swoim ponurym altem Haiku. - To dość proste. Dla przypadkowego kretyna, niemającego pojęcia, z kim ma do czynienia, to tylko kołysanka... no, może z lekko nieoptymistycznym zakończeniem.

- Nikt przypadkowy raczej tego nie usłyszy - zaopiniował Bzdet.

- To wcale nie jest takie oczywiste - pokręcił głową Kapłan.

- Też tak myślę - wyrwała się z zamyślenia Cipucha.

- *Uciekaj, chłopczyku, przez ciemny las* - powtórzył pod nosem Czesio, poprawiając sobie przyrząd do podtrzymywania okularów. - Myślę, że autor kołysanki zapodał nam, że dzieciak trafi do miejsc kompletnie mu nieznanymi, obcych. I to właśnie tam przyjdzie mu uciekać przed groźnym przeciwnikiem. Dla niego to, co dla nas normalne, to „ciemny las”. On nie tylko nie zna naszych zwyczajów, mentalności, nie ma nawet podstawowej erudycji o tym, w jaki sposób reagujemy na konkretne bodźce, ale nawet bez pomocy trudno mu tu przetrwać. Miał cholerne szczęście, że trafił akurat do was - wskazał małżeństwo Bzdetów.

- Przez ciemny las, który otacza nasz dom - zauważyła Cipucha.

- Nie nazwałbym tego szczęściem - pokręcił z niedowierzaniem głową punk. - Trochę za dużo w tym przypadku. Akurat z sześciu miliardów kobiet i mężczyzn zamieszkujących planetę wybrał nas i od razu trafił w sedno?

- Przypadek to Bóg... przechadzający się incognito - uśmiechnął się Kapłan.

- Jan Paweł II? - spytał punk.

- Nie. Albert Einstein.

- No, mógłby jeszcze znaleźć cię bezpośrednio - wtrącił Czesio.

- Nie mógłby - poprawił Lorent. - Zanim przybyłby do Kaneczua, dziesięć razy by go zgładzono tylko dlatego, że jest obcy. Łatwiej było mu swoimi sposobami sprowadzić mnie tutaj, gdzie jest względnie bezpieczny.

- A więc z tą jego erudycją na nasz temat nie jest tak najgorzej. - Poklepał po plecach Czesia Bzdet. - Ale zgadzam się z tym, o co chodzi w pierwszej linijce. Druga zaczyna się banalnie: „zapomnij o słońcu”. Wiadomo, że chłopak bezpieczniejszy jest w nocy. Ludzie wtedy śpią, poza tym są znacznie bardziej nieporadni. Jesteśmy wzrokowcami, a w ciemnościach widzimy źle.

- Nie wiemy, jak on widzi - zauważyła sceptycznie Cipucha.

- Nieźle widzi - mruknęła znowu Haiku.

Kapłan spojrział w jej stronę, ale po krótkim porozumiewawczym skinieniu pozwolił jej mówić dalej.

- Poza tym ma zdolność echolokacji.

- Jak u nietoperzy? - upewnił się Bzdet.

- Nie tylko - poprawił Dybcio. - U delfinów, kreto- jeży, bardzo wielu ptaków... No, oczywiście w różnym stopniu. Przeprowadzono eksperymenty, które potwierdziły, że my również mamy taką teoretyczną zdolność. Największy zakres emitowanych dźwięków wytwarzają delfiny. Mają to jeszcze bardziej zajebiście wykombinowane niż nietoperze.

- Można trochę wolniej? - poprosiła Cipucha.

Haiku uśmiechnęła się dość uprzejmie, ale chętniej przeszłaby już do dalszej części dyskusji.

- Echolokacja to po prostu umiejętność wytwarzania dźwięku o wysokiej częstotliwości, zwykle dość krótkiego, a przede wszystkim - zdolność analizy tego, co powstaje z odbicia tego dźwięku od przeszkody czy nawet wielu przeszkód - wyjaśnił chętnie Dybcio. - Dzięki tak zwanej drugiej harmonicznej i przesunięciu dopplerowskiemu można określić...

- Po polsku - zażądał zdecydowanie Bzdet.

- OK - skrzywił się z lekkim zniecierpliwieniem Czesio. - Wyobraźcie sobie wielki fortepian, który gra wszystkie możliwe dźwięki. To tylko teoria, bo dźwięków jest nieskończenie wiele, ale nieważne.

- Napieraj dalej - zachęciła Cipucha.

- Ludzie, a także zwierzęta słyszą tylko część tych dźwięków - kontynuował Dybcio. - Co nie znaczy, że pozostałe nie istnieją. Te najwyższe nazywa się ultradźwiękami. Nie słyszymy ich.

- Nie słyszymy - skinęła głową Cipucha.

- Bo mamy tak zbudowane ucho.

- Kumam.

- Nawet gdyby stanęła przed nami orkiestra ufoludów, którzy zapodaliby koncert na tysiącu instrumentów ultradźwiękowych i waliliby na cały regulator, nie usłyszelibyśmy nic.

- Zajarzyłam, co dalej?

- I taki nietoperz, lecąc, umie wysyłać w przestrzeń krótkie sygnały ultradźwiękowe. One odbijają się od przedmiotów, i

właściwie od wszystkiego co materialne, powracają do łba zwierzaka, a on dzięki temu umie określić ich położenie, wielkość, odległość... a nawet prędkość, z jaką się poruszają.

- Zajebioza.

- To jeszcze nic. Taki nietoperz może zamknąć oczy, zachrzaniać sto na godzinę i z niczym się nie zderzy. Mało tego, z opaską na oczach wyłapałby wszystkie muchy w tym na przykład pomieszczeniu, ani razu nie wpadając na żadne meble czy ścianę. A nasza japońska przyjaciółka właśnie nam powiedziała, że Yovita ma przy tym niezły wzrok, i to jest dopiero cool! Tylko niektóre ptaki mają świetny wzrok i jeszcze do tego zdolność echolokacji. Nie wiem, jak im się to nie chrzani, ale moim zdaniem - wymiatają. My to przy nich niemal ślepe, dupo- wate ssaki, których zmysły są skuteczne w podobnym stopniu jak narodowa nigeryjska drużyna hokejowa w meczu... właściwie z dowolnym przeciwnikiem.

- Chłopak jest szybki, świetnie funkcjonuje w nocy i umie ocenić zbliżające się niebezpieczeństwo. Fenomenalne przystosowanie - pokiwał głową z uznaniem Bzdet, wracając do meritum.

- Ale niezbyt dobrze znosi warunki, które tu zastał - zauważył sceptycznie Kapłan. - Szybko się męczy, musi często regenerować organizm.

- Strój, który miał na sobie, trochę mu w tym pomógł - westchnął punk. - Ale zniszczono go w szpitalu. Inna sprawa, że lepiej, by nie trafił w niepowołane ręce.

- Kto go teraz ma? - spytała rzeczowo Haiku.

- Znajomy Oli wykradł wszystkie dowody ze szpitala, gdzie Yovita trafił tuż po tym, jak go znaleźliśmy, i pewnie teraz gdzieś to ukrył.

Japonka uśmiechnęła się po swoim. Lorent wolał już tego nie komentować. Westchnął tylko najciszej, jak to było możliwe, i powrócił myślami do kołysanki Yovity.

Bzdet wciąż analizował szeptem kolejne linijki, nawet gdy od czasu do czasu odpowiadał na czyjeś pytanie.

- Kiedy słyszymy o „bogach drzemających w niebie” - odezwał się niezmiennie zamyślonym tonem - możemy założyć, że mówi o swoich.

- Bogach? - upewnił się Dybcio.

- Nie. O tych, którzy go tu wysłali. To według mnie metafora tego, że nie może na nikogo liczyć. Ze znalazł się w innym świecie i jeśli się nie przystosuje, nie przeżyje.

- Wątpię - mruknęła po swoim Haiku.

- W co? - obruszył się Bzdet.

- W to, że ktoś go tu wysłał. To dzieciak. Powinien chodzić do szkoły, słuchać ojca, a nie spadać z nieba i uciekać przed takimi jak Tyhron.

- To prawda - przyznał Krzysztof. - Znalazł się tu albo przypadkiem, albo stało się coś, co go do tego zmusiło.

- I tego oczywiście wam nie powiedział, żeby było z większym suspensem? - spytał kwaśno Czesio.

Haiku zmroziła go wzrokiem, ale powstrzymała się od jakiegokolwiek komentarza.

- Ten temat jest zamknięty na klucz - przyznał Lorent. - I to niejeden. Zabezpieczone i zahasłowane - próbował się uśmiechnąć. - Komuś bardzo zależało, żebyśmy nawet my o tym nie wiedzieli, a już szczególnie ewentualni wrogowie.

- Ja to odbieram tak - włączyła się Cipucha. - Że on ma nikomu nie ufać. Nie wierzyć w nic, co było do tej pory dla

niego święte.

- Czyli ogólnie ma przechłapane - podsumował Bzdet. - „Posłuchaj piosenki i ratuj siebie”... No, niezbyt optymistycznie. Nie „wykonaj zadanie” albo „ratuj naszą cywilizację”, albo „wykombinuj jakoś pokój we wszech- świecie”, tylko zwyczajnie... „ratuj siebie”.

- To wszystko to jeszcze bzdety - wyrwał się z kolejnego zamyślenia Dybcio. - Wybacz, Tomaszu! - podniósł rękę przepraszająco w stronę punka. - Przypadkowa zbieżność sformułowań. Ale mnie najbardziej zastanawiają dwa wyrazy: „powstrzymaj czas”. Ten kawałek najmniej bym podejrzewał o metaforę.

- A niby jak to sobie wyobrażasz? - wzruszył ramionami Bzdet.

- No właśnie - Czesio przeniósł wzrok na Yovitę, który akurat w tej chwili stanął w drzwiach łazienki ubrany w strój do przewożenia pacjentów. - Jak mawiał Will Szekspir: „i w tym właśnie szkopuł cały...”.

Chłopiec wyglądał świeżo, ale uśmiech jakoś zniknął z jego twarzy. Podszedł do rozmawiających i usiadł obok Kapłana.

- Mógłbyś nieco jaśniej? - spytał Czesia Bzdet, ale przyglądał się uważnie Yovicie, odkąd tylko wyszedł z łazienki.

- Nasz gość - uśmiechnął się tajemniczo Dybcio - o czym coraz bardziej się przekonuję, w jakiś sposób umie się bawić... czasem. I to nie w stylu kiepawej maszyny czasu z pokopanego filmu. Inaczej.

Yovita, Kapłan i Yasuko wymienili między sobą szybkie spojrzenia.

- Sentinelese... - powiedział nie bez trudu chłopiec.

Bzdet wycelował palcem w dzieciaka.

- Właśnie! To co mówiliście! Samotna wyspa... senti... co?

- Sentinelese - powtórzył Kapłan.

- I tyle? Nic więcej?!

- Albo on sam nic nie wie, albo nie pamięta, albo to kolejne... „zabezpieczenie”. Mówię ci z ręką na sercu, że ani Yasuko, ani ja niczego więcej nie umiemy się dowiedzieć.

- A ty co? - burknęła w stronę Czesia Cipucha. - Tyle miałeś do powiedzenia i nagle cię zatkało?

Dybcio drapał się po głowie i poprawiał na krześle, ale nadal nic nie mówił. Wreszcie Bzdet, który znał najlepiej dziwactwa swojego przyjaciela, mocno szturchnął go w bok, żeby wreszcie coś z siebie wydusił, bo ponad wszelką wątpliwość zdaniem punka miał coś do powiedzenia.

- To chyba zbyt proste... - mruknął do siebie Czesio, nie przestając wiercić się na tyłku.

- Cóż za ulga - odetchnęła z pewną nadzieją Cipucha.

- No...

- Co no?! Pokaż nam, jaki jesteś mądry, i niech to się do czegoś przyda! - warczała zachęcająco dziewczyna.

- Możliwe, że on szuka miejsca.

- No co ty powiesz...

- Wcale to nie takie oczywiste. Do tej pory to same kody i pieprzone zaklęcia. A teraz może po prostu chodzić o ważne miejsce.

- Masz coś konkretnego na myśli? - spytał spokojnie Kapłan.

- Tak... być może chodzi tu o tak zwany Sentinel Północny.

- Miało być proste... - jęknęła Cipucha. - Co to jest ten Sentinel Północny?

- Bardzo tajemnicze miejsce — Dybcio wreszcie przestał się

wiercić. – Między Zatoką Bengalską a Morzem Andamańskim leży zapomniany przez świat i cywilizowanych ludzi archipelag ponad pięciuset małych wysp zwanych Andamanami. Na jednej z nich żyją ludzie nazywani przez geografów Sentinelczykami.

– Co o nich wiesz? – spytała poważnie Haiku.

– Nic – odparł tajemniczo Czesio. – Bo nikt o nich nic nie wie. Nigdy na tej wyspie nie wylądował żaden cywilizowany człowiek. Nikt nigdy nie opuścił wyspy. Żaden z mieszkańców nie ma zielonego pojęcia o jakiegokolwiek cywilizacji. Żyją najprawdopodobniej tak, jak żyli od czasów paleolitu. Z nikim nie utrzymują żadnych kontaktów. A każdą zbliżającą się łódź wita grad strzał i bardzo wrogie przyjęcie. Teoretycznie wyspa należy do Indii, ale to aż tysiąc kilometrów od wybrzeża. To naprawdę koniec świata. Nawet Anglicy olali Sentinel Północny, kiedy kolonizowali Indie. Uważa się, że od ponad sześćdziesięciu tysięcy lat żyją jakby w swoim świecie.

– Coś wiecie na ten temat? – spytał Haiku i Krzysztofa Bzdet. Zaprzeczyli głowami.

– A ty? – zwrócił się do Yovity.

Chłopak rozłożył ręce, naśladując ruchy ludzi, którzy w podobny sposób reagowali na takie pytania.

– Nawet nie wiemy, jak wyglądają tamci ludzie? – spytała Cipucha. – Może oni też mają po trzy nerki i tak dalej?

– Zorganizowano kilka wypraw „pojednawczo-zapoznawczych”. Kuszono ich owocami, świecidełkami, dobrym pożywieniem... Oczywiście ostrzelali z łuków każdego, kto się zbliżył, ale owoce podobno zeżarli. Wtedy z daleka ich sfilmowano. Można chyba zdobyć ten film. Widziałem go w muzeum w Bangkoku. Nie wyglądają jak Yovita. Ciemnoskórzy, bojowi, chcą, żeby się od nich odczepiono. Wreszcie rząd Indii

uznał wyspę za specjalnie chronioną i zabronił komukolwiek wpływać na te wody i latać nad wyspą. I z tego, co wiem, to jedyny teraz lud na ziemi, który od co najmniej sześćdziesięciu tysięcy lat nie miał kontaktu z nikim. Kiedy powstawały pierwsze starożytne pałace na Krecie – pięć, sześć tysięcy lat temu – oni byli tacy jak dzisiaj, kiedy budowano piramidy w Egipcie, oni byli tacy jak dzisiaj, kiedy krzyżowano Chrystusa, Sentinelczycy wciąż byli tacy, jacy są do dzisiejszego dnia.

Nastała dość długa cisza.

– Masz tu jakąś mapę? – spytał wreszcie Bzdet.

– Dwa globusy – odparł Krzysztof. – Mniejszy w tej szafie – wskazał na mebel pod ścianą – i drugi, stary, dość duży, jeszcze z dzieciństwa, w ostatnim pokoju na stoliku obok biurka.

Wszyscy zerwali się z miejsc, łącznie z Yovitą, i niemal pobiegli do ostatniego pomieszczenia. Czesio dorwał się do brązowego globusa o co najmniej metrowej średnicy i po chwili znalazł Sentinel Północny. Chłopiec postawił palec na mapie obok dłoni Dybcia, po czym otworzył szeroko oczy i... osunął się na podłogę.

– No tak... – westchnęła Cipucha. – Jeśli to ma oznaczać „trafiliście w sedno”, to ciężka z nim będzie dyskusja.

– Może łatwo się wzrusza – zawyrokował Bzdet.

Haiku nachyliła się nad nieprzytomnym chłopcem, ucisnęła palcami kilka miejsc na jego szyi, klatce piersiowej i na skroniach i Yovita natychmiast otworzył oczy.

– Wow! – przyznał z szacunkiem Dybcio.

Chłopiec szybko wstał i szeroko się uśmiechnął, wyraźnie szczęśliwy.

– Chyba rzeczywiście trafiliśmy w sedno – przyznał Kapłan.

– On chce tam jechać – mruknęła spokojnie Yasuko.

- Jasne, nic prostszego - machnął ręką Czesio. - Parę paszportów, tony pieniędzy, nielegalna przeprawa z Indii do Andamanów, a na koniec strzała w oko.

Yasuko i Kapłan zamilkli na dłuższy czas, najwyraźniej wsłuchani w to, co ma im do powiedzenia Yovita.

- Mam dla ciebie gorszą wiadomość - powiedział wreszcie po kilku chwilach Lorent. - On koniecznie chce jechać z tobą.

- Ze mną?! - przeraził się Dybcio. - A z nim nie? - pokazał rozpaczliwie palcem na Bzdeta.

- Nie wspominał o tym - wyjaśniła spokojnie Ki- mura.

- Przegrałeś zabawę z „Żelazną Mary wnikającą w umysł”, ale przyznasz, że ta przygoda jest co najmniej konkurencyjna - zarechotał złośliwie Bzdet.

- Ale ja się do tego kompletnie nie nadaję... nie umiem...

- Czego nie umiesz? - Haiku zbliżyła się do niego na odległość kilku centymetrów.

Dybcio zamrugał bojaźliwie oczami, patrząc z respektem na Japonkę.

- No, tak jak wy... nie umiem - jęczał. - W życiu nikogo nie uderzyłem, urodziłem się bez ucha i mam jedno oko wyżej, drugie niżej...

Yasuko zlustrowała go od stóp do głów.

- Masz wiedzę, której nam brakuje. Wyglądasz na bystrego i jesteś... dziwny. Pasujesz do nas - Japonka uśmiechnęła się dobrotliwie, choć w ocenie Czesia raczej złowieszczo.

- Bzdet mi opowiadał, że wy wiecie wszystko! - bronił się Dybcio.

- No, to przesadził - Kimura uniosła zagadkowo brwi.

- Daj mu spokój, Yasuko - teraz Kapłan zbliżył się do

przerażonego Czesia i zajął mu w oczy. – Nasza wiedza to przede wszystkim umiejętności, które w przeszłości posiadli nasi przodkowie. Nieco historycznych faktów, i to zwykle tych sprzed setek lat, ot i cała tajemnica.

– Umiemy wytropić, znaleźć i zabić – włączyła się Kimura. – Stanowimy połączenie umiejętności setek wojowników, którzy już dawno podróżują między *nami-no ma-ya*¹³. Tacy jak my rodzą się raz na trzysta, czterysta lat. Ale o dzisiejszych czasach wiemy tyle, ile pokazały nam ścieżki, którymi przyszło nam iść. Krzysztof większość życia spędził jako duchowny w kościele, a mój umysł nie pozwala mi pamiętać zbyt dalekiej przeszłości z obecnego życia.

– Masz... że tak powiem... amnezję? – wyjąkał Dybcio.

– Miałam wypadek – mruknęła groźnie Yasuko. – Dość... jak to wy mówicie... spektakularny.

– Raz na trzysta, czterysta lat... i jakoś tak jest was dwoje? – Czesio zawsze starał się być dokładny.

– Jesteśmy z innych linii – warknęła, marszcząc z kolei brwi.

Lorenta, co w pewnym sensie zgorszyło Cipuchę, rozbawił proces przekonywania Dybcia przez Haiku, ale w końcu postanowił wkroczyć i uderzyć w tony, które jak sądził, będą najskuteczniejsze.

– Posłuchaj... – zaczął tym swoim spokojnym, ciepłym głosem. – Właśnie jesteś świadkiem spotkania z kimś absolutnie niezwykłym. Z kimś, kto pochodzi z być może pokrewnej nam cywilizacji, ale takiej, której ewolucja kazała wybrać nieco inny kierunek. Nawet my dokładnie nie wiemy, jak Yovita się tu znalazł, ale bardzo wiele wskazuje na to, że ta wyspa może być kluczem do tego, czego szukamy. Nie jesteś ciekaw, co tam jest?

– Cholernie jestem! – przyznał Dybcio. – Ale co mi po tej

wiedzy w grobie? Myślicie, że to przypadek, że nikt nigdy tam nie dotarł?! Myślicie, że mało było ciekawskich?

- Dlatego będziemy tam my - spróbowała łagodnie Yasuko.

- Weź wyluzuj, złamasie! - nie wytrzymał Bzdet. - Masz tu Kapłana, Kapłankę i kołosa z trzema nerkami i anteną satelitarną w mózgu, czego jeszcze chcesz?! Myślisz, że ktoś kiedyś zebrał podobną ekipę?

- Po grzyba mi jego trzy nerki?! Żebym dłużej siedział w kiblu i sikał za dwóch?

- On ma dodatkowy płąt mózgu, matole! Ma możliwości, o których my możemy tylko pomarzyć. Zastanów się, ile jesteśmy w stanie się od takiego dzieciaka nauczyć!

- Nie umiem, Bzdet, nie rozumiesz?! Boję się!

- A więc nie jedź - powiedział niespodziewanie Yo- vita zachrypniętym głosem. Miał smutną twarz, ale w jego oczach nawet Dybcio znalazł zrozumienie.

Nastała niezręczna, długa cisza, po której Czesio nieznacznie, ale wyraźnie kiwnął głową.

- Przygotujmy się - szepnął cicho, jakby nagle stracił głos. - Powiem wam, co będzie potrzebne. Przynajmniej postaram się...

Wszyscy obecni niemal na trzy-cztery wybuchnęli nieskrywaną radością. Nawet Yasuko wydusiła z siebie uśmiech prawie tak szczery, na jaki pozwalała sobie tylko wśród Kaneczua.

- W porządku - pokiwał z zadowoleniem głową Lorent. - Zróbmy tak: zanim Tyhron się zorientuje, musimy być już jak najdalej stąd.

Dybcio odciągnął na bok punka.

- Bzdeciu... - chrypnął, wciąż jeszcze ciężko oddychając. - Czy Lolo jest jeszcze czynny?

- Nie znoszę gnojka - skrzywił się punk.

- No wiesz co? Przecież wychowywaliście się na jednym podwórku - w głosie Czesia zabrzmiał delikatny sarkazm, ale też i powaga.

- Rozwalił kiedyś Krzyškowi głowę kamieniem. Miał jedenaście lat!

- Pewnie wtedy go olśniło, żeby zostać księdzem.

Żart Dybcia tym razem nie rozśmieszył Bzdet.

- Krzysiek! - rzucił do Lorenta. - Jak dotarliście tu z Ameryki Południowej w dwa dni?!

- Mamy dawno wyrobiony kanał. Dyskretny, dobrze opłacany i szybki. Azja to trochę co innego. Ja tam nigdy nie byłem.

- Ty też nie? - spytał Bzdet zgryźliwie Japonkę.

- Bardzo śmieszne - wyszczerzyła zęby Haiku.

- A wspomnienia przodków, które macie w głowach? Szczególnie jej?

- Przydadzą się. O to się nie martw. Ale teraz nie chcemy się afiszować. Tym razem wizy musimy załatwić jakoś inaczej. Zajmę się tym.

- Nie - mruknął Bzdet. - Ja w tym mieście lepiej się poruszam. Załatwię sprawę.

- Oni odeszli - odezwał się znowu Yovita, ale wciąż z dużym wysiłkiem.

- Kto? - spytała Cipucha.

- Tyhron. Nie ma ich już w waszym domu.

- A gdzie są?

- Idą w stronę miasta.

Chłopiec zamilkł, żeby odpocząć.

- *Gdzie oni są, Yovita?* - wysłał mu silny sygnał Kapłan, czego nikt nie zauważył oprócz Yasuko.

- *Rozdzielili się* - szybko odpowiedział chłopiec. - *Dwóch jest w pobliżu Oli. Tyhron podąża w naszą stronę. Ale gubi się. Traci trop. Mamy jeszcze trochę czasu.*

Lorent umiejętnie ukrył zaniepokojenie.

- *Jak dużo czasu?*

- *Może dwadzieścia, dwadzieścia pięć tysięcy oddechów.*

- *Czyli trochę ponad dobę...*

- *Może uda mi się go kilka razy zmylić, wtedy więcej.*

- Co tak cicho siedzicie? - spytała wesoło Cipucha.

- A tak się zastanawiamy - odparł jakby nigdy nic Kapłan.

- *Nie pozwól skrzywdzić Oli* - usłyszał w głowie od Yovity.

- No dobra, rozdzielimy zadania - Lorent uśmiechnął się do Bzdeta i Cipuchy.

- *Ola jest pod dobrą opieką* - wysłał sygnał do chłopca.

- OK, my z Cipuchą znajdziemy Lola i załatwimy co trzeba. Czesio wykombinuje, jak się tam dostaniecie.

- Przynajmniej teoretycznie - mruknął pod nosem Dybcio.

- A co wy zrobicie? - spytała Cipucha.

- My porozmawiamy ze złymi bogami - odparła Haiku.

- Słucham?! - pytanie zadał Bzdet, ale wszyscy nadstawili z ciekawością uszu.

- Nasz przyjaciel z plemienia Kaneczua, Miyapre, często rozmawia ze swoimi bogami, których, jak się wydaje, dobrze zna - wyjaśnił Kapłan. - Kiedyś spytałem, jak radzi sobie z najtrudniejszymi sytuacjami. I czy te rozmowy mu w czymś

pomagają. „Najpiękniejsze i najgłębsze słowa pociechy dają nam dobrzy bogowie – mówił Miyapre. – Pozwalają zapłodnić ziemię, dają uśmiech i radość istnienia. Pozwalają płynąć wodom. Ale czasem, gdy słońce zajdzie na zbyt długi czas, trzeba pomodlić się do bogów złych... którzy nie mają w sobie miłości do ludzi, ale okazując im szacunek i zainteresowanie, bywa, że da się ich przebłagać”. Czas na modlitwę do boga złego – zakończył Krzysztof.

ROZDZIAŁ 7

Cipucha słabo znała Lola, ale i tak go nie znosiła, a niegdysiejsze kontakty jej męża z tym łysym, obleśnym dilerem zawsze ją drażniły. Oznaczały kłopoty i jak to zwykle bywało z kurierami drobnych gangów – ogólny syf. Lolo na szkole podstawowej zakończył co prawda edukację oficjalną, ale mimo wszystko postawił na dalszy samorozwój. Oprócz kształcenia się w biznesie, głównie „rozrywkowym”, podejmował też liczne próby zdobywania wysoko postawionych przyjaciół przy pomocy swoich nowych kolegów, również rozwijających swoje umiejętności w przemyśle „rozrywkowym”. Niewiele takich kontaktów udało mu się do dzisiaj utrzymać, ale to na nie właśnie liczył Bzdet, wchodząc z niemałą zresztą niechęcią do jego „gabinetu”, którym przez długie lata był niesprzątany od pokoleń garaż.

Małe oczka Lola nie straciły tego samego błysku, jaki pojawiał się zawsze na widok zbliżającego się interesu. Wchodzący do garażu Bzdet był niemal pewną inwestycją, szczególnie że ostatni raz widzieli się jakieś pięć lat temu. Gdy już przychodził, miał szybką, a więc... drogą sprawę do załatwienia. Cipucha postanowiła na czas spotkania zniknąć w parku i zażyć spaceru, co jej mąż przyjął z pełnym zrozumieniem.

Loło wyłysiał od ostatniego spotkania już kompletnie, utył, a jego uśmiech uwidoczniał brak co najmniej trzech – jeszcze pięć lat temu tkwiących na swoim miejscu – zębów. Bzdet szybko

zauważył też, że ktoś najwyraźniej pozbawił Lolo także dwóch środkowych palców u prawej dłoni.

- Widzę, że się nie oszczędzałeś, a twoje życie to jedna wielka przygoda - mruknął nieco sarkastycznie na powitanie punk, przyglądając się jego dłoni. Nie śpieszył się jednak z podaniem ręki. Podobnie jak Cipucha, nie znosił Lolo.

- Fatalny wypadek. Źle wsiadłem do tramwaju - rozłożył ręce z nieukrywanym żalem Lolo.

- To się zdarza - wykazał zrozumienie Bzdet. - Może szkoda, że nie skorzystałeś w międzyczasie z pomocy dentysty.

Lolo znów rozłożył ręce.

- Jestem człowiekiem renesansu. Mam otwarte serce i podejmuję się wielu wyzwań. A czasu na tym świecie jest coraz mniej. Nie mówiąc już o oczywistej prawdzie, że czas to pieniądz. A gabinet dentystyczny... to akurat takie miejsce, gdzie nie tylko traci się nerwy, ale i pieniądze.

- Przy odrobinie szczęścia zyskuje się jednak przystojniejszy uśmiech. Oczywiście na miarę możliwości.

- Czym mogę służyć, Bzdeciu? Pukniesz rolkę? Może trochę ścieżynki?

Pytał o to zawsze, jakby miał w głowie wszyty magnetofon reagujący za każdym razem na kolejnego gościa.

- Mam interes - przeszedł do sedna Bzdet.

- Ja też mam - przyznał Lolo. - Ale z czym przyszedłeś do mnie?

Bzdet uśmiechnął się krzywo.

- Przyznaję, wciąż jesteś powalająco zabawny. A to świetnie, bo mimo że się na tym nie znam, zakładam, że w tak nerwowej pracy nieodzowne jest poczucie humoru. Choć jak widzę - znów

spojrzał na prawą dłoń Lola – twój nieodparty wdzięk nie zawsze spotyka się ze zrozumieniem.

– Ludzie nie są doskonali – mlasnął kwaśno Lolo. – Lubię cię, Bzdeciu, ale nie do tego stopnia, aby tracić aż tyle czasu. Czego chcesz?

– Masz wciąż dojście do Ministra?

– A skąd! Minister siedział, a potem się stoczył.

– Mówiłeś kiedyś, że ma plecy lepsze od Bin Ladena!

– Widzisz... dobrze jest mieć duże plecy, ale wtedy trzeba wiedzieć, że w takie łatwiej trafić. Minister w swoim czasie tego nie zajarzył.

– Żyje?

– Żyje, ale co to za życie...

– Potrzebne mi wizy, paszporty...

Lolo pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Nie tylko Minister umiał to załatwić. Ale ty pewnie chcesz na wczoraj.

– No... – przyznał Bzdet.

– Słucham szczegółów.

– Mam trzy paszporty. Prawdziwe. Potrzebne są do nich wizy.

– Gdzie się wybierają te paszporty?

– Azja.

– Jeśli to nie Korea Północna, Chiny ani Wietnam, mogę mieć materiały na jutro. Jeśli dasz mi paszporty, będzie na dzisiaj.

– Wykluczone.

– Jasne. A więc na jutro. Co jeszcze?

– Trudniejsza rzecz. Paszport z takimi samymi wizami dla szesnastolatka. Nowa tożsamość. Ma być oryginalny.

- Uuu - pokręcił głową Lolo. - Zbankrutujesz. I nawet jeśli nie wezmę nic dla siebie, będzie cholernie drogo.

- Ile?

- Te wizy... gdzie mają być?

- Indie, Rosja, Tajlandia.

- Proste. Za wszystko dwa złote. To można załatwić bez większych problemów legalnie.

- Nie mam czasu, a moi przyjaciele nie lubią bywać w urzędach.

- Domyśliłem się, więc za wszystkie trzy jak dla ciebie dwa złote.

- A druga sprawa? - spytał Bzdet.

- Złe brzmi. Dziecko bez rodziców, daleka zagranica. Brudne...

- Nie znasz sprawy.

- I nie chcę znać. Mogę robić w „rozrywce”, pomagać ludziom podróżować bez reklamy, ale nie lubię handlu dziećmi, porwań ani podobnych interesów.

- Obrażasz mnie, Lolo. Dzieciak ucieka przed groźnymi ludźmi. A podróżuje z ojcem.

- Nie lubię groźnych ludzi. Co będzie, jak trafią tutaj?

- Ile?

- Co najmniej pięćdziesiąt złotych.

- Na jutro?

- Możliwe.

- Stoi.

Lolo zmrużył oczy i badawczo przyjrzał się Bzdetowi.

- Szybko się zgodziłeś. Skąd weźmiesz pięćdziesiąt tysięcy do jutra?

Punk chłodno spojrział w oczy Lolowi.

- Ja też jestem, kurwa, człowiekiem renesansu. Więc się nie interesuj. Miałeś kiedyś przeze mnie kłopoty?

Lolo wstał ze swojego brudnego stołka i niespodziewanie zdjął z wieszaka ścierkę, a następnie zaczął przecierać drewniany stół do narzędzi.

- Dziwnie żyjesz, Bzdeciu... - mruknął, jakby się nad czymś zastanawiał. - Spokojnie, nic o tobie nie słyhać na mieście. I nagle raz na pięć lat przypominasz sobie o mnie i wpadasz z czymś takim.

- Rzadko bywam w Warszawie. Wolę świeższe powietrze.

- Nie mój interes. Ale są lepsze sposoby na kasę niż te dziedziny poszukiwań, o których opowiadasz.

- Nie masz pojęcia, co jest grane. Pomagam naprawdę dobrym ludziom.

- A ścigają ich źli?

- Tak to bywa.

Lolo głęboko odetchnął, wyraźnie niezadowolony z ostatniego punktu zaproponowanego interesu. Oczywiście nie wierzył punkowi.

- Ile masz dziś sałaty? - spytał dość posępnie.

- Dwadzieścia.

- To nawet nie jest połowa.

- Nie znałem ceny.

Lolo pokiwał ze zrozumieniem głową.

- Posłuchaj, Bzdeciu - westchnął ponownie. - Nie chcę, żebyś mnie źle zrozumiał. Ale jeśli kiedykolwiek pod ten adres trafią jacykolwiek źli ludzie... z Indii, Bangladeszu, Rosji lub bieguna południowego... będę za to obwinał ten interes. I

wtedy znajdą się tacy, którzy znajdą ciebie.

- Stajesz się niesmaczny - skrzywił się z lekkim zniecierpliwieniem Bzdet.

- Ależ skąd - odparł chłodno Lolo. - Gdybym był niemiły, wypierdoliłbym cię stąd na zbity pysk. Bo nie wierzę w ani jedno twoje słowo. A nie lubię nie wiedzieć, do czyjego gówna wsadzam ręce.

- Jednak jesteś niesmaczny.

Lolo znowu usiadł na swoim stołku i teraz z kolei nagle zaczął ścierką czyścić ręce.

- Lubię cię, Bzdeciu. Jesteś odważny. Masz jaja. Nigdy nie pękasz. Słyszałem nawet, że podobno miłujesz pokój. Może się zdziwisz, ale cieszę się, że rzuciłeś swego czasu dragi. Straciłem na tym, ale cóż... dla ciebie to był dobry wybór. Szkoda tylko, że nie umiesz być przekonujący. Już raz prosiłeś mnie o paszporty, a po kilku latach znowu prosisz o to samo. A przez takie biura podróży w razie wpadki można stracić znacznie więcej niż dwa palce i kilka zębów.

- Trzeci raz powtarzam. Nie masz pojęcia, co robię.

- I to mnie niepokoi - Lolo rzucił ścierkę na stół. - Może się znasz na układaniu kolorowych fryzur... ale w interesach jesteś amatorem. A to jest niebezpieczne dla takich jak ja.

Bzdet wstał spokojnie ze stołka, na którym usiadł chyba tylko dlatego, by nie wysłuchiwać dodatkowych przynudzań grubasa.

- Do jutra, Lolo - punk wyjął dwadzieścia tysięcy i położył na stół.

- Przyjdź po południu. Powiedzmy o... osiemnastej.

Bzdet nie odpowiedział. Uchylił drzwi i wyszedł z garażu. Miał nieodparte wrażenie, że smród staje się coraz bardziej nieznośny.

Światła na korytarzu przygaszono już na porę nocną. Pacjenci byli od godziny w łóżkach, więc Ola postanowiła, że chwilę się zdrzemnie. Zgodnie z zaleceniami dała znać Lorentowi, że wszystko jest w porządku. Rano miała dostać wiadomość, co robić dalej. Do tego czasu trzeba było zaufać Krzysztofowi, a z tym nie miała najmniejszego problemu. Doktor Błażej Kulawik dyskretnie, ale konsekwentnie zadbał o to, by tym razem strażnicy nie spali, a ochrona szpitala była nieco czujniejsza. Zabroniono wpuszczać kogokolwiek, co zresztą nie było niczym dziwnym, tyle tylko, że wreszcie trochę zaczęto na to zwracać uwagę. Kulawik dyżurował tej nocy razem z Olą. Drzemali na zmianę, by co dwie, trzy godziny wstać na cichy obchód.

Roe Rasmussen i Kimi Suolainen ubrani w czarne sportowe spodnie i ciemne skórzane kurtki co najmniej od pięciu godzin obserwowali szpital. Zgodnie z rozkazem nie próbowali jednak dostać się do środka. Cały czas pozostawali w ruchu, pilnując obu wejść do bloku, gdzie jeszcze niedawno ukrywał się chłopiec, a teraz – jego lekarka spała spokojnie, tylko co pewien czas budząc się, by doglądać chorych. Kimi, starszy od Roego o trzy lata, był nie tylko bardziej doświadczony, ale i nieco sprawniejszy. Jako najzdolniejszy uczeń Xavrila Gantiego, niejako opiekował się porywczym Roem, nie zawsze jednak umiał powstrzymać ogień dący się w jego krwi. Nic dziwnego zatem, że to on właśnie został zaatakowany jako pierwszy. Przeciwnik zbliżył się do niego tak cicho i niespodziewanie, że Suolainen zdołał wyjąć tylko nóż, ale i to niewiele pomogło. Zabójca był niższy, może nawet trochę słabszy fizycznie, ale w tym właśnie momencie miał ogromną przewagę zaskoczenia. On również

użył tylko noża, wytrącił błyskawicznie broń Kimiemu cięciem przez nadgarstek, a następnie zadał śmiertelny cios w szyję. Cisza po południowej stronie szpitala, przerywana tylko chwilami szumem przejeżdżających po ulicy samochodów zza murów północnych, po ledwie kilku sekundach walki znów odzyskała swój spokój. Roe przechadzał się właśnie chodnikiem, mijając zamkniętą bramę szpitala, główne wejście, aż do końca muru. O określonej godzinie zniknął między blokami, by niewidoczny dla nikogo zjawić się w miejscu, gdzie uprzednio wartę pełnił Suolainen. Tym razem zrobił podobnie. Jednak i jego zaskoczono nie mniej skutecznie. Zbliżającą się cicho postać wziął za Kimiego, w ostatniej chwili dopiero zorientował się, że czeka go walka na śmierć i życie. Przeciwnik Roego, który swój długi sztylet wbił w serce porywczego aurelity, był z kolei bardzo wysoki i silny. Dopiero gdy oddech Rasmussena ustał, do wysokiego zabójcy zbliżył się ten, który zgładził Kimiego Suolainena.

Wydawać by się mogło, że nikt nie miał szans widzieć tego zdarzenia, ale jednak śmierć aurelitów miała swojego świadka. Z rozłożystego drzewa rosnącego tuż przy tylnym wejściu do bloku szpitalnego, którym niegdyś Krzysztof Lorent musiał uciekać przed wrogami, zsunęła się ubrana całkowicie na czarno postać i oddaliła w stronę bocznej ulicy.

W tym czasie doktor Aleksandra Sambierska spała spokojnie w swoim gabinecie. Dopiero za półtorej godziny miała wstać na kolejny cichy obchód.

Haiku weszła cicho do kryjówki w podziemiach kościoła. Krzysztof nie spał. Siedział przy biurku, notując coś w swoim zeszycie, z którym rzadko się rozstawał, także w wiosce

Kaneczua. Teraz odwrócił się w stronę dziewczyny.

- Dawno nie widziałem cię w tym stroju - przyznał nawet jak na niego nieco zbyt sentymentalnie.

- Przebiorę się - rzuciła szybko dziewczyna, idąc do pomieszczenia, gdzie zostawiła swoje rzeczy.

- Poczekaj chwilę - poprosił Lorent.

- Nie chcę paradować tutaj jak ninja, szczególnie przed dzieciakiem.

- On śpi. Przygotowałem mu pokój, żeby mógł spokojnie wypocząć. Bzdetowie pojechali z Czesiem do jego domu i tam nocują. Yovita twierdzi, że o nim Tyhron nie ma pojęcia i nigdy tam nie trafi. Są bezpieczni, a Czesio musi się przygotować do podróży. Jak poszło?

Yasuko pokręciła ze zrezygnowaniem głową.

- Oni ich po prostu zabili - powiedziała cicho.

- O Boże... - Kapłan odłożył ołówek i zamknął zeszyt.

- Tacy są - szepnęła jakby do siebie. - Tacy jak ja kiedyś.

Lorent wstał i podszedł do niej.

- Ale ty nie jesteś już taka - objął ją czule i pocałował w czubek głowy.

- Sama nie wiem - ona również go pocałowała. W policzek. Rzuciła niewielki plecak, który trzymała w dłoni, i zaczęła spacerować po pokoju. - Może jednak tak było bezpieczniej?

- Chcieli tylko ją obserwować...

- I co potem? - dziewczyna spuściła wzrok na podłogę. - Skoro on ci obiecał, że będzie jej pilnował, to pilnuje. Tak jak potrafi. - Haiku usiadła na kanapie. - Miałaś rację - zamknęła oczy, próbując trochę odpocząć. - Bez Tyhrona byli bezradni. Zginęli kompletnie zaskoczeni.

Kapłan przytaknął głową, ale się nie odezwał. Usiadł ponownie przy biurku.

- Nie pokonacie Tyhrona - w drzwiach pojawił się Yovita. Głos miał już znacznie mniej zachrypnięty niż po południu.

- Coraz lepiej mówisz - starał się uśmiechnąć Krzysztof.

- Boli - pokazał na swoją szyję chłopiec.

- Jeśli rzadko albo w ogóle nie używasz strun głosowych, to nic dziwnego, że boli cię gardło - teraz uśmiech Lorenta był już znacznie bardziej naturalny.

- Chcę mówić.

- Ale nie wysilaj zbyt krtani. Powolutku.

- Jak wiele rozumiesz z tego, co my mówimy? - spytała Yasuko.

- Dużo. Już bardzo dużo - delikatnie kaszlnął. - Nie pokonacie Tyhrona - powtórzył. — On jest jeszcze daleko, a my możemy tylko uciekać.

- Kiedy walczyliśmy z jego człowiekiem, nie chodziło o technikę, prawda? - spytała Haiku. - On po prostu był dla nas zbyt szybki.

Yovita przytaknął.

- To my... - wtrącił Kapłan - byliśmy z jego punktu widzenia zbyt wolni.

Chłopiec uśmiechnął się smutno.

- On... - przerwał na chwilę. - *On im daje czas* - dopomógł sobie, wysyłając drugą część zdania bezpośrednio do umysłów Kapłana i Haiku.

- Jak to robi? - spytała Yasuko.

- Zagina czasoprzestrzeń, prawda? - podjął Krzysztof. - W bardzo małym stopniu, może nawet o ułamki sekund, ale to

wystarcza. Wtedy w jego pobliżu czas płynie wolniej.

Yovita smutno pokiwał głową.

- Z punktu widzenia tego aurelity byliśmy jak na zwolnionym filmie. A nawet najwspanialsze umiejętności nie pokonają szybkości. Dlatego go nie pokonamy, prawda, Yovita?

- Tak.

- To nieprawdopodobna umiejętność - cicho, jakby nieobecna, odezwała się Yasuko.

- Każdy... - próbował odpowiedzieć Yovita. - *Każdy z nas ma wokół siebie rodzaj aury życiowej. To nie teoria, to fakt.*

- Można ją nawet sfotografować - pomógł Kapłan.

- *W jej ramach Tyhron umie zaginać... umie nieznacznie... spowalniać lub przyspieszać czas. To niemal niezauważalne, ale w takich sytuacjach jak walka - decydujące.*

- Bystry z siebie dzieciak jak na szesnastolatka - uśmiechnęła się po raz pierwszy od wielu godzin Haiku.

- O teorii względności i czasoprzestrzeni uczą w każdej szkole - teraz roześmiał się Yovita. - I w moim świecie, i w waszym. Ciebie nie uczyli?

- Nie pamiętam - pogodna przez chwilę twarz Haiku przybrała nieco poważniejszy wyraz.

- A więc Tyhron może używać swoich ludzi do walki z kimkolwiek w taki właśnie sposób? - upewnił się Kapłan.

- Przekazuje im to tak, jak *ja teraz przesyłam ci to, co właśnie usłyszałeś w swoim umyśle*. Na dość... podobnej zasadzie. Tyle tylko, że rozmowa nie jest ani dla mnie, ani dla niego, a nawet już teraz dla was, żadnym wysiłkiem - Yovita znowu musiał odkasznąć po zbyt długim zdaniu.

- Nie wysilaj gardła - upomniał go znowu Lorent.

- *Ale takie zakrzywienie czasu, choćby o ułamki sekund, bardzo go wyczerpuje.*

- To już coś – podchwyciła Haiku.

- Ale po czymś takim – zastanawiał się dalej Krzysztof – wszystko musi się wyrównać...

- Nie. Ogólna teoria względności. Sprzeczna z zasadą Macha, według której teraz rozumujesz.

- Bardzo bystry z ciebie dzieciak – nie odpuszczała Haiku. – Skąd wiesz takie rzeczy? To badania uczonych z TEGO, naszego świata!

- Od mamy... *Ten rycerz, który z wami walczył, stał się jedynie w stosunku do was i otoczenia po prostu starszy o ułamki sekund. Dla was czas płynął wolniej. Taka była cena jego szybkości. Nie można mówić o takich rzeczach jak prędkość czy przyspieszenie bez układu odniesienia. Wszystko jest względne wobec wszystkiego dookoła. Mało tego, może nawet dla każdej komórki we wszechświecie czas płynie minimalnie inaczej. Tak minimalnie, że z punktu widzenia naszego życia nie ma to znaczenia. Ale Tyhron umie nadać temu znaczący sens. I znacznie wyraźniej przyspieszyć przebieg czasu.*

- Znacznie... to znaczy o ułamki sekund? – upewnił się Kapłan.

- Tak – odparł na głos Yovita. – Ale jak sami się przekonaliście, to ogromnie dużo.

- Kiedy walczyliśmy, Tyhron był chyba dość daleko – zauważyła Yasuko.

- Nie wiem, jak daleko. *Ale być może dlatego żyjecie. Gdyby był bliżej, mógłby działać więcej.*

- Nie mogę się przyzwyczaić, że część mówisz na głos, a część przesyłasz nam telepatycznie – znowu rozchmurzyła się

Haiku.

- Niech oszczędza gardło - upomniał znowu Krzysztof.

- Yovita... - Yasuko znowu spowaźniała. - Dwóch twoich wrogów nie żyje.

- Wiem... - chłopiec spuścił głowę. - Zobaczyłem to, kiedy tylko weszłaś. Obudziłem się. Ale Tyhron jeszcze o tym nie wie. Skupił się na szukaniu mnie z najgroźniejszym aurelitą.

- Znasz jego imię? - spytał Kapłan.

- Tak. Tyhron nazywa go Xavril.

- Xavril Ganti - zacisnęła zęby Yasuko. - Nie było ani jego, ani jego ludzi rok temu w Slazerhoffie, w siedzibie Trantignana, wtedy gdy ich odwiedziłam.

Yovita drgnął jak rażony prądem.

- Ani słowa o Slazerhoffie! - uciął Lorent.

Szybko wstał od biurka i podszedł do chłopca. Chwycił go delikatnie za ramiona i spojrzał mu prosto w oczy.

- *Ona już taka nie jest...* - Kapłan nie spuszczał wzroku z Yovity. - *Nie bój się. Wiele cierpień kazało jej iść drogą, na której omal i ja się nie znalazłem. Ale to skończone.*

- *Nie tego się boję* - odpowiedział Yovita. - *Choć jej umysł opowiedział mi historię pełną krwi. Świat, z którego pochodzę, jest jeszcze bardziej brutalny niż wasz. Jesteśmy jeszcze bardziej agresywni niż wy. Ale zemsta Yasuko była pełna gorącego serca i cierpienia. Wahala się. Walczyła nie tylko z wrogami, ale i ze sobą. Natomiast Tyhron jest zimny jak gład. Logiczny, beznamiętny, absolutnie pozbawiony wątpliwości. Tego się boję. Wasze serca są gorące i z kimś takim jak on, sami... nie macie szans zwyciężyć. Bez względu na to, jak potężni jesteście w waszym świecie.*

Haiku usłyszała nie tylko ostatnie dwa zdania, które chłopiec powiedział na głos, a także wszystko to, co przekazał Kapłanowi, ale ku jego zdumieniu na jej twarzy pojawił się delikatny, chytry uśmiezek.

- Jesteś naprawdę niezły, dzieciaku - rzuciła w stronę chłopca.

- O czym ty mówisz? - Krzysztof był nieco zgorzony tym, jak zachowuje się Haiku.

- Mówię o niewinnym słówku „sami”, które przed chwilą wypowiedział. On umie to samo co Tyhron.

Błysk w oczach Yovity spowodował, że Lorent miał ochotę wlepić chłopcu porządnego klapsa.

- Nie to samo... - pokręcił głową z niedowierzaniem Kapłan, z trudem powstrzymując się od uśmiechu i próbując zachować powagę. Teraz skupił wzrok na dzieciaku jak nigdy przedtem. - Umie to robić znacznie lepiej i skuteczniej. Prawda, młody człowieku?

Yovita wzruszył niewinnie ramionami, naśladowując nieco w tym Bzdeta.

- Niegrzeczny chłopczyk - pogroziła palcem Haiku. - Nieładnie tak straszyć dorosłych.

- Łobuziak z niego jak każdy nastolatek - mruknął groźnie Lorent, nie spuszczać wzroku z Yovity. - Kiedy miałaś zamiar nam o tym powiedzieć? Otwierasz w swoim umyśle, co chcesz, łatwo zamykając inne drogi, a z nas czerpiesz, jak ci się podoba. To się nazywa manipulacja, dowcipnisiu!

Yovita najwyraźniej odrobinę się wystraszył groźnego tonu Kapłana.

- Wcale nie tak, jak chcę - bronił się z nieco naburmuszoną miną. - Przecież wiedziałem, że się domyślacie.

- To nie to samo!

- Ja nie chcę, żeby ktokolwiek ginął! Chcę się tylko stąd wydostać! - nie wytrzymał i od razu zaniósł się kaszlem.

Haiku zerwała się z kanapy.

- Dlaczego ukrywasz to wszystko?! - podniosła głos pierwszy raz od czasu, kiedy ją poznał. - Dlaczego nie mówisz nam wszystkiego?! Przecież ci pomagamy! Co jest na tej wyspie?!

- Nie mogę powiedzieć! - zachrypiał chłopiec. - Powiedz jej, Mantu! Wiem, co jest potrzebne, i tego szukam, ale do dzisiaj nie wiedziałem, gdzie mam szukać. Nie wiem, jak to wytłumaczyć... *tak mnie „zaprogramowano”. Mam to w podświadomości, ale odkrywam kolejne fakty dopiero w takich momentach, jak ten przy globusie. Czuję, że zrobiono dobrze. Ze tak jest bezpieczniej.*

- A co ty robot jesteś?! - Haiku była wciąż nieco rozłoszczona.

- Nie łap mnie za słówka, Yasuko! - zacisnął zęby dzieciak i przez chwilę nic nie mówił.

- Nie denerwuj się... chcemy tylko ci pomóc - uspokoił go Lorent.

- *Wierzę, że moja mama...* - w oczach chłopca pojawiły się nagle łzy. - *Ona zrobiła wszystko, żebym był bezpieczny. ..*

- W porządku, dzieciaku - Yasuko zupełnie nie w swoim stylu pogłaskała go czule po głowie. - Przepraszam, że krzyknęłam. W porządku już, OK?

- Twoja mama... - Kapłana mimo wszystko zaskoczyło wyznanie Yovity.

- Ani ona, ani ja nie chcieliśmy, bym tu się znalazł. Ale... *pamiętacie, jak pierwszy raz się obudziliście po tym, gdy nagle umysł otworzył przed wami wiedzę przodków?! Pamiętacie?*

- Oczywiście - odpowiedziała znacznie lżejszym tonem Haiku.

- Nie tak prosto jest być innym nie tylko tu, ale także w moim świecie. Ja tam jestem tak jak wy tu. *O tym, co potrafię, wie zaledwie garstka. Jestem tylko dzieckiem. Chcę wrócić do rodziny. Ale znalazłem się tutaj przez takich jak Tyhron. Moja mama już dawno przewidziała, że tak się może stać. W porę zrobiła wszystko, na wypadek gdyby próbowali zrobić mi krzywdę. Umiem się bronić, ale tylko z wami czuję się bezpieczny. Dzięki wam mogę także atakować, chociaż tego nie chcę! Nie wiem, skąd mama o was wiedziała, ale przekazała mi tę wiedzę. Zaszczepiła ją w odpowiedni sposób w moim umyśle. Sam nie wiedziałem, czego szukać, podpowiadał mi instynkt. Gdyby nie wasze zdolności, dzięki czemu rozmawiamy tak swobodnie, uczyłbym się waszego języka całymi tygodniami. Jako jedyni ludzie stąd umiecie „łączyć się” ze mną w taki sposób jak teraz i dlatego właściwie... wszystko rozumiem. Umiem mówić. Wy mnie tego nauczyliście.*

- Tylko skąd my to umiemy? - spytała poważnie Haiku.

- Któryś z waszych przodków musiał się kiedyś, dawno temu, tego nauczyć i przekazał wam w waszej pamięci.

- Jesteśmy z innych Unii... - Haiku przerwała i spojrzała z rzadkim u niej lękiem na Lorenta. - Umiemy to jednak robić równie sprawnie...

- A to oznacza - Krzysztof usiłował maksymalnie się skupić - że ty i Tyhron to nie pierwsi goście z waszego świata, którzy przybyli tutaj.

Yovita spuścił głowę.

- Nie mogę o tym mówić. Proszę... zrozumcie mnie. Jeszcze nie teraz.

- Uszanujemy to - powiedział poważnie Kapłan.

- Macie wiele języków. Najlepiej rozumiem ten, którym teraz mówimy. Ale tak jak wy... błyskawicznie opanuję inne, jeśli mi pozwolicie. Gdybyś dała mi szansę, Yasuko, być może mógłbym używać także tego narzecza, którym czasem mówisz i w którym często myślisz...

- To nie narzecze! - zmarszczyła brwi Kimura. - To japoński! Niemal trzy razy starszy język od polskiego!

- Przepraszam. Język pojęć, którym się porozumiewamy. .. niewerbalnie, dobrze powiedziałem? - spytał dla pewności - najłatwiej mi dopasować do...

- Polskiego - pomógł Kapłan.

- Tak. Tym językiem mówi Bzdet, Cipucha, Ola, wszyscy dookoła, a tobie on właśnie jest najdroższy - zwrócił się do Lorenta. - W waszych umysłach systemy językowe są bardzo logicznie uporządkowane. Jak szufladki, które wystarczy otworzyć.

- Szufladki... - prychnęła Haiku ze zgorzeniem.

- Przestań! - skarcił ją Lorent. - On próbuje nam tłumaczyć.

- Tyhron uznał, że tylko ten człowiek... ten o imieniu Xavril, jest godny, by uczyć go tego, co wy macie dane z natury.

- Tego typu telepatii, którą się porozumiewacie w waszym świecie?

- Telepatii? - Yovita skupił wzrok na Lorencie. - A... już rozumiem. Tak. Właśnie tak. Przepraszam, znowu boli mnie gardło... *Ten aurelita, gdy znalazł go Tyhron, czuł się bardzo samotny i opuszczony. Do końca nie rozumiem dlaczego. Mój wróg umiał mu dać to, czego tamten potrzebował. Nakreślił cel, pokazał i dał moc, której dzięki spotkaniu z jego sługą już zasmakowaliście. Uczynił go znowu silnym. Xavril tego*

potrzebował. Wezwał swoich dawnych... on to nazywał – „przybocznych”. Poddął się całkowicie Tyhronowi i uznał go za swojego nowego mistrza.

– Wiesz to, bo zajrzałeś do umysłu Tyhrona? – spytał Kapłan.

– O nieee, to by było potwornie trudne. Jestem nieco silniejszy od niego i łatwiej umiem go znaleźć. Bywa, że odgaduję jego zamiary, ale wejść do jego umysłu... to niemal niemożliwe. Ale gdy otworzył myśli Xavrila... mogłem tam buszować do woli. Jest słaby jak dziecko – Yovita zaśmiał się zadowolony z siebie. – Ale zaryzykowałem tylko raz. Musiałem bardzo się do niego zbliżyć. Omal mnie wtedy nie złapali. W nocy, w lesie...

– Jak długo tu jesteś? – spytała Haiku.

– Ja? Dość krótko. On dużo dłużej. Kiedy dotrzemy do wyspy, będę mógł o tym mówić. Na razie to, co słyszę od matki w swoim umyśle, zabrania mi tego.

– Nie lubię takich układów – westchnęła Yasuko.

– Uszanuj to – upierał się Kapłan.

– Tak jest, mistrzu – stęknęła kwaśno Yasuko.

Lorent skarcił ją jak zwykle w takich chwilach wzrokiem, po czym znowu spojrzął na Yovitę.

– Czy Xavril szuka zemsty?

Yovita chwilę się zastanawiał.

– Jest w nim dużo nienawiści. Ale nie wiem – rzekł po namyśle. – Nie wyczułem w nim tego. Szukał poczucia bezpieczeństwa. Czegoś się bał. Ale najważniejsza w nim była... fascynacja siłą, potęgą, którą zyskał przy Tyhronie. Tyle wiem, potem musiałem uciekać – znowu się zaśmiał. – Żebyście wiedzieli jak szybko!

- Wiemy, wiemy... - burknęła Haiku, wciąż rozdrażniona tym, że dzieciak ukrywa przed nimi potrzebne informacje.

- Pora spać, jutro ciężki dzień - zdecydował Kapłan. - Będzie jeszcze czas, by porozmawiać. Wiesz, gdzie teraz jest Tyhron?

- Zatrzymał się. Pewnie się regeneruje lub śpi.

- Nie wie o śmierci przybocznych Xavrila?

- Chyba jeszcze nie. Wyczuwałbym pewnie emocje. Jest jak głaz, ale taka wiadomość powinna go trochę... ruszyć.

- Bardzo dobrze już mówisz - przyznał Krzysztof.

- Już wcześniej dopasowałem pojęcia do waszych głosek, ale trochę się wstydzilem przy nich. Nie wiedziałem, czy mi wyjdzie.

- Skromniś.

- I ty to mówisz? - znowu poweselał Yovita. - Znasz ponad sto języków!

- Mam dwie prośby - zmarszczyła znowu groźnie brwi Yasuko. - Po pierwsze nie łaż po moim umyśle, a po drugie nie mów jak ci z Chatillon!

- Nie rozumiem drugiej prośby...

- Wszyscy ci aurelici gadają tak, jakby mieli kije w tyłkach. „Co rozkażesz, Mistrzu...”, „Witaj, Nauczycielu. „Zespólmy siły, bracia...”, „Niech nasze miecze sięgną po zwycięstwo...”, jakby się urwali ze średniowiecza. Nie ucz się takiego mówienia. To oszustwo. W rzeczywistości to zwykli, cwani biznesmeni, a czasem mordercy.

- Nie uogólniaj - wtrącił Krzysztof.

- No dobrze - machnęła ręką. - Mam swoje zdanie. Rzeczywiście pora spać.

Yovita uklonił się niemal rytualnie.

– Spokojnej nocy, Kapłanie! Niech sny przyniosą ci ukojenie, waleczna Haiku – chłopiec roześmiał się trochę po dziecinnemu, widząc w tym najwyraźniej świetną zabawę, ale gdy dostrzegł wzrok Yasuko, szybko zniknął w swoim pokoju.

– Ten gówniarz jest złośliwy! – oburzyła się Kimura.

– Kiedy czuje się bezpieczny, staje się znowu dzieckiem – odparł spokojnie Lorent. – Powinniśmy się cieszyć. To źle, kiedy nastolatki muszą przyjmować role dorosłych. Szczególnie takie role.

– Ma w sobie tak ogromną moc... myślisz, że jest na to gotowy?

– Nie jest. I próbował ci to dzisiaj powiedzieć. Dlatego nas potrzebuje. I to nie tylko do ochrony. Liczyłem, że będziesz uważniej go słuchać.

– Słuchałam.

– I wciskałaś kit ze sztywniakami z Chatillon.

– To nie był kit! Nie znoszę tego ich napuszenia!

– Gdy cię spotkałem pierwszy raz, mówiłaś jeszcze gorzej.

Japonka spojrzała na Kapłana z wyrzutem.

– Byłam niedługo po wypadku. Miałam całkowitą amnezję!

– Trzy lata...

– Które spędziłam wśród takich jak Trantignan! Jak miałam mówić?!

Lorent machnął ręką.

– Nie mam siły znowu się z tobą kłócić. Niech ci będzie.

– Wielki pan Kapłan! Ty też czasem zachowujesz się tak, jakbyś miał kij w tyłku.

– Woląłem już, jak siedziałaś cicho... – mruknął pod nosem

Lorent, licząc, że dziewczyna wreszcie wyjdzie i da mu szansę pójść spać.

– Jasne, wolałeś! Najchętniej byś mnie zamknął w klasztorze i zrobił ze mnie zakonnice. Nawet w wiosce ciągle mówiłeś mi, co mam robić.

– Nie mówiłem, co masz robić, tylko prosiłem, żebyś nie zdradzała Kaneczua naszych sekretów!

– Nie zdradzałam im sekretów, tylko uczyłam tai-chi! To zdrowe!

– Oczywiście. I teraz dziewczęta z Kaneczua, zamiast tańczyć przy ognisku według zwyczajów swoich przodków, machają rękami jak Chińczycy w sali gimnastycznej!

– Ale z ciebie gbur! – ofuknęła go Haiku. – To piękne zwyczaje ludów Wschodu. W twoim kraju siedzieliście jeszcze na drzewach, kiedy my już budowaliśmy pałace i tworzyliśmy poezję. Dobranoc, wielki Kapłanie z kijem w tyłku!

Yasuko wyszła, zamasyżuje zabierając ze sobą plecak.

Krzysztof zamknął za nią drzwi i usiadł na kanapie.

„Może dobrze, że się ożywiła” – pomyślał. – „Jutro czeka nas ciężki dzień”.

Bzdet wykazał tym razem wyjątkową punktualność. Ponad wszelką wątpliwość nie była to jego wyróżniająca się cecha na co dzień, ale w sytuacjach wyjątkowych postanowił skorzystać z dobrodziejstw, jakie nosiło posiadanie zegarka, którego zresztą... nie posiadał. Zaopatrzony jednak w telefon komórkowy, który służył mu właściwie tylko do kontaktu z żoną, niemal równo o osiemnastej wszedł niechętnie, ale zdecydowanie do garażu Lola. Zamknął za sobą drzwi, choć tak

naprawdę wolał, żeby zostały otwarte, co przynajmniej częściowo zniwelowałoby smród panujący wewnątrz.

Lolo siedział na swoim ulubionym metalowym stołku, patrząc na punka niczym mafijny ojciec chrzestny podczas przyjęć klientów. Bufoniasta mina grubasa zdaniem Bzdeta wyglądała nieco groteskowo na tle brzydoty całego pomieszczenia, zwłaszcza gdy miało się świadomość, co prezentuje sobą sam Lolo, zważywszy na jego dotychczasowy życiorys. Nie to jednak najbardziej niepokoiło punka. Postawa grubasa była nietypowa, ale przede wszystkim brak sprzętu, który w chwilach takich jak ta, powinien być rozłożony na stole, gotowy do użycia, wzmógł czujność Bzdeta.

- Wszystko w porządku? - spytał, udając, że nie przewiduje żadnych kłopotów.

- Niezupełnie - burknął Lolo, nie zdobywając się na swój codzienny sztuczny uśmiech.

- Mam resztę forsy - zapewnił punk.

- Cieszę się.

- Więc o co chodzi?

- Zanim zrobimy interes, chcę wiedzieć, do czego ci dziecięcy paszport - Lolo uniósł w górę brodę, przez co stał się w oczach Bzdeta jeszcze bardziej żałosny.

- Gdybym chciał wzruszyć swoją historią słuchaczy, wystąpiłbym, zalewając się łzami, w TVN-ie lub po prostu poszedł po paszport do urzędu, gdzie zapłaciłbym za to stówę, a nie pięćdziesiąt kaflów.

- Sześćdziesiąt - poprawił niespodziewanie gruby.

Teraz już Bzdet był pewien, że Lolo nie ma w ogóle

zamiaru dziś dać mu paszportów ani wiz. Krótko zastanawiał się, co robić, ale wyręczył go gospodarz.

- Powtarzam, chcę wiedzieć, po co ci taki paszport! - rzucił groźnie.

- Wczoraj, na początku naszej rozmowy, powiedziałaś, że wręcz przeciwnie - z jakiegoś powodu punk poczuł się bardziej zaniepokojony niż zwykle podczas wizyt w tym miejscu, na szczęście rzadkich w ostatnich latach. Gardził tym człowiekiem, miał gdzieś jego bufonadę, burdel w garażu, a nawet smród niezmienny od lat. Ale ponad wszelką wątpliwość nigdy tu nic nie budziło w nim niepokoju. Tym razem jednak przyznał się przed sobą, że zwyczajnie się boi, i chyba ma ku temu powody.

- Zmieniłem zdanie. To jest mój warunek. Potem możemy wrócić do rozmów. Rozumiemy się?

- Lolo - odparł mimo wszystko spokojnie Bzdet - masz moje dwadzieścia kawałków.

- Nie twoje. Nigdy nie byłbyś w stanie zdobyć dwudziestu kawałków, a już na pewno nie pięćdziesięciu. Czyje to pieniądze?

Punka ogarnęła złość.

- Nie masz papierów, a tym bardziej wbitych wiz. Oddaj pieniądze!

- Bzdeciu... - Lolo zsunął się ze swojego stołka. - Mówiłem ci tyle razy. Nie nadajesz się do interesów. Jesteś tylko byłym ćpunem i frajerem. Więc posłuchaj dobrej rady. Powiedz to, o co proszę, bo inaczej cię stąd nie wypuszczę.

Drzwi się otworzyły i do garażu weszło dwóch potężnych drabów, ostrzyżonych na zapałkę. Ubrani byli od góry do dołu jak w kawałach o dresiarzach, w podrabiane w Chinach ciuchy Adidasa.

- Co o nich powiesz? - spytał buńczucznie Lolo.

- Nie za przystojni. Ale chyba mają tego samego fryzjera. Nie

w moim typie. Do ciebie?

- Masz jaja. Gratuluję. Tylko czy dalej je będziesz miał, jak stąd wyjdiesz?

- Ty gnido! - nie wytrzymał Bzdet. - Znamy się od dzieciństwa...

- W takim razie powinieneś wiedzieć, że nie jestem specjalnie sentymentalny.

Pierwszy z drabów chwycił punka za kurtkę i bez najmniejszych problemów powalił na stół, po czym wyjął nóż sprężynowy, otworzył i przystawił do jego policzka.

Lolo zbliżył się do nich z obleśnym, bezzębnym uśmiechem na twarzy.

- To jest Pitbul. Jest specjalistą od poszerzania uśmiechów. A jego przyjaciel to Szary. Trafisz w jego ręce, jak pierwsza część perswazji nie pomoże.

- Wypierdalaj! - syknął niespodziewanie Pitbul do Lola.

- Ja go nadałem szefowi! - wrzasnął urażony grubas.

- Jego gówno to obchodzi. Wypierdalaj! - dopowiedział Szary i zbliżył swoją twarz na odległość centymetra do nosa grubego.

- A moja forsa?

- Jebnij go, bo mnie wkurwia! - rzucił przez ramię Pitbul i przyłożył nóż do ust Bzdet.

Kapłan wspiął się na schody i wyszedł na zewnątrz. Otworzył furtkę, a następnie postanowił przejść się po pobliskim lesie. Mimo że jesień wciąż była łagodna, różnica między krainą Kaneczua a Warszawą, szczególnie na początku, nieco dawała mu się we znaki. Zaaklimatyzował się na szczęście

dość szybko, ale gdy tylko spotkany w szpitalu Yovita rzucił się łapczywie do „rozmowy”, lekki szum głowy, jaki odczuwał po wylądowaniu w Europie, był niczym w porównaniu z tym, co zafundował mu szalejący po jego receptorach mózgowych, niewinnie z pozoru wyglądający chłopiec. Haiku jakoś zawsze lepiej znosiła zmiany klimatu, na nic nie narzekała, a spierała się z Lorentem i truła bez umiaru jak zwykle, bez specjalnych różnic. Gdy nie miała nic do powiedzenia lub gdy rozmowę uważała za nudną – milczała jak grób i zanurzała się w siedemnastowiecznej poezji japońskiej, którą każdej nocy przykrywała się jak kołdrą i która chroniła ją przed strachem, bezsenssem, poczuciem beznadziei i... winy.

Kapłan kroczył po niewielkiej ścieżce, idąc w stronę Zalesia. Słyszał miarowe kroki biegających po lesie amatorów joggingu, szum rowerów, a nawet odgłosy rozmów, ale wszystko z oddali. Sam wyglądał najzwyczajniej jak tylko można. Nieco znoszone dżinsy, ciemnozielona jesienna kurtka, sportowe, ale ciepłe buty. Odkąd tu przyjechał, tak właśnie się ubierał. Jakby mieszkał w jednym z pobliskich bloków i zaraz miał wrócić na kolację do żony i dzieci.

W pobliżu nie było nikogo, więc wyjął telefon i wystukał numer na klawiaturze.

– Witaj, Krzysztofie – usłyszał niemal natychmiast.

– Witaj, Luigi. To bezpieczny telefon?

– Tak. Sygnał podwójnie szyfrowany. Absolutnie nie ma szans, by ktoś mógł nas usłyszeć.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam – zaczął dość chłodno Kapłan.

Odpowiedziała mu chwila ciszy, ale Balea po kilku sekundach znów zaczął mówić.

- Oni byli bardzo niebezpieczni, Krzysztofie. Nie było innego wyjścia.

- Nigdy się nie zmienisz.

- Nigdy nie zabiłem bez przyczyny. Nie mógłbym wziąć odpowiedzialności za lekarkę, gdybym pozwolił się szwendać mordercom tuż przed drzwiami szpitala!

- Powiedz, że dostali rozkaz dopiero wtedy, gdy tamci zbliżyli się do Oli...

Znów chwila ciszy.

- Przysięgam ci na mój honor - odpowiedział pewnie Luigi.

- Dlaczego tak się ich bałeś?

- Doskonale wiesz dlaczego. Spotkałeś Rasmussena.

I jakoś czuję... że wiesz, dlaczego coś było nie tak. Dlaczego jeden z naszych nauczycieli przegrał pojedynek z przeciętnym żołnierzem, którego kiedyś szkolił. I właśnie dlatego dzwonisz, by mi to powiedzieć.

- Ten wysoki, potężny człowiek... - zaczął Lorent - ma niezwykle zdolności. Nie jestem w stanie tego teraz wytłumaczyć. Ale kiedy w jego pobliżu są ci, którzy mu pomagają... potrafi sprawić, że stają się szybsi. O to tu chodzi.

Po kolejnej chwili ciszy, tym razem wywołanej raczej zakłopotaniem niż zabiegiem mającym nieco udobruchać Kapłana, Luigi zaczął mówić nieco zmienionym tonem:

- Nie wiem, czy do końca rozumiem. Kim jest ten człowiek?

- Jeszcze dokładnie nie wiem. Ale jest inny niż my.

- My?

- Ludzie, którzy żyją na tej planecie - Krzysztofa nieco rozdrażniła „dokładność” Balei.

- Co radzisz? - spytał wreszcie z jakimś sensem Luigi.

- Pilnuj, żeby nikt, kto byłby w stanie podjąć z nami jakąkolwiek walkę, nie zbliżał się do niego. Został mu tylko Xavril Ganti. Nie dasz mu teraz rady, chyba że podstępem, z broni palnej lub w jakikolwiek inny sposób niż walka wręcz.

- Rozumiem.

- Zostawiam tu lekarkę i to barwne małżeństwo, które już znasz. Strzeż ich jak oka w głowie, a ja wywiążę się z naszej umowy.

- Masz już jakiś plan?

- Tak. I z wiadomych względów nie będziemy teraz o tym mówić.

- Oczywiście.

- Jeszcze jedno. Sprawa, o której już rozmawialiśmy. Obawiam się, że nie damy tu rady w stosownym czasie zdobyć papierów.

- Mówiłem ci, żebyś od razu zwrócił się z tym do mnie - westchnął nieco urażony Balea. - Na wszelki wypadek poleciłem przygotować co trzeba. Czeka na was człowiek z dokumentami i sprzętem. Może załatwić wszystko w ciągu godziny.

- To całkowicie pewny człowiek?

- Ręczę za niego. Ale nie mówi po polsku. Nie zna kraju. Czeka w hotelu Sobieski. Nazwisko: Kowalski.

- Dowcipnie.

- Jestem Włochem. Umiem wyczuć wasz polot i poczucie humoru.

- Dziękuję. - Balea wiedział, że to akurat podziękowanie przyszło Lorentowi dość ciężko. - Podaj szczegóły.

- Lecicie o trzeciej nad ranem specjalnym czarterem ze

sportowcami do Moskwy. To planowany od trzech miesięcy lot, nie wzbudzi najmniejszych podejrzeń. Lotnisko będzie zamknięte. Do szóstej rano to jedyny start.

- Nie lubię Rosji - skrzywił się Krzysztof.

- A kto lubi? Ale niektórzy Rosjanie są nawet nowocześni i sympatyczni. Ci, których spotkasz w samolocie, są ponadto weseli i towarzyscy. Polubisz ich.

- Aurelici?

- Nie. Ale pracują dla nas od wielu lat. Nie będą się do was zbliżać, jeśli to nie będzie konieczne.

- Co dalej?

- W Moskwie natychmiast przesiadka na następny czarter. Tym razem grupa biznesmenów i polityków niskiego szczebla do Bangkoku. Trudno było to wszystko zgrać.

- Doceniam to - odparł cierpliwie Krzysztof.

- Tam przejmie was już *quadrenta*, czyli czterech naszych żołnierzy.

- Wiem, co to jest *quadrenta* - nie mógł sobie odmówić Lorent. - W mniej miłych czasach spotkałem kilka takich na swojej drodze.

- Ale teraz czasy wyglądają na bardziej przyjazne, nie sądzisz? - Luigi jakoś przełknął wyraźny przycinek ze strony Krzysztofa. - Przetransportują was do Ranong. Musicie ominąć Birnę. A stamtąd na wybrzeże i Morzem Andamańskim do celu.

- Jeszcze raz dziękuję. Pamiętaj o moich bliskich.

- To teraz dla mnie priorytet. Wiem, że wywiążesz się z naszej umowy. Jedyne, czego żałuję, to to, że nie mogę tej akurat tajemnicy rozwikłać z tobą...

- Zapraszamy.

- Niestety, jak wspomniałem, nie mogę. Bracia nie daliby mi polecieć do miejsca, z którego nikt nie wraca żywy.

- Nie ma to jak prawdziwi przyjaciele.

Balea uśmiechnął się do słuchawki.

- Ty zawsze wracasz żywy. W dodatku masz przy sobie Haiku. Reszta stanowi dla mnie zagadkę, ale jak zwykle ufam ci.

- Od kiedy?

- Uczciwość to w mojej ocenie twoja jedyna słabość. Ale biorąc pod uwagę twoją potęgę...

- Kończę, Luigi. Muszę wziąć teraz z lasu, w którym stoję, swoją potęgę ze sobą i zrobić kolację dla kilku gości.

- Rozumiem. Niech moc będzie z tobą!

- Tak. Twoje poczucie humoru nabiera wyraźnie rozpędu.

- Prawda?

- Jasne. Z ducha jesteś już prawie zamerykanizowanym Polakiem.

- Z ducha jestem twoim przyjacielem, Krzysztofie.

- Jeszcze się usłyszymy, nim odpłyniemy na wyspy. Bywaj.

- Bywaj, przyjacielu.

Kapłan się rozłączył.

- Zdecydowanie nadużywasz tego słowa, drogi Luigi - mruknął pod nosem Krzysztof i skierował się w stronę kryjówki.

Punk poczuł, jak zaczyna mu się robić gwałtownie zimno, kark sztywnieje, a całe ciało zaczyna drżeć. Być może w takich chwilach, paradoksalnie, wyostrzają się zmysły i sparaliżowany strachem człowiek zaczyna ku swojemu własnemu zdziwieniu więcej słyszeć, ostrzej widzieć. Takie właśnie myśli kłębiły się w

umyśle Bzdeta, gdy na jego szyi była zaciśnięta żelazna dłoń Pitbula, coraz bardziej utrudniająca oddychanie. Ale choć nie usłyszał wyraźnie otwierających się drzwi, był prawie pewien, że wpadł mu do ucha świst rzuconego z dużą siłą przedmiotu, który wbił się w ciało Szarego. Bzdet nie był jednak tego pewien, dopóki potężny drab nie osunął się na ziemię. Niecałą sekundę później Lolo z podciętym błyskawicznie gardłem runął na ziemię tuż obok niego. Czarna postać, poruszająca się potwornie szybko, podbiła właściwie niewidocznym dla punka ruchem rękę Pitbula, w której trzymał nóż, ale ostrze swojego sztyletu wbiła z całym impetem pod lewe ramię olbrzyma. Zanim z jego ust zdążył się wydobyć krzyk wywołany nie tylko zaskakującym, ale i trudnym do wyobrażenia potwornym bólem, całym ramieniem objęła głowę Pitbula i szybkim, zdecydowanym ruchem skręciła mu kark. Przerwane kręgi szyjne wydały nieprzyjemny zgrzyt. Urwany jęk, który uwiązł gdzieś w gardle olbrzyma, przypominał nieprzyjemny charkot konającego w przerażeniu zwierzęcia. Wszystko nie mogło trwać dłużej niż dwie sekundy i wyglądało jak okrutny taniec, wykonany płynnie, harmonijnie i przeraźliwie konsekwentnie. Ruch po ruchu. Jakby ktoś wyćwiczył go po tysiącach prób. Jakby tak precyzyjnie to zaplanował, że ofiary stały dokładnie tak, jak wymagała tego makabryczna... choreografia.

Zanim Pitbul uderzył swoim potężnym ciałem o podłogę, czarna postać odzyskała swój sztylet. Wytarła krew w szmatkę i wsunęła ostrze do *umuri* tkwiącego gdzieś z tyłu, przy dość szerokim skórzanym pasku.

- Haiku... - jęknął rozdygotanym głosem Bzdet.

Dziewczyna wyprostowała się i zacisnęła usta. Gniew

w jej oczach powstrzymał go na pewien czas od jakichkol-

wiek dalszych pytań. Kiedy oceniła, że nic mu nie jest, nie zastanawiając się dłużej niż kilka sekund nad kolejnym posunięciem, podeszła do ściany przeciwległej do wyjścia, wyjęła małe żelazne narzędzie i szybko otworzyła niewielkie drzwiczki, przypominające te używane zwykle w domach do ukrycia tablicy z bezpiecznikami. Wyjęła ze schowka metalową kasetkę, którą już z większym trudem otworzyła innym, choć podobnym do poprzedniego narzędziem. Punkt zdążył zsunąć się ze stołu i wciąż roztrzęsiony, starając się nie patrzeć na leżące na podłodze ciała, zbliżył się do Yasuko. Dziewczyna odliczała dwadzieścia tysięcy ze znacznie większej sumy, która znajdowała się w kasetce.

– Skąd wiesz, gdzie trzymał kasę? – spytał cicho, nieco zachrypniętym głosem Bzdet.

– Domyśl się – mruknęła pośepnie Haiku.

– Śledziłaś mnie... to znaczy pilnowałaś mnie od wczoraj? Obserwowałaś Lola?

Kimura wyjęła z kieszeni kluczyki i wręczyła punkowi.

– Za garażem stoi sportowe mitsubishi. Poczekaaj tam na mnie – rozkazała, chowając pieniądze.

– Zostawiasz resztę?

– Tylko tyle jest nasze. Sprawdź, czy nie masz przypadkiem na sobie krwi, a potem idź do samochodu. Muszę zatrzeć ślady.

– Ale...

Haiku gwałtownie przeniosła na niego rozdrażnione spojrzenie.

Bzdet nie chciał jej się przeciwstawiać. Wciąż nieco nieuporządkowanymi ruchami zdradzającymi panikę szukał śladów krwi na swoim ubraniu. Po czym wyszedł szybko z garażu. Trafił bez problemu do samochodu, otworzył i usiadł na

siedzeniu pasażera.

Haiku wróciła po niecałych pięciu minutach. Wsiadła bez słowa, wzięła od Bzdeta kluczyki i ruszyła wolno, starając się nie zwracać na siebie uwagi.

- Skąd masz samochód? - spytał dość głupio punk, ale rozpaczliwie potrzebował rozmowy na jakikolwiek temat.

- Przez ciebie po raz pierwszy od roku musiałam zabijać - warknęła groźnie, głosem, który wywołał kolejne ciarki na plecach punka.

- Przepraszam... - jęknął cicho. - Tak bardzo... Ja...

- Uspokój się. Wyjeżdżam na drogę publiczną. Nie chcę, żebyś rzucał się w oczy.

- Zawsze z nim załatwiałem takie sprawy - Bzdet wreszcie wziął się w garść. - Nigdy nie było żadnych problemów. Znam go od dzieciństwa... na wspólnym podwórku. .. Nie mogę uwierzyć...

- Ludzie się zmieniają - odezwała się lżejszym już tonem.

- Może chcieli mnie tylko nastraszyć?

- Ci w dresach to „rosówki”. Planowali wyciągnąć od ciebie wszystko, a później zabić.

- „Rosówki”?!

- Najgorszy typ. Amatorzy usiłujący przykleić się do zawodowców. Bezmyślni, tępi, bez najmniejszego poszanowania życia... Podśluchałam ich rozmowę przed wejściem do garażu. Nie dość, że mordercy, to jeszcze idioci.

- Słyszałaś, że planowali mnie zamordować na chwilę przed wejściem do garażu?!

- Głuchy jesteś? Mówię ci przecież, że to byli krety. Przepowiadali sobie jak dwójka tępaków, co kazał im zrobić ten

cały ich „szef”.

Przez chwilę jechali w ciszy.

– Ten, który trzymał mnie za gardło... – odezwał się znowu z wysiłkiem punk. – Wbiłaś mu...

– ... Sztylet – pomogła dość chłodnym i szorstkim tonem.

– ...Pod pachę... pod ramię, a nie...

– Trzymał rękę na twoim gardle – przerwała dukanie chłopaka. – Mógł ci jednym ruchem wyrwać krtań albo wepchnąć ją do przełyku.

– Stracił po tym czucie w ręce?

– W wolnej chwili przejrzyj sobie atlas anatomiczny człowieka – mruknęła znudzona nieco tymi pytaniami Haiku. – Zobacz, którędy przebiegają jakie nerwy, a potem doczytaj, jaką pełnią funkcję. I daj mi z tym spokój.

Punk znowu zamilkł, tym razem na dłużej.

– Lolo wiedział o tym, że chcą mnie załatwić? – odezwał się dopiero po kilku minutach.

– Nie wiem – Haiku ani na chwilę nie odrywała wzroku od drogi.

Bzdet postanowił nie pytać jej o śmierć grubasa. Lolo sam się w to wpakował. Musiała go zabić niezależnie od tego, czy wiedział o planach bandziorów, których na niego napuścił, czy nie. Z przerażeniem przyznał jej w myślach rację. Nie mogło być świadków. Zateśknił gwałtownie do żony. Chciał się wtulić w jej ramiona, z nadzieją, że kiedyś jakoś sobie to wytłumaczy i zapomni, jeśli to w ogóle możliwe, co stało się przed chwilą. Nie akceptował odbierania życia komukolwiek, ale właśnie rzeczywistość pokazała mu, jak nierealny to postulat w dzisiejszym popieprzonym świecie. Albo on miał tu umrzeć, albo oni.

- Co ten gruby wiedział o tobie? - spytała Haiku.

- Niewiele. Kupowałem kiedyś od niego prochy. To przeszłość.

- Wiedział, gdzie mieszkasz?

- Nie. Na pewno nie. Pilnowałem tego. Bardzo mało osób wie.

- Widziałam dwa dni temu.

- To byli aurelici!

- Jasne - Yasuko pokręciła głową z zażenowaniem. - Zastanów się, to ważne. Ten cały Lolo poszedł do kogoś, o kim nie mamy zielonego pojęcia, i nagadał o tym, z czym do niego przyszedłeś. Więc przypomnij sobie wszystko, co mógł o tobie wiedzieć. Nie mogę cię dłużej chronić.

Bzdet myślał przez dłuższą chwilę.

- Wyprowadziłem się stąd ponad dziesięć lat temu. Widziałem go w tym czasie może dwa, trzy razy... Nigdy nie mówiłem mu niczego o sobie. Cipucha zna go głównie z opowiadań. Widziała go kilka razy dawno temu, jak zaczynaliśmy ze sobą chodzić. Nie miał nawet pojęcia, jak ona się nazywa, a nasz dom jest na nią. Odziedziczony po jej rodzicach. Nie żyją.

- Może się tobą wcześniej interesował?

- Nie, dopiero teraz. Nie było powodu wcześniej. Pięć lat temu załatwił papiery dla Krzyśka i kilku osób. Ale nie znał ich nazwisk ani danych. Sam wpisałem dane, pracowałem na fleszu USB. Nawet na chwilę nie wprowadziłem tego do komputera. Nie mówiąc już o tym, że dane były fałszywe.

- Jesteś pewien, że nikt cię nigdy nie śledził?

- Mieszkamy na odludziu. Obcych widać na kilometr. Nawet

jak zbliżali się aurelici, wtedy, rok temu, wiedzieliśmy o tym. Nie zapraszamy gości. O tym domu wie tylko Dybcio i wy. Może i zachowujemy się jak świry, ale teraz to się przyda.

- On znał twoich rodziców?

- Byliśmy sąsiadami w bloku. Ale wychowywała mnie ciotka. Miała inne nazwisko niż ja. Lolo nie chodził ze mną do szkoły. Nawet nie wiedział, jak się nazywam. Nigdy, od dziecka, nie znosiłem sztucznie nadanych przez ucisk społeczny „pieczętek” na czole każdego z nas.

- Mówisz o imionach i nazwiskach? - nawet Yasuko przez chwilę była nieco zadziwiona.

- Tak.

- Rzeczywiście jesteś świrem - przyznała. - A myślałam, że to ja jestem inna.

Teraz dopiero się odwróciła, by spojrzeć na Bzdeta.

- No dobrze - wyraźnie starała się, by gniew znikł z jej twarzy. - Jeśli niczego nie pominąłeś, wygląda na to, że jesteś w miarę bezpieczny. Ten cały „szef”, niezależnie od tego, kim jest, nie wie, jak wyglądasz, jak się nazywasz, gdzie mieszkasz. Zakładam, że nie robiliście sobie wspólnych zdjęć.

Bzdet nawet na to nie odpowiedział.

- Przeżyjesz - Yasuko, ku zaskoczeniu Bzdeta, chyba starała się go pocieszyć. - Tak czasem jest. Widziałam w swoim życiu dużo śmierci. Potem jakoś się układa. To byli podli ludzie. Świat skorzysta na ich odejściu.

Na to również nie odpowiedział.

- Ani słowa Krzysztofowi - ostrzegła, gdy doszła do wniosku, że dosyć już pocieszania.

Bzdet spojrzał na nią pytająco.

- Ma dość zmartwień - kontynuowała dziewczyna. - Weźmie to na siebie, a tego nie chcę. Interes się nie udał, trzeba wymyślić coś innego. Wszystko.

- Uwierzy?

- Nie wiem. Ale przecież nawet ty byłeś zaskoczony.

- Wie, że mnie pilnujesz?

- Wie. Prosił mnie o to. Na wszelki wypadek. Ale to niczego nie zmienia. Przy całej swojej potędze i mądrości bywa naiwny. Jest pełen wiary w dobro, w ludzi...

- Wiem. Czy przypadkiem nie z tego powodu żyjesz z nim i Kaneczua?

- Nie chcę o tym teraz gadać. Po prostu weź się w garść i wymyśl dobrą historyjkę.

- A Yovita?

- Może uda się to przed nim ukryć. Mnie się powinno udać, gorzej z tobą. Ale chłopiec zajęty jest teraz przede wszystkim koleżką, który go szuka. Może nie będzie ci włąził do umysłu. Jeśli się tego nie chce, to dla niego spory wysiłek. Zresztą dziś w nocy wyjeżdżamy.

- A wizy, paszporty?!

- Już wczoraj wiedziałam, że ten gruby to trefny facet. Powiedziałam Krzysztofowi, że jest mała szansa na załatwienie sprawy. Jest ktoś, kto bez problemu może nam coś takiego załatwić, ale Kapłan bardzo niechętnie korzysta z jego pomocy.

- Kto?

- Ktoś, komu za to i kilka innych rzeczy, niestety, obiecał pewną przysługę. Lepiej, żebyś nie wiedział za dużo. Papiery będą dziś w nocy. Potem wyjedziemy. Kiedy tylko się upewnimy, że ty, twoja żona i Ola jesteście bezpieczni.

ROZDZIAŁ 8

Ola była już potwornie zmęczona. Marzyła o powrocie do domu, o swoim łóżku, najchętniej z mężem rozłożonym seksownie na pościeli, gotowym do wszelkich odprężających rozrywek. Pan mąż niestety wciąż tkwił w Londynie, a ona w szpitalu, bo poprosił ją o to człowiek, któremu najbardziej w życiu, poza wspomnianym mężem, ufała.

Bzdet nie zadzwonił, ale zrobił to Krzysztof. Zapewniał, że jeszcze kilka godzin i zarówno ona, jak i Cipucha oraz Bzdet będą mogli wrócić bezpiecznie do siebie.

O Czesiu nie rozmawiali, ale zakładała, że Lorent panuje nad sytuacją. Stres wziął górę nad ciekawością. Chciała, żeby to się wreszcie skończyło, choć jako lekarka nie mogła sobie darować, że z chłopcem już się pewnie nie spotka, a Krzysztofa zobaczy dopiero po powrocie z podróży, o której też nie za wiele mogła się dowiedzieć. Tak było bezpieczniej. Niech i tak będzie, chociaż dziecko z potrójnymi narządami oraz zdolnościami telepatycznymi to raczej nieczęsta okazja do badań (K.. .wa m.. .ć!).

Pech doktor Aleksandry Sambierskiej polegał na tym, że za każdym razem, kiedy pojawiał się w jej życiu fascynujący pacjent, ciągnął za sobą kłopoty, i to jeszcze dziwniejszej natury niż on sam. Niechby raz w życiu spadł jej z nieba ktoś taki, kogo nikt by nie ścigał, nie chciał zabić, do niczego zmusić ani... no kurczę!!! Fajny, niczym nieobciążony pacjent! Przepięknie chory! Porąbany na maksa! Ale taki, o którym można by napisać

jakąś pracę, dać wykład zatykający dech w piersiach, zarówno zresztą męskich, jak i kobiecych. Może przy okazji dostać jakąś wzbudzającą zazdrość nagrodę albo napisać bestseller, a potem obejrzeć jego ekranizację w kinie! Tak, to by było to...

A tu albo zjawia się przystojny ksiądz (!), który nagle zaczyna sięgać pamięcią genetyczną poza ramy swojego życia i tego, czego był świadkiem, albo kilka lat później jakiś dzieciak, który mógłby być dawcą narządów dla całej drużyny szesnastolatków, nie mówiąc już o tym, że wychował się w jakiejś innej rzeczywistości. No i pięknie, ale czy od razu muszą zjawiać się faceci z mieczami i robić tu jesień średniowiecza?!

Myśli zmęczonego umysłu pani doktor rozwiął w tempie błyskawicy biegnący po korytarzu Grzegorz Jurga, na co dzień spokojny kardiolog, który teraz dla odmiany, żeby nie przesadzić, miał... śmierć w oczach!

Ponieważ Ola stała w drzwiach gabinetu – na swoich steranych przygodami ostatnich dni nogach – widziała to dokładnie i choć raczej niewiele już ją powinno w życiu dziwić, wyraziła szczere zainteresowanie.

– Marchewa, uciekaj! – usłyszała już z daleka, co powinno ją przerazić, a co najmniej zaniepokoić.

„A niech tną mieczami i głowę mą zatkną na totemie” – zacytowała sobie w myślach klasyka, po czym zakończyła myśl już bardziej osobistym przesłaniem: – „Mam to w dupie”.

Jurga tymczasem ją dorwał i kontynuował zdyszany, tyle że tym razem prosto w twarz:

– Znikaj stąd! Bo cię zabiją!

– Grzesiu... – nagle wyrwało jej się westchnienie pełne szczerą troską. – Tu są pacjenci. Mógłbyś zachowywać się godnie?

- Nie ma nikogo na korytarzu...

- Nieważne. Jesteśmy w szpitalu psychiatrycznym. Czy moglibyśmy poudawać lekarzy? Tak na przykład po to, by nie wywoływać paniki?

- Oni tu idą! - jęczał zdruzgotany Jurga.

- Mają miecze? Są ubrani w ciemnozielone habity? - spytała dla porządku.

- Jakie miecze? - kardiolog nieco przystopował z paniką. - Piłaś coś?

- No to niby dlaczego mam uciekać? - spytała rzeczowo.

- Suchy tu idzie! Ściągnął skurwiela na nas gliniarzy! No w rytmu dam, podłemu łobuzowi!!!

Teraz dopiero Ola się zmobilizowała, żeby uważniej wsłuchać się w to, co mówi Jurga. Kolejny paradoks. Rozwścieczony Suchowski zrobił na niej większe wrażenie niż ewentualna rozróżba z aurelitami. Ciekawe... do jak dziwnych rzeczy człowiek może przywyknąć! Rzekła jednak, co następuje:

- Będziemy tu stać i dzielnie podejmiemy wyzwanie!

Zdecydowanie tym ochłodziła kardiologa.

- Możemy się umówić, że to ty podejmiesz wyzwanie, a ja ci będę dzielnie towarzyszył?

- Oczywiście - odparła hardo.

W drzwiach swojej sali jak na zawołanie pokazał się Biało-Czarny z pytającym spojrzeniem.

- Lepiej wracaj do środka - ostrzegła Sambierska. - Szarość nadciąga ze zdwojoną siłą!

- Tak jest! - potwierdził poważnie Jurga.

Biało-Czarny nie dał się długo prosić i zniknął ponownie w sali.

Kroki zaczęły być wyraźnie słyszalne już z daleka.

– Jest Kulawik? – spytał szybko kardiolog.

– Zaraz ma być. – Spojrzała na zegarek. – Jest już po ósmej.

– Może jeszcze zdołamy uciec? Drugimi schodami?

– Puknij się w czoło! Jestem na dyżurze. Ile razy mam ci mówić, że tu są pacjenci. Mam w dyżurce dwóch pielęgniarzy, dwóch ochroniarzy i żadnego lekarza. Nawet studenta!

W dali widać już było grupę czterech mężczyzn. Jednym z nich z pewnością był Suchowski, ubrany w pretensjonalny, bordowy płaszcz z bardzo szerokim kołnierzem. Tuż za nim kroczyło dwóch umundurowanych policjantów. Ostatni z mężczyzn był najniższy z całej drużyny, ubrany w zwykły, tani garnitur służbowy, jak zgadywali lekarze – pewnie śledczy.

Zamiast wściekłości w oczach kolegi po fachu znaleźli złośliwą satysfakcję. To jakoś zezłościło Jurgę, który odzyskał rezon.

– Ale z ciebie dupek! – nie wytrzymał, gdy tylko się zbliżyli.

– Proszę się liczyć ze słowami, doktorze – odparł wyniośle Suchowski.

– Podkomisarz Wichura – przedstawił się surowym tonem facet w garniturze. – Czy pani to doktor Aleksandra Sambierska?

– Tak – potwierdziła spokojnie.

– To są sierżanci Stefanek i Brzóska.

– To jest doktor Grzegorz Jurga – przedstawiła kolegę zamaszystym ruchem Oła.

– Wspaniale – zameldował służbowo Wichura. – Z panem również chcielibyśmy porozmawiać.

– Proszę – wzruszył ramionami kardiolog.

- Jesteśmy tu w związku z oskarżeniem i skargą pana profesora - policjant wskazał Suchowskiego. - Dotyczącą poważnych nadużyć.

Ola zerknęła na kabury przy paskach mundurowych.

- Tu nie wolno wnosić broni, nawet policjantom - poinstruowała spokojnie gości.

- Wiemy - Wichura chyba należał do tych gliniarzy, których trudno wyprowadzić z równowagi. Wyglądał na dość bystrego i raczej nie był natarczywy. - To tylko puste kabury. Każdy z nas zdał broń w biurze ochrony.

- Przepraszam - zreflektowała się Sambierska. — To ważne ze względu na charakter placówki. Stąd bardzo uważamy tu na przepisy.

- O taaaak - nie wytrzymał Suchowski. - Bardzo uważacie!

- Panie profesorze - Wichura wolno odwrócił się w stronę Suchowskiego. - Jest pan tu świadkiem i obserwatorem, proszę pozwolić, że ja będę mówił.

- Proszę bardzo - skrzywił się ze zniecierpliwieniem profesor.

- Muszę prosić zarówno panią, jak i pana o udanie się na posterunek celem złożenia wyjaśnień.

- To zupełnie niemożliwe, panie komisarzu. - Ola była wciąż swobodna i raczej pewna siebie. - Jestem tu w tej chwili jedynym lekarzem. Pan doktor - wskazała na Jurgę - to kardiolog i jest tu, ponieważ prosiłam go o konsultację. W tej chwili żadne z nas nie może opuścić chorych.

Policjant przez chwilę się zastanawiał, obserwując Sambierską, w której, co z żalem w duchu przyznał, nie był w stanie wywołać choćby najmniejszego stresu, a byłoby to w tej sytuacji bardzo pomocne.

- Proszę nie utrudniać śledztwa. Chyba mi pani nie chce powiedzieć, że w całym szpitalu została tylko pani i pan doktor – podjął zdecydowaną próbę Wichura.

- Oczywiście, że nie. Ale to jest mały oddział. Obecnie mamy tu dwunastu pacjentów. Szpitala nie stać na większą liczbę specjalistów. Przy wejściu na to piętro z pewnością zauważyli panowie w dyżurce pracowników ochrony. Tam – wskazała brązowe drzwi – jest pokój pielęgniarski. W tej chwili jest tam dwóch pracowników. Ordynator będzie lada chwila.

- Wspaniale! – wybuchnął znowu Suchowski, ale zniecierpliwione spojrzenie policjanta ponownie przywołało go do porządku.

- Jesteśmy do panów dyspozycji – zaproponowała Ola. – W moim gabinecie możemy spokojnie porozmawiać.

- Tu nie ma warunków do składania zeznań – Wichura był stanowczy.

- Czy jesteśmy o coś oskarżeni, czy ma pan nakaz aresztowania? – spytała rzeczowo Sambierska.

- Jeszcze nie. Ale radzę...

- Więc spokojnie porozmawiajmy, a gdy skończę dyżur, chętnie podpiszę swoje zeznania na posterunku.

Podkomisarz chyba stracił nadzieję, że przestraszy lekarkę. Westchnął ciężko i kiwnął na dwóch mundurowych.

- Proszę prowadzić – dość oschle oświadczył obojgu lekarzom.

- Stoimy przed moim gabinetem. Zapraszam do środka. Ja przyjdę za chwilę. Jeśli mamy porozmawiać, pielęgniarze muszą być na korytarzu.

- Oczywiście – burknął Wichura.

Ola spokojnie przeszła do pokoju pielęgniarskiego, wydała sprawnie kilka poleceń, a następnie wróciła do czekających już w środku gości. Dwóch mundurowych zostało przed drzwiami. Gdy weszła do środka, wszyscy stali.

- Niestety, gabinet jest mały- przyznała, zdobywając się na lekki uśmiech. - Zapraszam pana, komisarzu, na fotel, a panu, profesorze, skoro już wykazał się pan taką zaradnością w przeszkadzaniu nam w pracy, proponuję radzić sobie samemu.

Jurga zajął złośliwie jedyne krzesło, Ola usiadła za swoim biurkiem.

- Postoję - burknął Suchowski.

- Przejdę od razu do rzeczy - zaczął Wichura. - Obecny tu pan profesor oskarża państwa o kradzież bardzo ważnych badań dotyczących bardzo chorego pacjenta. To poważne przestępstwo. Zostaliśmy wezwani i jesteśmy zmuszeni wyjaśnić sprawę.

- Kradzież?! - Ola udała zdecydowanie oburzoną. - Czyżby pan profesor pracował w naszej placówce?

- Nie - odparł policjant. - Pan profesor złożył zeznanie, że w jego placówce przechodził badania pacjent, który obecnie znajduje się tutaj, a wyniki badań tam przeprowadzonych zostały wykradzione.

- Niech dobrze pana zrozumiem, komisarzu - Ola zmarszczyła brwi. - Oskarża pan dwoje doświadczonych lekarzy, że dokonali pospolitej kradzieży w innym szpitalu?!

- To jeszcze nie oskarżenie...

- Ma pan jakiegokolwiek dowody, świadków?!

- Sprawa jest w toku.

- Może inaczej - Sambierska oparła się wygodniej w swoim fotelu. - O którego pacjenta chodzi?

- Słucham?

- Pytam o nazwisko pacjenta - powtórzyła uprzejmie Ola. - To chyba dość łatwe pytanie?

- Panie profesorze? - Wichura po raz pierwszy poczuł się nieco zmieszany.

Ola szybko wyczuła, że spisując zeznania i skupiając się na kradzieży, nie wpadł na to, że należy zapytać o nazwisko chorego. Spisał dokładnie dane „podejrzanych”, a zupełnie zbagatelizował to, kogo dotyczą. Ważny był fakt samego przestępstwa. Była pewna, że Suchy zrobił wszystko, by te akurat szczegóły pominąć w skardze. Dopiero teraz wściekłość na twarzy profesora objawiła się w całej krasie.

- Pani doktor doskonale wie, że ten pacjent to tak zwany NN! Nie był w stanie określić swojej tożsamości. Był ciężko upośledzony!

- Co pani odpowie na ten zarzut? - spytał komisarz.

- Niestety, nie mogę pomóc. Nic nie wiem o żadnym pacjencie o nieokreślonych danych osobowych.

- Nie przyznaje się pani do winy?

- Oczywiście, że nie. Proszę wybaczyć, ale kompletnie nie rozumiem... że tak to określe, napaści na nas pana profesora. Nie umiem się nawet domyślić, o co mu chodzi.

- Doskonale wiecie, o co chodzi! - wybuchnął gwałtownie Suchowski. - Ten pacjent jest w tym szpitalu! I zaraz to udowodnię. Żądam wglądu w dokumenty tej placówki!

- Pan komisarz z pewnością wie, że to niemożliwe bez nakazu sądowego - wyjaśniła uprzejmie Sambierska.

Policjant poprawił się na fotelu, Jurga milczał jak grób i postanowił, że nie odezwie się słowem, dopóki to nie będzie absolutnie konieczne.

- Ale w drodze wyjątku - kontynuowała Ola - postaramy się pomóc. Nie chcemy przeszkadzać w śledztwie.

Komisarz nieco się ożywił. Jurga zdębiał.

- Być może przekonam ordynatora, żeby okazał panu, komisarzu, dziennik przyjęć. Prawo zabrania nam udostępniać danych osobowych bez nakazu sądowego, ale możemy sprawdzić, czy przyjęto tu w ostatnim czasie pacjenta NN. To chyba wyjaśni sprawę?

- Bardzo pomoże - zgodził się Wichura.

Drzwi się otworzyły i stanął w nich nieco zaniepokojony Kulawik.

- Panie ordynatorze - szybko zareagowała Ola - to jest pan komisarz Wichura.

- Dlaczego na korytarzu tego oddziału stoją umundurowani policjanci? - zaczął groźnie. - Czy zdaje pan sobie sprawę, że mamy tu pacjentów, u których taki widok może wywołać nagły, niekontrolowany lęk, a nawet panikę?! To szpital psychiatryczny. Wie pan, jak schizo- frenik może zareagować na policjantów w miejscu, gdzie staramy się za wszelką cenę wyeliminować lęki będące nieodłączną częścią jego choroby? Dla niego to nie będzie zwykły funkcjonariusz. Dla niego to sytuacja, która całkowicie zakłóci rokowanie! Taki pacjent ma na co dzień wrażenie, że jest wiecznie śledzony przez tajne służby, mafię, postacie rodem z horrorów. Może go wystraszyć nawet dowolny cywil nieznany mu z twarzy, bez fartucha lekarskiego, a co dopiero mundur!

- Panie ordynatorze, wyjaśniamy sprawę... - zaczął się tłumaczyć podkomisarz.

- Proszę natychmiast wydać polecenie, by obaj panowie poczekali na dole w przeznaczonym do tego miejscu, które

wskaże ochrona. W przeciwnym razie złożę doniesienie w prokuraturze.

Teraz sam Wichura był wściekły. Złapanie go na nieznajomości przepisów wywołało, jak u każdego gliny, zrozumiałe rozdrażnienie. Ola z satysfakcją obserwowała, jak Suchowski kurczy się jak purchawka. Grunt usuwał mu się spod stóp tak wyraźnie, że nawet Jurga poweselał.

Policjant wstał i szybko wysłał mundurowych na dół.

Gdy policjanci oddalali się korytarzem, Sambierska postanowiła kontynuować ścieranie w proch Suchowskiego.

- Panie ordynatorze, czy na tym oddziale ostatnio przyjmowano jakichkolwiek pacjentów NN? - spytała oficjalnie.

Podkomisarz skupił się teraz na Kulawiku.

- To bardzo rzadkie przypadki. Nie pamiętam, żebyśmy na tym oddziale mieli w ciągu ostatniego roku takiego pacjenta - odpowiedział wyczerpująco ordynator.

- Chodzi o ostatni tydzień - dopomógł Wichura.

- Z pewnością nie. To na tyle odosobnione sprawy, że z pewnością wiedziałbym, gdyby na którymkolwiek z tutejszych oddziałów miało miejsce takie przyjęcie. Ale oczywiście to dość łatwo potwierdzić u dyrektora szpitala.

- On też jest z nimi w zмовie! - jęknął w geście rozpaczony Suchowski.

- Wypraszam sobie!!! - wypełnił cały pokój swoim oburzoną barytonem Kulawik.

Ola tylko na to czekała. Nawet taki ważniak jak Suchowski nie powinien następować na odcisk jej szefowi. Każdy wiedział, że to bardzo źle się kończy.

- Nie jest pan pracownikiem tego szpitala! Proszę na-

tychmiast stąd wyjść!!!

- Zgnoję was wszystkich - syknął Suchowski. - Podam do komisji! Straciecie prawo wykonywania zawodu!

Kulawik wychylił się za drzwi i kiwnął na pielęgniarkę.

- Proszę poprosić tu ochronę! - wydał szybkie polecenie.

- Panie ordynatorze... - próbował jakoś załagodzić sprawę Wichura. - Próbujemy wyjaśnić sprawę.

Kulawik był nieprzejednany.

- Ten pan - wskazał na Suchego - wtargnął tu nieproszony, żeby obrażać lekarzy. Słabo znam tego intruza, ale o ile wiem, nie ma pojęcia o psychiatrii!

- Przepraszam... jeśli można - Ola stwierdziła, że czas zakończyć sprawę. - Pan profesor wspomniał, że zginęły wyniki jego badań na jego oddziale kardiologicznym, prawda?

- Tak - potwierdził podkomisarz.

- Może więc sprawdzimy w tamtym szpitalu, czy przyjmowano pacjentów NN? Nawet gdybyśmy byli mafią lekarską, o co, jak widzę, jesteście posądzeni, nie bylibyście w stanie wymazać śladów przyjęcia takiego pacjenta. - Ola doskonale wiedziała, że teraz trafiła w najczulszy punkt. Suchowski dokładnie przypilnował, żeby nikt nie dowiedział się o wizycie Yovity w jego szpitalu, a badania robił w tajemnicy, zaangażowawszy w to zaufanego laboranta. Gdyby teraz nawet próbował skłonić go do zeznań, ujawniłby swoje poważne naruszenie przepisów. Żadna nagroda nie byłaby warta kłopotów z Komisją Etyki, Izbą Lekarską, a już szczególnie z prawem, co pociągnęłoby za sobą naruszenie zaufania i prawdopodobną kompromitację.

Komisarz odwrócił się w stronę profesora.

- Co pan na to?

- Mam jeszcze jedną propozycję - Ola postanowiła zadać ostateczny cios. - Jeśli włożą panowie fartuchy, możemy przy zachowaniu szczególnej ostrożności zrobić obchód i jeśli pan profesor rozpozna zgubę, oddamy się do pańskiej dyspozycji, komisarzu.

- To nie będzie konieczne - Wichura już od pewnego czasu miał tego dość. - Przykro mi, ale nie możemy panu pomóc, profesorze. Nie potwierdza się żadne z pańskich oskarżeń, nie przedstawił pan najmniejszego dowodu winy państwa tu obecnych. Ich niewinność potwierdzają dokumenty szpitalne i świadkowie. Proponuję, żeby natychmiast wycofał pan oskarżenie i przeprosił swoich kolegów.

- A może oskarży nas pan, że wypuściliśmy pacjenta NN, cierpiącego, jak pan twierdzi, na ciężkie dysfunkcje ośrodkowego układu nerwowego, na ulicę, skoro go tu nie ma? - spytała bezlitośnie Ola.

- Ty podstępna... - nawet ktoś tak zadufany w sobie jak Suchowski musiał wiedzieć, że każde następne słowo może bardzo drogo kosztować. Więc na swoje szczęście łaskawie się zamknął i nie dokończył.

- Panie profesorze - włączył się chyba już z litości podkomisarz. - Radzę się zastanowić nad tym, co pan teraz powie. Jeśli pani doktor lub ktokolwiek z tu obecnych zdecyduje się wnieść skargę na pana za bezpodstawne zniesławienie i narażenie na szwank dobrego imienia lekarza, jako policjant pouczam pana - w tej sytuacji taki wniosek będzie miał bardzo duże szanse powodzenia. Pytam więc, czy wycofuje pan oskarżenie wobec obecnych tu państwa?

Suchy krótko skinął głową. Gdyby mógł, udusiłby Sambierską wraz z całą obstawą, ale teraz usiłował ratować

resztki honoru.

- Przepraszam za najście - podkomisarz ukłonił się w starym stylu. - Oczywiście nie będą potrzebne państwa dalsze zeznania. Policjant otworzył drzwi i wyszedł, mając nadzieję, że Suchowski nie będzie w stanie go dogonić. Był nie mniej wściekły niż on. Minął dwóch ochroniarzy czekających na decyzję ordynatora.

- Masz tu szlaban, skurwielu! - syknął Kulawik do Suchego.

- Jeszcze się spotkamy - warknął profesor.

- Oto kwiat polskiej medycyny - stwierdził kwaśno Jurga, który nagle odzyskał głos. - Na co liczyłeś, Maniu? Ze trafisz na policjanta kretyna, a my padniemy przed tobą na kolana?

- Wszyscy wiemy, kto mówi prawdę. - Dziwne, że Suchowski wciąż jeszcze tu był.

- Wystarczyło poprosić, dupku! - pokręciła z zażenowaniem głową Ola. - Ale kto donosi na kolegów, jest tylko gnidą. Teraz gównu się dowiesz.

- Jesteście parszywymi kłamcami i złodziejami cudzej pracy - mówił już spokojniej, ale z wyraźną pogardą profesor.

- Wypieprzaj z mojego oddziału! - wskazał na ochronę Kulawik.

Suchowski jeszcze raz poczęstował wszystkich swoim pełnym wzgardy spojrzeniem i ruszył dumnym krokiem w stronę schodów.

- Czego się wyrywasz, Ruda - burknął cicho ordynator. - Taka gnida to jak Ziobro, może mieć jakiś magnetofon pod tym frajerskim płaszczem.

- Jak? Z gliniarzem? - wzruszyła ramionami Ola. - Jest tak zakochany w sobie, że przychodząc tu, porwał się z motyką na słońce, święcie wierzył, że narobimy przed nim w gacie.

- Przyznam, że mnie przeszedł przez głowę ten pomysł - wyznał szczerze Jurga.

- Za długo się z nim zadajesz - poklepała go po plecach Ola.

- Nie lekceważ go - rzucił poważnie Kulawik do Sambierskiej. - Teraz się zagalopował, ale nie jest aż takim idiotą, na jakiego wygląda. To tylko bufon, a tacy myślą, że mogą wszystko.

- Nie powiedziałam nic, co by mu cokolwiek dało. Gdyby poprosił ładnie, powiedziałabym ewentualnie, co odkryliśmy. Tyle tylko, że... nic nie odkryliśmy - tu spojrzała znacząco na kolegów.

- Ani słowa o tym nikomu - mruknął Kulawik. - Koniec sprawy. A z tobą poważnie sobie porozmawiamy - wskazał na Olę.

- Pójdiesz do piekła - stwierdził refleksyjnie Jurga.

Teraz Sambierska była już pewna, że także i Jurga nie stanowi żadnego zagrożenia dla bezpieczeństwa chłopca i reszty.

- To lepiej, tam więcej ciekawych przypadków - odparła z uśmiechem.

Obawy Yasuko dotyczące Yovity i tego, co może odkryć w ich wspomnieniach z garażu Lola, na razie zeszyły na dalszy plan. Pojawił się nowy problem. Znacznie dla nich groźniejszy. Bzdet i Haiku zastali Kapłana i chłopca z dość wyraźnie wymalowanym na ich twarzach poważnym kłopotem.

- Co się stało? - spytała, rzucając swój plecak na podłogę Kimura.

- Jak wam poszło? - odpowiedział pytaniem Lorent.

- Złe. Tak jak wczoraj mówiłam. Ten koleś Bzdeta nawalił. Co się stało?

- Nie wiem, gdzie jest Tyhron - odpowiedział poważnie Yovita.

- Jak to nie wiesz?! - zaniepokoiła się nie na żarty i odruchowo zerknęła na bagaże stojące pod ścianą, gdzie był ukryty jej miecz. To znaczy, że on może tu wparować lada chwila, a my o tym nie będziemy wiedzieli?!

- Nie - wyjaśnił Yovita. - On znikł. Ale jeśli by był w pobliżu, obudziłby mnie, nawet gdybym mocno spał.

- Znikł?! - nogi pod i tak już roztrzęsionym dziś Bzdetem się ugięły, że mało nie usiadł na podłodze.

- Albo nie żyje, albo jest bardzo daleko stąd. Tak daleko, że nie mogę go znaleźć.

- Jak on świetnie mówi... - wyrwało się punkowi.

- Zdolniacha - rzuciła na odczepnego Japonka, ale cały czas przyglądała się chłopcu. - Jak to możliwe? Kto byłby w stanie go zabić?

- Jest człowiekiem, jak my wszyscy - odparł Yovita. - Tak samo delikatnym. Można go zabić z byle pistoletu.

- Trudno w to uwierzyć - wtrącił Kapłan. - Jego przewaga polega na tym, że potrafi przewidzieć niebezpieczeństwo na bardzo długo przed realnym zagrożeniem. Mam rację, Yovita?

- Tak. Tu, w tym świecie... właściwie nikt nie byłby w stanie zbliżyć się do niego z bronią. Wyczułby to na kilometr - próbował uspokajać wszystkich chłopiec. - A właśnie... ile to jest kilometr?

- Jak zapożyczasz z czyjegoś umysłu semantykę, to wiedz, co mówisz - uśmiechnął się Lorent, ale jego niepokój nie mijał.

- Musimy założyć, że żyje - mocno skupiona Yasuko już obmyślała ewentualny plan awaryjny.

- Żyje - potwierdził smutno chłopiec. - Jest trzykrotnie ode mnie starszy, dużo bardziej doświadczony, nikt oprócz nas o nim nie wie.

- Aurelici? - spytała wprost Kapłana.

- Nie sądzę - zaprzeczył Lorent. - Jak znam Baleę, prędzej by mu teraz pomógł, niż organizował ryzykowny zamach.

- Nie kumam - przyznał Bzdet.

- On teraz przede wszystkim chce się dowiedzieć, kim jest Tyhron i o co tu chodzi - wyjaśnił Krzysztof. - Dla takich jak Balea to priorytet. Może zgładzić nieważnych strażników i przez to osłabić Tyhrona, ale z pewnością dopóki nie dowie się wszystkiego, nie pozwoli go zabić swoim ludziom. Pomijając to, czy w ogóle daliby radę się do niego zbliżyć.

- Jesteś pewien, że on nie zdoła się przed tobą ukryć? - spytała chłopca dla pewności Haiku.

- To tak, jakbyś patrzyła na Krzysztofa teraz, a on potrafiłby zniknąć, tak byś go nie widziała. Bardziej ufam swojemu umysłowi niż wy oczom.

- On wie o wyspie... - wyrwał się z chwilowego zamyślenia Kapłan.

Yasuko porozumiała się z nim błyskawicznie wzrokiem.

- Po śmierci strażników - kontynuował Lorent - zorientował się, że jesteśmy dla niego za silni. Tu w tym miejscu. Kiedy ocenił, że nie dosięgnie Yovity, postanowił szybciej od nas dotrzeć na wyspę. Już nie chce ryzykować, że dzieciak trafi tam pierwszy. Taka jest moja teoria.

- To jedyne logiczne wyjaśnienie — przyznała Haiku.

- Jakich strażników? - zainteresował się Bzdet.

- Nieważne - mruknęła w jego stronę, żeby nie przeszkadzał, po czym zwróciła się do reszty. - Będzie czekał na nas gdzieś po drodze. I ma jakiś plan, a Yovita go teraz nie widzi. Może przygotować nowych ludzi, nowe niespodzianki. Wciąż ma Gantiego.

- Ale nawet jeżeli o tym wszystkim wie - włączył się Bzdet - jak się tam dostanie?

- Normalnie - wzruszyła ramionami Haiku. - Nikt go tu nie zna. Nie jest poszukiwany tak jak my. Ganti z łatwością załatwi dla niego papiery, jeśli nie zrobił tego już dawno temu. Wkroczą głównym wejściem dowolnego lotniska, wsiądą do samolotu i nikogo to nie będzie obchodziło. A jak już ustaliliśmy, Balea nie zamierza mu przeszkadzać.

- Już jest w Azji - odpowiedział spokojnie Kapłan. - Spóźniliśmy się. Może rozważysz pozostanie tutaj z nami. Możemy cię ukryć - zaproponował chłopcu.

- Ja muszę tam jechać - odparł szybko Yovita. - Coś mi mówi, że natychmiast muszę tam jechać. Takie jest moje zadanie.

- Jesteś dzieckiem - przypomniał Krzysztof.

- I być może dlatego to wszystko jest zaplanowane we mnie, żebym postępował słusznie, skoro nie jestem jeszcze tak doświadczony jak Tyhron. Może dlatego na początku nie zdawałem sobie sprawy z tego, że powinienem jak najszybciej dostać się na wyspę. Nawet nie wiedziałem, że istnieje. On wiedział wszystko od początku, a ja nawet nie pamiętam, jak się znalazłem w waszym świecie. Po prostu któregoś dnia obudziłem się w wielkim, ciemnym lesie. I pierwsze, co usłyszałem w głowie, to ta dziwna piosenka...

- Boli cię gardło? – spytał kontrolnie Krzysztof.

- Mniej.

- Jak to możliwe, że nawijasz jak jacyś jajogłowi? – nie mógł się nadziwić Bzdet. – Tak szybko...

- Od ciebie uczyłby się miesiącami – pichnęła Yasuko. – A ja i Krzysztof posłużyliśmy mu za kamień z Rosetty¹⁴. Zналиśmy wspólnie język naszych umysłów, potem trzeba było tylko dopasować do tego odpowiednie głoski. A sposób mówienia wyjął sobie zdolniacha z naszych mózgów. Jak to ujął: „otworzył jedną z szufladek” – dokończyła, robiąc kwaśną minę.

- Ja chrzanię...

- A wiesz, jak to jest, kiedy w kilka dni przypominasz sobie kilkadziesiąt języków swoich przodków? – puściła do niego oko dziewczyna. – Spytaj Krzysztofa. Przeżycie nie do zapomnienia u najlepszych nawet psychiatrów!

- Czad! – przyznał z szacunkiem punk.

- Struny głosowe ma takie jak my – dopowiedział Krzysztof.

- A może nawet ma ich więcej – wyraźnie zakpiła Haiku, ale nie wywołała jakoś wesołości u chłopca.

- Muszę tam jechać – powtórzył Yovita z niespotykaną do tej pory powagą.

- Dlaczego? – Kapłan zbliżył się do dzieciaka i zajrzał mu w oczy, ale Yovita najwyraźniej nie chciał teraz z nikim rozmawiać w swoim języku.

- Nie wiem – odparł smutno. – Ale wiem, że muszę. Nawet jeśli mi nie pomożecie.

- Nie świruj – pokręcił głową Bzdet. – Jak? Przepłyniesz ocean?

- Doskonale wiesz, że ci pomożemy – powiedział Kapłan

swoim jak zwykle spokojnym, ciepłym głosem. – I ci, którzy umieścili ci w głowie tę serię łamigłówek, też wiedzieli.

– Dlaczego tu jestem... ? – chłopak powiedział to niesłyszalnie cicho. – Dlaczego nie pamiętam?

– Wszystko idzie jak trzeba. Będzie dobrze – poklepał go po ramieniu Krzysztof. – Nie ma dnia, żebym nie zastanawiał się, dlaczego Bóg uczynił mnie tym, kim teraz jestem. Może także dlatego, żebym w swoim czasie pojechał z tobą.

– Ja bym nie mieszała do tego Boga, ale chętnie skopię tyłek temu całemu Tyhronowi – Yasuko starała się jakoś wprowadzić lepszą atmosferę. Na szczęście oprócz Bzdeta chyba nikt nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo było jej to teraz potrzebne.

W tym właśnie momencie zadzwonił telefon Krzysztofa. Numer prócz Bzdetów, Oli i Yasuko znał tylko Luigi Balea. Być może więc właśnie nadchodziła ostateczna odpowiedź na pytanie, co stało się z Tyhronem.

– Ten człowiek opuścił twój kraj – oznajmił bez wstępów Balea.

Kapłan odebrał przed domem, upewniwszy się przedtem, czy przypadkiem nie zabłądził tu żaden sąsiad.

– Gdzie teraz jest?

– W samolocie do Bangkoku.

– Jakoś specjalnie to on się nie ukrywa.

– Jest pewny siebie. Nie przeszkadzaliśmy mu. On i Ganti mogą się tylko domyślać, że są obserwowani. A właściwie... byli. Dalej będzie mi bardzo trudno ich kontrolować. Zostajecie sami.

– Nie szkodzi. I tak tam, dokąd jedziemy, nic by to nie

pomogło.

- Twoi przyjaciele są bezpieczni. Mogą spokojnie wrócić do domu.

- Dziękuję. Zgodnie z umową skontaktuję się z tobą, kiedy tylko wrócę. Jeśli wrócę...

- Zawsze wracasz - uśmiechnął się do słuchawki Balea. - Poza tym ludzie, którzy będą na was czekali, są na twoje rozkazy. Dopóki nie pozwolisz im odejść - zaznaczył na koniec Luigi.

- Na wyspie będziemy musieli zostać sami.

- Rozumiem - potwierdził Balea. - Nasz gość podróżuje jako Peter Summers. Ganti też zmienił dokumenty. Teraz nazywa się Lars Jansen.

- I jedno, i drugie nierzucające się w oczy - mruknął bardziej do siebie Lorent.

- Ten olbrzym wygląda jak Wezuwiusz, ale poza tym rzeczywiście nie powinni się rzucać w oczy.

- Bywaj, Luigi. Mam nadzieję... do zobaczenia - zakończył uprzejmie Kapłan i się rozłączył. Gdy schodził na dół, mimo wszystko był nieco spokojniejszy.

- Mam potwierdzenie - ogłosił wszystkim. - Lecą do Bangkoku. Niespecjalnie się kryją. Po prostu podróżują samolotem rejsowym. Będą mieli niestety dużo czasu, by przygotować powitanie.

- Przynajmniej to dobre, że tu jest bezpiecznie - zauważyła Haiku.

- Z tego najbardziej się cieszę - przyznał Lorent. - Bzdeciu, dopilnujesz, żeby samochody z wypożyczalni ktoś dyskretnie zwrócił? Nie wszystkie naraz i najchętniej nie w godzinach szczytu.

- Będziecie już dawno w Azji - wzruszył ramionami punk. - Chyba przesadzasz z tą ostrożnością.

- Zróbmy wszystko jak trzeba - upierał się Lorent. - No, dobra... pakujemy się.

- Żegnaj, „Durandzie Durandzie”! - rzekł ze szczególną melancholią w głosie Dybcio, głaszcząc czule swój ukochany wspomagacz fal mózgowych. - Żegnajcie, „anielskie stopy” - rzucił w stronę pracowni z butami. - I ty, moja wspaniała „Żelazna Mary wnikająca w umysł”...

- Możemy się pośpieszyć? - nalegała Cipucha. - Jest jeszcze trochę do roboty, a mamy być w hotelu o jedenastej.

- Szkoda, że nie dokończyłem pracy nad „święto- chodami” - przyznał z żalem Dybcio, nie zważając na prośby dziewczyny.

- Nie za dobrze pływam, a to przecież wyspa...

- Mówisz o butach, w których mógłbyś chodzić po wodzie?!

- To fizycznie możliwe.

- Jesteś jednak pokopany na maksa - pokręciła głową z niedowierzaniem. - Nie pakuj zbyt wielu rzeczy. Tak byś mógł to wziąć bez problemu na jeden raz.

- Kurczę... - zamyślił się Czesio. - Skąd oni mają tyle kasy?

- Haiku jest bardzo nadziana. Ma na różnych kontach procentującą kasę z dawnej pracy. Krzysiek też trochę zaoszczędził przez te lata. Podobno pracuje tam jak wszyscy, a zarobionej forsy nie wydaje. U Kaneczua pieniądze są mu zbędne. Ale przy niej jest biedakiem...

- Hmm - zamyślił się jeszcze na chwilę Dybcio. - Mapy, zdjęcia, informacje... notatki... Nie żałujesz, że nie jedziesz z nami?

- Nie - odparła dziewczyna dość bezpośrednio.
- Nic a nic? - upewnił się Czesio.
- Nie znam się na tym. Ty jesteś mądry, oni wymiatają, co miałabym tam robić?
- Zaspokajać ciekawość.
- Nie jestem aż tak ciekawska - spojrzała na niego ze zrozumieniem. - Cykasz się?
- Tylko świr by się nie bał.
- Jesteś świrem.
- Widać niewystarczająco rąbniętym. No, dobra... jestem gotowy.

ROZDZIAŁ 9

Gdy wystartowali z Moskwy, było już zdecydowanie jasno. Lecieli na wschód, mijając strefy czasowe, skracające dzień w sumie do siedmiu godzin.

Wyrabianie dokumentów poszło niezwykle sprawnie. Facet rzeczywiście nie mówił słowa po polsku, mało tego – z niezbyt zresztą rozbudowanej konwersacji wynikało, że potrafił porozumieć się jedynie w języku włoskim. Szczerze powiedziawszy, Krzysztof nieco się dziwił, jak człowiek nieznający angielskiego, niemieckiego, nie mówiąc już o polskim, dał sobie radę w jego kraju. Ponieważ miał jednak poważniejsze dylematy do rozstrzygnięcia w najbliższym czasie, przestał zaprzętać sobie głowę martwieniem się o faceta pracującego dla Balei.

Yovita skorzystał oczywiście z okazji, żeby poszukać w jego mózgu „szufladki” ze słownictwem i nieco podszkolić kolejny język, ale musiał to robić bardzo dyskretnie, więc raczej niewiele skorzystał. Yasuko, która natychmiast to wyczuła, była nieco zgorszona.

– *Odwal się od niego!* – przesłała mu gniewny sygnał. — *To nieładnie wchodzić do czyjegoś mózgu bez jego wiedzy!*

– *Jeśli ktoś nie jest taki jak wy albo ja, to i tak niewiele daje* – chłopiec zrobił niewinną minę. – *Najlepsi są tacy jak Ganti. Tyhron na tyle go uporządkował, że można po nim hasać jak po ogrodzie pełnym truskawek!*

– *Skup się!* – dalej strofowała go Japonka.

- *Na czym?! Na pozowaniu do zdjęć? W naszym świecie też umiemy robić zdjęcia, to dla mnie żadna atrakcja!*

Haiku wciąż nie mogła się nadziwić, jak w jednym ciele mogą się jednocześnie ścierać tak odmienne osobowości. Yovita właściwie był dzieckiem. Kiedy tylko nie musiał uciekać, walczyć, ukrywać się, natychmiast to z niego wychodziło. Psocił jak nastolatek i miał z tego najlepszą frajdę. Bez najmniejszej żenady wykorzystywał swoją przewagę nad ludźmi i nie zamierzał za to przeproszać. W sytuacji zagrożenia stawał się jednak potwornie skuteczny i niebezpieczny dla przeciwnika, rozumując niemal jak dorosły wojownik. „Natura musi cię zbyt mocno kochać” – pomyślała, ale bez zazdrości, sama bowiem miała z „naturą” swoje porachunki. Z niektórymi tego konsekwencjami nie potrafiła pogodzić się do dzisiaj.

- *Tabi-ni yande, yume-wa, kareno-o kakemeguru¹⁵* – mruknęła do siebie i niezauważalnie dla innych tylko pogroziła mu palcem.

Chłopak zareagował zawadiackim uśmiechem.

Z Bzdetem i Cipuchą pożegnali się jeszcze przed hotelem. Obiecali kontaktować się z nimi możliwie najczęściej. Krzysztof zadzwonił ostatni raz do Oli i zapewnił ją, że wrócą najszybciej, jak się da.

Lot z Warszawy do Moskwy był nudny. Wymarłe nocą lotnisko Chopina miało w sobie coś niezwykłego, a nawet urokliwego, ale takie czartery zdarzały się co jakiś czas. Niejednokrotnie na przykład polscy olimpijczycy, którzy udawali się na kolejne igrzyska, odlatywali mniej więcej o tej porze, unikając tłoku na płycie czy uciążliwego zainteresowania gapiów. Tym razem grupę sportowców stanowiła reprezentacja jednego z klubów, lecąca na wymianę

młodzieżową do stolicy Rosji. Piłkarze, koszykarze i siatkarze. Z wyjątkiem trenerów i działaczy były to właściwie jeszcze dzieci, więc jak tylko dano im wsiąść do samolotu, natychmiast niemal wszystkie zasnęły. Tym razem Yovita wykazał rozsądek. Zameldował Krzysztofowi, że spróbuje spać jak najdłużej, bo po drodze raczej ciężko będzie o wannę z zimną wodą.

Haiku nie lubiła zbyt niebezpiecznej, jej zdaniem, ciszy wśród tylu ludzi. Zdecydowanie wolała bezimienny tłum, gdzie każdy zajmuje się swoimi sprawami lub rozmowami typowymi dla białych – czyli o niczym. Z tego też powodu, podobnie jak Kapłan, właściwie całą drogę do stolicy Rosji milczała. Ku jej zadowoleniu Dybcio również specjalnie nie był marudny. Poprzeglądał swoje notatki, pogadał trochę do siebie, aż wreszcie zasnął, nie zdjęwszy nawet okularów.

Dopiero lot z Moskwy do Bangkoku wniósł więcej swobody. Faceci z komputerami, w drogich garniturach wypełnili samolot odpowiednim hałasem, co dało większe możliwości do ewentualnych rozmów. Mimo że Yovita sporo nauczył zarówno Kapłana, jak i Haiku, nie potrafili jeszcze między sobą „rozmawiać”, tak jak on to robił, bez większego wysiłku. Czuli, że jest w nich ukryta wiedza, głęboko schowana przed wiekami w umysłach ich przodków, którą teraz mógł powoli odkrywać niepozorny dzieciak z innego świata. Sam Yovita po przesiadce postanowił spać dalej. Niestety ożywił się Czesio.

– Chcecie posłuchać trochę o Bangkoku? – spytał entuzjastycznie.

– Nie – przyznała szczerze Haiku.

– Pod wieloma względami to niezwykle miasto – ciągnął niezrażony Dybcio, dostrzegłszy zainteresowanie w oczach Krzysztofa. – Ma najdłuższą nazwę świata. Są z tej okazji w

Księżde rekordów Guinnessa. To tylko my mówimy Bangkok na to, co pochodzi od dawnej nazwy „Wioska Drzewek Oliwnych”. Bo w XVIII wieku wyglądała jak zwykła wiocha. Przed drugą wojną światową była wielkości Szczecina. Dzisiaj metropolia ma dziesięć milionów mieszkańców, nieźle co? A teraz najlepsze, pełna nazwa to... – sięgnął po notatki – „Krung Thep Mahanakhon Amon Rattanakosin Mahinthara Ayuthaya Mahadilok Phop Noppharat Ratchathani Burirom Udomratchaniwet Mahasathan Amon Piman Awatan Sathit Sakkathattiya Witsanukam Prasit”. Zajebiste...

Haiku westchnęła ciężko.

– To w wolnym tłumaczeniu oznacza – kontynuował Dybcio – „Generalnie to miasto aniołów, wyczesane na maksa, odjechany klejnot, niezdobywalna wiocha boga Indry, konkretnie stolica świata oparta na dziewięciu czaderskich skarbach, miasto szczęśliwe, w którym król ma naprawdę bajerancką chatę, a jak dobrze przyłukacie, to zajarzycie, że to niebiańska meta, gdzie rządzi zreinkar- nowany bóg, całość wykopsał Indra, czyli wiecie, ten bóg, a zbudował inny koleś z ich wierzeń, czyli Wisznu”.

– Czesiu... – nie wytrzymała Yasuko – jestem Azjatką. Powiedz mi coś, czego nie wiem.

– Daj mu spokój – poprosił rozbawiony Lorent. – Przecież od tego on tu jest. Ale widzisz, Czesiu... my znamy ich język, i to w kilku wersjach.

– No tak... ciągle nie mogę się przyzwycząić – nieco zmieszał się Dybcio. – Naprawdę ciężko was zaskoczyć...

– To prawda. Ale obawiam się, że z historii raczej nas nie zagniesz. Bardziej zależałoby nam na wiedzy współczesnej. Tu możemy być trochę do tyłu, a on – Krzysztof wskazał na Yovitę –

czuje się w naszym świecie jak na Księżycu. Więc mów jak najnowsze rzeczy, które mogą nam się przydać.

- Po co o Krung Thep¹⁶? Przylecimy tam w nocy, a potem natychmiast jedziemy do Ranong – wtrąciła Haiku.

- Dokładnie o pierwszej trzydzieści pięć – natychmiast przyszedł z pomocą Dybcio. – Będziemy siedem godzin na plus.

- Nie wiemy, co tam zastaniemy prócz *quadrenty* aurelitów – odparł spokojnie Kapłan. – Taki jest plan, ale jak tylko wysiądziemy, włączamy szósty zmysł, a on siódmy i ósmy – wskazał znowu na chłopca. – Przyda się każda wiedza.

Haiku wzruszyła ramionami.

- Jak chcecie. Może ja się teraz prześpię?

- Mam mapy wojskowe terenu – uniósł tajemniczo brwi Czesio – oraz mapy dna morskiego dla łodzi podwodnych...

- Jezu, skąd?! – ożywiła się natychmiast Yasuko.

Dybcio, zadowolony, że wreszcie zdołał ją zainteresować, z zacięciem kontynuował.

- Ma się kumpli. Nawet nie wiesz, co pasjonaci potrafią uzbierać. Mam większość map Atlantyku, ale te musiałem pożyczyć. Wiecie... Morze Andamańskie i Zatoka Bengalska... to było wyzwanie. Należę do klubu – otworzył szeroko oczy, by wprowadzić odpowiednią atmosferę. – Bardzo tajemniczego klubu...

- Po co ci mapy dna morskiego? – spytała wolno Haiku.

- No, nie wiem... – Dybcio znowu się zmieszał. – Zajarzało mnie kiedyś *Polowanie na „Czerwony Październik”*. Mieli tam wyczesane mapy. Lepiej mieć, niż nie mieć.

- Co miałeś na myśli, mówiąc, że masz wojskowe mapy... „terenu”? – zainteresował się Krzysztof.

- Takie mapy terenów Polski można kupić w Alejach Jerozolimskich w księgarni wojskowej. Są na niej nawet większe drzewa. Ale tu... też musiałem skorzystać z klubu - uśmiechnął się chytrze bardzo dumny z siebie Dybcio. - Jak chcieliście bez tego trafić do Sentinelczyków? Archipelag liczy ponad pięćset wysp.

- Ale nie masz mapy tej wyspy? - upewniła się Haiku.

- Jak zwykle nie słuchałaś, kiedy mówiłem. Więc powtarzam: u Sentinelczyków nie było nikogo z cywilizowanego świata od ponad sześćdziesięciu tysięcy lat! Czyli nigdy. Tam żyją pierwotni ludzie. Jak na *Walce o ogień!* To jedyne takie miejsce na świecie. Na zdjęciach satelitarnych niewiele widać przez gęste zalesienie. Ale wiadomo, że żyją tam ludzie w szalasach, chodzą nago i zachowują się jak goście z neolitu. Istnieje tylko kilkusekundowy film, na którym widać wyspę z daleka. Chodzi na YouTube. Sentinelczycy się nie obrażą. Zgaduję, że nie mają Internetu. Chcecie zobaczyć w moim minikompie?

- Później. Jakie masz te mapy? - spytał Krzysztof.

- Bardzo dokładne, terenu od Bangkoku do wybrzeża, tego gdzie leży Ranong.

- Świetnie.

Nawet Kimura pokiwała z uznaniem głową.

- Na wyspę trafimy dzięki niemu - Lorent pokazał na chłopca. - Ale dokładne plany to świetny pomysł.

- Jest jednak kłopot - zaznaczył Czesio.

- Jeszcze jeden? - westchnęła Haiku.

- To jedno z najgorętszych miejsc na ziemi. Afryka wysiada. Bangkok jest uznany przez meteorologów za najgorętsze miasto na globie. Więc będzie problem z chłopakiem. Jeśli u nas musiał

się schładzać, to co dopiero tam?

- To nie jest taka zła wiadomość - mruknął po chwili zastanowienia Lorent.

- Tyhron? - wtrąciła Yasuko.

- Właśnie. On będzie miał ten sam kłopot.

- Ale my jedziemy tam na wariata, bez najmniejszego przygotowania - przypomniał Dybcio. - Skoro Tyhron wie o wyspie, pewnie jakoś się przygotował.

- Wannę ze sobą raczej nie wozi - zastanawiał się dalej Lorent. - A naszym przygotowaniem jesteś ty. No i Yovita.

- Miałem zaledwie jeden dzień, ale pomyślałem naprawdę, o czym tylko się da. Chociaż nadal nie wiem, po co drałujemy na tę wyspę. I pewnie się nie dowiem, jeśli przywita nas grad strzał.

- Chłopak się nie myli. Tam musi być coś, co jest cholernie ważne. I tylko my o tym wiemy. A jeśli to taka wyspa, jak opowiadasz, to coś łatwo tam ukryć.

- Niech dobrze zrozumiem - podjął znowu Czesio. - Nadal idziemy na żywiół?

- „Żywiół” to nasze drugie ja - wyszczerzyła do niego zęby Haiku w czymś na kształt uśmiechu.

- Skoro tak, to musimy pogadać o jeszcze jednym problemie. Kapłan rozłożył ręce w pytającym geście.

- Nawet jeśli tam trafimy, a po drodze nie zabije nas Tyhron - kontynuował Dybcio - jeśli dostaniemy się na wyspę i jakimś cudem nie zaliczymy strzały w oko, to jak przekonamy Sentinelczyków, o co nam chodzi? Podejrzewam, że nawet wy nie znacie ich języka.

- Nie wiadomo - westchnęła Haiku, dyskretnie roz-

prostowując nogi.

– Zróbmy próbę – upierał się Czesio. Wyjął szybko swój iPod i włączył. Głos starszej kobiety z głośnika wypowiadał dziwne głoski. Śpiewnie i bez żadnych przerw. Jakby nuciła niezwykłą plemienną pieśń.

Haiku pokręciła przecząco głową.

– Ja też nie rozumiem, co śpiewa – przyznał Lorent.

– Ona nie śpiewa – Dybcio wyłączył iPod. – To język kultury Bo, spokrewnionej niegdyś z Sentinelczykami. Jeden z najstarszych na świecie. Powstał ponad pięćdziesiąt tysięcy lat przed łaciną. Jeśli mieszkańcy wyspy posługują się jakimkolwiek dialektem, to niemal pewne jest, że co do zasad, to język podobny do tego. A te zasady są dla nas kompletnie od czapy. My rozumujemy wyrazami, zdaniami. Zapisujemy to literami. Tutaj polega to zupełnie na czym innym. Ta kobieta z nagrania to Boa Sr, ostatnia z ludu Bo. Po sześćdziesięciu pięciu tysiącach lat wraz z jej stosunkowo niedawną śmiercią Bo zniknęły z powierzchni ziemi. Jako Europejczycy pod tym względem nie jesteśmy dla nich nawet przedszkolakami.

Dybcio przeniósł wzrok na Yasuko.

– Wy, Japończycy, też – dopowiedział na wszelki wypadek. – Podczas gdy starożytna Grecja dopiero raczkowała, oni rozwijali już swoją kulturę od kilkadziesiąt tysięcy lat. Tyle tylko, że co innego ich bawiło niż nas. Takie pierdoły jak wolność, świeże powietrze i życie w naturze. Kompletni debile, nie?

– Skąd to masz? – spytał Lorent.

– Z Internetu. Wystarczy wpisać w wyszukiwarce „Boa Sr”.

– A skąd to nagranie tam się wzięło?

– Bo, których skolonizowali Anglicy, potem Japończycy –

spojrzał znacząco na Yasuko – mieli mniej szczęścia. Wyspa Sentinelczyków jest na końcu świata i przez wieki była zapomniana przez Boga i ludzi. A na terenach Bo były surowce, żyzne ziemie. Cywilizacja dziesiątkowała ten lud nieznanymi mu chorobami, czasem wojną. Już ich nie ma... – zakończył poważnie.

– Dziwne, że nie znam tego języka – zastanowiła się Kimura.

– Skoro moi rodacy byli tak mili i zajęli ziemię spokojnego ludu.

– To czasy ostatniej wojny. Z tego, co wiem o was od Bzdeta, mogłaś nie zdążyć. Zresztą obawiam się, przy całym szacunku, że twoi rodacy nie wnikali w ich kulturę i raczej nie uczyli się ich zwyczajów i dialektów. Po prostu do nich strzelali.

– Nie z całej historii swojego kraju jestem dumna, ale to racja. Druga wojna to trochę za blisko.

– Na świecie istnieje siedem tysięcy języków, a tylko niespełna dwieście krajów. Nawet wy nie dacie rady wyciągnąć ze swoich genów tyle narzeczy i dialektów. W ciągu najbliższych lat, jeśli nadal cywilizacja będzie taka wspaniała i mądra w swojej agresji, niemal połowa z tych języków zniknie na zawsze z powierzchni ziemi. Jak kilkadziesiąt lat temu Jangil czy teraz Bo.

– Równy z ciebie gość – mruknął poważnie w jego stronę Kapłan.

Dybcio nie wiedział, jak zareagować. Westchnął więc cicho, oparł się wygodniej i zamknął oczy. Zanim dotrą do dusznego Bangkoku, warto się jeszcze trochę przespać.

– Tak swoją drogą... – zaciekawił się Lorent. – Te mapy załatwiłeś w jeden dzień?

– W dwie godziny. Nasz klub jest naprawdę profeska. Ale kilka innych drobiazgów zajęło nieco więcej czasu.

Przy wyjściu rękawem z samolotu na ogromne lotnisko Suvarnabhumi w Bangkoku w pewnym momencie zderzyli się ze ścianą gorącego, dusznego powietrza. Mimo pory nocnej wrażenie „kurtyny” było zdumiewająco realne. Chwilę musieli odczekać, by Yovita mógł się nieco przyzwycząić.

– I jak? Jest? – spytała Haiku.

– Nie ma go tu. Jest daleko – odparł chłopiec.

– A klimat?

– Jestem wypoczęty, nie będzie ze mną kłopotów przez kilka godzin.

– Trochę jak wejście do sauny – orzekł Dybcio i rozejrzał się po lotnisku.

Yasuko i Kapłan natychmiast dostrzegli czterech mężczyzn siedzących przy jednym z barków. Byli ubrani w jednakowe ciemnozielone garnitury.

– Tajowie – mruknął Lorent.

– Ale tak samo kretyńsko ubrani jak europejscy aurelici – pokręciła głową ze zrezygnowaniem Haiku. – Ręce opadają. Brakuje tylko tabliczek na czołach.

Lorent cicho westchnął i dał krótkim gestem znak, żeby podeszli.

– Jesteśmy na twoje rozkazy, Kapłanie – rzekł po angielsku wyraźnie przejęty dowódca, gdy tylko się zbliżyli. Wszyscy czterej wykonali staranne *wai*¹⁷.

– O mój Boże... – jęknęła Yasuko, chowając twarz w dłoniach, aby czegoś nie palnąć.

– Rzeczywiście... – pokiwał głową z uznaniem Czesio – masz szacun. Warto było przegrać z Bzdetem dręczenie go na „Mary”.

– Ty tak lubisz? – syknęła po polsku Yasuko prosto do ucha

Lorenta.

- Daj im spokój! - skrzywił się Kapłan. - Tak są wychowani. Czy ktoś ci dokucza, jak recytujesz bez przerwy haiku w oryginale? - Po czym jako pierwszy odpowiedział na ukłon, co, chcąc nie chcąc, zmusiło do tego też Kimurę.

Yovita z wielkim rozbawieniem naśladował ruchy Ta-jów, a Dybcio z nabożną miną udawał bywalca i z wcześniej wyćwiczoną swobodą przywitał się przepisowym złożeniem rąk.

- Witamy także ciebie, siostrze Kapłana - kontynuował dowódca *quadrenty* - oraz waszych towarzyszy.

- Zaraz zwymiotuję - ostrzegła Yasuko, na szczęście po polsku.

Chłopiec wciąż z zainteresowaniem przyglądał się dziwnie wyglądającym dla niego ludziom, ale Dybcio był pod niezmiennym wrażeniem.

- Oboje wymiatacie - powiedział, ale do aurelitów uśmiechnął się od ucha do ucha.

- My też was z radością witamy - odparł spokojnie Kapłan.

- Mistrzu... - rzekł dowódca z nieukrywanym, ale i nieco pretensjonalnym szacunkiem do Lorenta. - Moje imię to Danai, a moi bracia to Paradom i Cha-nachai. Strażnika nazywają Haichai. Pojedziemy teraz w stronę Don Muang, ale ominiemy Bangkok. Po wczorajszych deszczach ulice są zalane. Poza tym tak będzie bezpieczniej.

- Zgoda - przytaknął Krzysztof. - Gdzie przeczekamy do rana?

- W jednym z naszych eklegariów, miejscu ściśle chronionym przez rodzinę.

- Przebierzcie się tam w zwykłe ubrania. Za bardzo rzucacie

się w oczy.

– Tak jest, Kapłanie.

– Samochód?

– Ośmioosobowy van, jest na parkingu. Proszę za nami – dowódca skłonił głowę, odwrócił się powoli i zaczął iść w stronę wyjścia.

Niestety, aby wydostać się na zewnątrz, trzeba było przejść spory kawałek drogi. Lotnisko nawet w nocy przypominało nowoczesne miasto, przy którym polskie Okęcie sytuowało się mniej więcej jak Grójec przy Nowym Jorku.

– Byłaś tu kiedyś, prawda? – spytał Yasuko z wyraźną ciekawością w głosie Dybcio.

– Byłam – westchnęła nieco zniecierpliwiona długim marszem w publicznym miejscu Haiku. – Ty podobno też.

– Nie tu – mruknął cicho Czesio. – To jest lotnisko Suvarnabhumi, ja lądowałem wtedy na Don Muang. Kurczę, dużo ludzi jak na tak późną porę.

– I jedno, i drugie jest ponad dwadzieścia kilometrów od miasta. Trzeba mieć tajską cierpliwość. Złote Królestwo, cholera... – pomstowała.

– Znaczy się? – Czesio był głodny wszelkiej wiedzy.

– Bhumibol Adulyadej nadał temu lotnisku taką nazwę.

– Król?

– Tak. Suvarnabhumi to po tajsku „złote królestwo”. Boże, ile tak będziemy szli?

Podeszła szybszym krokiem do idącego z przodu Krzysztofa, który wymieniał jakieś uwagi z Danaitem.

– Daleko jeszcze?

– Podobno już schodzimy na parking, z tym że jest on

ogromny, wielopoziomowy. Może pomieścić pięć tysięcy samochodów – odparł.

– Co potem?

– Zawiozą nas w bezpieczne miejsce. Rano lecimy prywatnym samolotem do Ranong. Ale nie z tego lotniska. Musimy dojechać do Don Muang – wyjaśnił Kapłan.

– To kawał drogi, nawet przez miasto.

Lorent zrobił minę, jakby prosił, aby Yasuko pogodziła się z losem, a najlepiej nie przynudzała. Miał dość dużą torbę na ramieniu, a drugą ciągnął na kółkach za sobą. I też chciał jak najszybciej dotrzeć do celu, najchętniej bez trucia upierdliwej Japonki.

Gdy wreszcie weszli na teren, gdzie były zaparkowane samochody, tłumy oczekujących, zniecierpliwionych, zdenerwowanych, a najczęściej śpiących pasażerów znikły i nastąpiła zaskakująca cisza. Kiedy dotarli na piętro, gdzie aurelici zaparkowali swój wóz, można było odnieść wrażenie, że są sami. Oświetlenie zainstalowano tu znacznie skromniejsze. Ciekawe, że powietrze, podobnie jak w hali dworcowej, także i w tym miejscu uderzało duchotą.

Pierwsza zorientowała się Haiku, ułamek sekundy później Krzysztof. Japonka nakryła dłonią głowę Yovity i pchnęła go na ziemię, zasłaniając go swoim ciałem. Niemal równocześnie Kapłan zrobił podobnie z Czesiem. Strzały padły dopiero sekundę później, ale niestety trafiły w cel. Haichai, który szedł pierwszy, ugodzony kulą w czoło oparł się bezwiednie o zaparkowany obok samochód, a następnie osunął na ziemię. Z kolei Paradom przez chwilę jeszcze stał wyprostowany, trzymając się za krwawiącą szyję, ale trafiony ponownie w głowę, upadł ciężko na posadzkę. Pozostali dwaj aurelici zdążyli

schować się za pobliską czarną limuzynę, a po chwili przyłgnąć do ziemi. Strzały były ciche, brzmiały jak stłumione kasznięcie. Po nich nastąpiła cisza. Dybcio ściągnął bezwiednie drżącą ręką okulary (jakimś cudem wciąż tkwiły na jego nosie) i schował nerwowym ruchem do kurtki, którą zdjął przy wyjściu z samolotu i trzymał na ramieniu. Bagaże rozsypały się między zaparkowanymi wozami. Chanachai wyjął zza marynarki miecz i zerknął do tyłu na Kapłana i Haiku.

– Gdzie z tym?! – puknęła się w czoło Japonka.

Aurelita położył broń obok siebie na ziemi.

– Skąd? – szepnął spokojnie Krzysztof.

– Na dwunastej na pewno – odpowiedziała również szeptem.

– Drugi na dziesiątej.

Wciąż leżeli bez ruchu.

– Też tak myślę – potwierdził Lorent. – Tylko czy jest jeszcze jeden?

– Przed strzałami usłyszałam obu. Trzeciego nie słyszę nawet teraz.

– Danai! – szepnął głośniejszym głosem Krzysztof.

– Tak, Mistrzu!

– Gdzie samochód?

– Piętnaście metrów w prawo.

– Nie mamy rady wszyscy. Jest nas za dużo... Ile czasu zajmie ochronie, żeby tu dotrzeć?

Danai podczołgał się do Kapłana.

– Mogli w ogóle niczego nie zauważyć. Jest noc. Strzały ciche. A ochrona powinna być na miejscu.

– Ci, którzy pilnują parkingu, pewnie już nie żyją – mruknęła Haiku. – Bądźcie przez chwilę cicho!

Japonka zamknęła oczy.

- Idą tu. Wolno - szepnęła po chwili. - I chyba jest trzeci.

- Wiem - szepnął Krzysztof.

- Nie damy rady się tu obronić - Yasuko nabrała głębiej powietrza. - Nie mamy broni palnej.

- Nieźle wybrali. Nie mająk się wycofać.

- Yasuko... - usłyszeli cichy głos Yovity, był perfekcyjnie opanowany - zejdź już ze mnie.

Kimura nieco zdziwiona, ale spełniła prośbę chłopca. Przeciwnicy wciąż nie strzelali.

- Przykro mi, mały - wyznała szczerze. - Mamy spory kłopot. Idą tu. Są ostrożni, ale za niecałą minutę dorwą nas i zanim ich załatwimy, ktoś zapewne zginie. Jesteś niezwykłym dzieciakiem, więc wybacz... jestem szczerą. Jeśli tylko się wychylimy, wystrzelają nas jak kaczki.

- Niekoniecznie - odparł poważnie chłopiec.

- Jeśli masz jakiś pomysł, to dawaj!

- Wiesz dokładnie, gdzie obaj są?

- Z dokładnością do dwóch metrów.

- Musisz się lepiej wsłuchać.

- Postaram się... i co dalej?

- Niestety, nie trenowaliśmy tego wcześniej, ale jeśli zgodzisz się zaryzykować...

- Mów, Yovita!

- Poczujesz się dziwnie. Wszystko wyda ci się jak na zwolnionym filmie. Ale to ty będziesz szybsza. Dużo szybsza.

Haiku szeroko otworzyła oczy.

- Co mam robić?

- Przede wszystkim musisz usłyszeć, gdzie jest ten z

dwunastej. Dopadnij go najszybciej, jak umiesz. Ale wszystko będzie... trochę inne. Normalny człowiek natychmiast wpadłby na jakiś słup albo samochód, więc już tutaj musisz zaplanować każdy ruch.

- O to się nie martw.

- Nigdy tego nie próbowałaś. Zrób, o co proszę.

- Może jednak ja - wtrącił Kapłan.

- Nie - odparł szybko Yovita. - Jest lżejsza i niższa. Z jej masą mogę ją przyśpieszyć nawet o sekundę.

A wtedy będzie w stanie dostrzec lecący w jej kierunku pocisk.

- O fiick... - wyrwało się zdecydowanie najbardziej przerażonemu Czesiowi.

- Dasz radę? - upewnił się Kapłan.

Yovita skinął głową.

- Jeśli skupię się tylko na niej... tak. Dostanie pierwszego, drugi będzie tak zaskoczony, że nie zdąży oddać dokładnego strzału.

- To prawda, oni nie walą z pistoletów - potwierdziła Yasuko. - Załatwię to za jednym razem. Zaczynaj, Yovita. Nie ma czasu. Co mam robić?

- Wszyscy cisza. Kompletna! - rozkazał spokojnie chłopiec. - Ruszysz, kiedy będziesz gotowa. Ja już cię mam. Pamiętaj... to na początku trochę szokujące.

Yasuko bez słowa odwróciła głowę w stronę przeciwników i wolno podniosła się na rękach, przygotowując atak. Wyjęła swój sztylet i czekała jeszcze kilka sekund. Yovita przytulił się do ziemi i zamknął oczy. Pierwszy przeciwnik był niecałe dwadzieścia metrów od nich. Ruszyła błyskawicznie. Gdy tylko

zaczęła biec, powietrze wydało się jej gęstsze, nieco cięższe i chłodniejsze. Nagle wszystko się rozmasało, jakby jej wzrok kompletnie zatracił ostrość. Rząd samochodów przed nią szybko jednak nabral znowu kształtów i zbliżał się, jakby targnął nim niewidzialny, cichy jak nocny drapieżnik huragan. Biegła pod kątem czterdziestu stopni do linii strzału snajpera, aby zaatakować z boku.

Dopiero gdy Kapłan usłyszał cichy jęk pierwszej ofiary Haiku, padł strzał. Nieprzygotowany. Oddany w panice.

Kula utkwiała w jednym z samochodów, daleko od Ki- mury i od nich. Chwilę później kolejna cicha śmierć, wreszcie świst rzucanego noża i słyszalny już dość dobrze okrzyk bólu umierającego, którego trafiło ostrze.

- Nie ma już nikogo - powiedział cicho Yovita. - Wszyscy nie żyją.

Danai rzucił się w kierunku leżących bez ruchu aurelitów, ale po kilku sekundach odwrócił się i pokręcił ze zrezygnowaniem głową.

- Jak z tobą? - spytał szybko chłopca Lorent.

- Najdalej za dwie godziny będę potrzebował zimnej wody.

Zszokowany tym, co zobaczył, Chanachai z przerażeniem patrzył na Kapłana. Danai był nie mniej zdezorientowany wyczynem Haiku, ale instynktem wyrobionym na tysiącach godzin treningu z kamienną twarzą rozkazał Chanachaiowi, by pomógł mu szybko zanieść nieżyjących braci do samochodu.

- Przykro mi - powiedział cicho Lorent do dowódcy *quadrenty*. Ukląkł, przeżegnał obu zmarłych i poświęcił im chwilę modlitwy.

- Musimy uciekać, zanim zjawi się policja - zwrócił uwagę Danai.

- Wiem. - Kapłan wstał. - Szybko! - pośpieszył resztę.

Yasuko szła w ich stronę, lekko chwiejąc się na nogach.

- Czujesz, jakbyś miała nogi w smole? - spytał kontrolnie Yovita.

Japonka kiwnęła potwierdzająco głową.

- To minie. Za kilka minut.

- Musimy to... - Yasuko ku swojemu zdziwieniu nie mogła przez chwilę złapać oddechu - ...jeszcze kiedyś powtórzyć.

Chłopiec uśmiechnął się do niej, ale w jego uśmiechu nie było nawet odrobiny radości.

- Zabiłeś kiedyś kogoś? - spytała łagodnie Japonka.

- Yasuko! - syknął z oburzeniem Lorent.

- A oni? - spytał smutno chłopiec.

- Ich to ja zabiłam, a ty mnie tylko dmuchnąłeś w dupę.

Teraz Kapłan ograniczył się do karcącego spojrzenia, ale Kimura nie miała siły się kłócić.

- Było ich trzech. Jeden miał karabin Sako, drugi SIG-Sauera 3000, trzeci koordynował.

Starali się nie patrzeć, jak aurelici kładą ciała swoich towarzyszy z tyłu wozu i przykrywają ich czarnym materiałem.

Danai poszedł w miejsce, skąd przed chwilą przyszła Haiku. Obejrzał ciała dość szybko.

- To *yuchiaye*. Zabójcy do wynajęcia. Najemnicy - Danai skłonił się i wsiadł do samochodu.

- Jasne. Szkoda tylko, że straciliśmy czujność, kiedy dowiedzieliśmy się, że Tyhrona tu nie ma - mruknął Lorent do Yasuko.

- Nie sądzę, by liczył, że nas zatrzyma - odpowiedziała po chwili zastanowienia. - Chciał nas spowolnić.

- I osiągnął cel - westchnął Kapłan. - Teraz będziemy szli ostrożniej. Jedźmy stąd. Pewnie odcięli kamery i zabili strażników, ale prędzej czy później będzie tu policja.

Z garażu wyjechali bez problemu, na samym dole mijając kilku zaledwie podróżnych. Większość samolotów lądujących o tej porze w Bangkoku nie kończy lotu. Po zatankowaniu lecą dalej. Stąd sporo oczekujących na dalszą podróż i stosunkowo niewielka grupa tych, którzy tu zostają, idą w kierunku postoju taksówek lub na któryś z trzech wielkich parkingów.

Wyjazd był szeroki, wygodny i właściwie pusty. Suvarnabhumi zaczęło ginąć za plecami, aż wreszcie jego światła znikły zupełnie.

Po dłuższej chwili nerwowej ciszy odezwał się jako pierwszy Lorent do siedzącego obok Chanachaia, dowódcy *quadrenty*, który kierował wozem:

- Śledzili was - bardziej stwierdził, niż spytał, po angielsku.
- I skądś wiedzieli, że przylatujemy.
- Niekoniecznie - wtrąciła Haiku.
- Nie czekali tu przecież z bronią godzinami, aż się zjawimy! Byli dokładnie tam, gdzie ich samochód.

Aurelita nisko i ze wstydem się skłonił.

- To byłoby niemożliwe bez zdrady Xavrila Gan- tiego! Ktoś musiał mu donieść.

- Ganti zdradził Chatillon już dawno temu. Powinniście wziąć pod uwagę wszystko, o czym mógł wiedzieć.

- Staraliśmy się, Kapłanie - Danai znów zaczął się wielokrotnie przepraszająco kłaniać.

- Nie mówmy teraz o tym - zdecydował chłodno Lorent. -

Jedziemy wozem, który mógł być obserwowany. Możliwe, że czekają nas kolejne zamachy. Powiedz wszystko, co tylko może pomóc.

- Oczywiście - ponowne dziesiątki ukłonów. - Lotnisko jest dobrze strzeżone. Ale na parkingach są tylko dwu-, trzyosobowe załogi strażników, którzy w nocy często siedzą w budkach. Mają monitoring, ale tylko na swoją kondygnację. Jestem pewien, że przed atakiem nasi wrogowie zlikwidowali strażników i zabezpieczyli monitoring. *Yuchiaye* to zawodowcy. Z pewnością nie dopuścili, by ich widziano. Ale ślady, które znajdzie policja, szybko wykażą, że to oni zaatakowali, a zginęli w walce z broniącymi się.

- To coś da? - spytał po angielsku ciężko oddychający Dybcio.

- Tak. Podejrzewamy, że władze lotniska w porozumieniu z policją będą starały się raczej wyciszyć sprawę.

- Wyciszyć?! - w głosie Lorenta brzmiało nieklamane zaskoczenie.

- Dla prestiżu Suvarnabhumi. To lotnisko królewskie. Nie dopuszczają, by zagranicznych pasażerów cokolwiek niepokoiło. Nie pozwolą także, żeby dowiedziała się prasa, szczególnie spoza Syjamu. Tak tu jest. Wzmocnią ochronę garaży, ale z pewnością bardziej skupią się na szybkim uprzątnięciu śladów niż na przykład na szukaniu nas. Wezmą to za porachunki mafijne, o czym świadczy obecność *yuchiaye*. A że atakujący sami ponieśli karę, sprawiedliwości stało się zadość.

- Jasne, skąd ja to znam... - mruknęła Yasuko.

- Tym razem to nie najgorsza wiadomość - zauważył Dybcio.

- Tutejsze zwyczaje zakładają dyskrecję, ale prawo w Tajlandii bywa surowe. Szczególnie za przemyt narkotyków. Za

to grozi tu kara śmierci – wyjaśnił Danai.

– Jak długo będziemy jechać? – spytał Kapłan.

– Nasz samochód zostanie zmieniony za... – spojrzał na zegarek – jakieś trzy minuty. Taki był plan.

– Bardzo dobrze – ocenił chłodno Lorent.

– Potem około dwudziestu minut o tej porze do ekle-garium.

– Czy Ganti mógł wiedzieć o tym miejscu?

– Z pewnością nie. To dość nowy ośrodek.

– Co sądzisz? – Kapłan nachylił się nad uchem Yasuko.

– Raczej nikt nas nie śledzi – odparła po polsku Japonka.

– Teraz bardziej obawiałbym się policji.

– Skoro pan aurelita ci mówi, że gliniarze nas oleją, wypada mu wierzyć.

– Tylko tak przypuszcza.

– Ani ty, ani ja nie jesteśmy poszukiwani w tym kraju. Nikt nas tu nie zna. Wśród tłumu sprawialiśmy wrażenie zwyczajnych turystów, i to z dzieckiem oraz gościem wyglądającym na pierdołowatego jajogłowego.

– A oni? – wskazał nieznacznie na Tajów.

– Nic mi nie mów – pokręciła głową wciąż rozdrażniona Haiku.

Wymiana samochodów poszła sprawnie. Niemal bez słowa przepakowano bagaże, a dwóch ludzi, którzy przyprowadzili wóz, ograniczyło się tylko do uprzejmych ukłonów wobec gości. Danai krótko i cicho opisał im sytuację i wydał potrzebne polecenia. Dwaj nieznajomi zabrali samochód wraz z ciałami aurelitów i szybko odjechali.

ROZDZIAŁ 10

Ogrodzony wysokim murem i pilnie strzeżony ośrodek, usytuowany z dala od głównej drogi i osiedli mieszkaniowych, robił wrażenie.

- Nie lubię takich miejsc - mruknęła po swojemu Haiku.
- Komuś musimy zaufać - odparł po polsku Kapłan.
- Przecież ty też podejrzewasz, że mieli wtykę.
- I dlatego będziemy uważać. Zresztą oni sami już szukają zdrajcy.
- Wiem. Ja też słyszałam ich rozmowę, kiedy zmienialiśmy wozy.

Samochód zatrzymał się przed domem, który wyglądał na minihotelik dla gości.

- Czy zanieść bagaże do pokoi? - spytał Chana- chai.
- Dziękuję, zajmiemy się tym - odpowiedział Krzysztof. - Chciałbym wypoczywać w jednym pokoju z chłopcem.
- Oczywiście. Cały ośrodek jest do waszej dyspozycji, Mistrzu.

Dom miał tylko jedno piętro. Parter najwyraźniej zajmowały różnego rodzaju pomieszczenia gospodarcze. Hol dla gości robił wrażenie sterylnie czystego, a jednocześnie skromnego. Drewniana podłoga i gładkie jak tafla lodu białe ściany nie miały nawet jednej plamki przypadkowego brudu czy zatartego kurzu. Do siedmiu pokoi różnej wielkości prowadziły podwójne metalowe drzwi. Wszystkie szeroko otwarte.

- Na tym piętrze nie ma i nie będzie dzisiaj nikogo oprócz

ciebie, Kapłanie, i twoich towarzyszy – oznajmił Chanachai. – System bezpieczeństwa każdego pokoju zapewnia możliwość wprowadzenia jednorazowego osobistego kodu, który jest kasowany przy wyjściu. W dowolnej chwili możemy podać posiłek. Czy będę jeszcze do czegoś potrzebny?

– Nie. Dziękujemy – odpowiedział Kapłan, zdobywając się na uprzejmy uśmiech. – Nie przejmuj się także posiłkiem. Jesteśmy na to przygotowani we własnym zakresie.

Taj wykonał staranne *wat* i wycofywał się, przez pewien czas idąc... tyłem. Gdy tylko zniknął za zakrętem na schodach, Yovita oparł się ciężko o ścianę, a następnie osunął na ziemię. Krzysztof natychmiast złapał go za ramiona, żeby pomóc mu wstać.

Haiku przyłożyła mu dłoń do czoła.

– Co się dzieje, mały? – spytała, nie ukrywając zaniepokojenia.

– Mantu... szybko... zimna woda – wyszeptał spokojnie chłopiec. Do tej pory ukrywał wyczerpanie, ale teraz, kiedy zostali sami, zdecydował, że może sobie spokojnie zemdleć.

Lorent wziął dzieciaka na rękę i szybko wniósł do pierwszego pokoju.

– Tu nie ma wanny! – jęknął Dybcio, który najszybciej dotarł do łazienki.

– Odkręć zimny prysznic! – rzucił bez zastanowienia Krzysztof. – Wyjdźcie stąd, dam sobie z nim radę.

– Spadamy – poklepała Czesia po ramieniu Haiku. – Jakby co, będziemy w swoich pokojach – rzuciła do Kapłana.

– Nie... zostańcie chwilę – szepnęła Yovita, którego Krzysztof posadził w brodziku prysznica. – Najważniejsza głowa...

Lorent skierował strumień prysznica na włosy chłopca, nie

bawiąc się już w zdejmowanie mu ubrania. Po minucie, może dwóch Yovita już nieco swobodniej oddychał.

– Coś ty narobił, dzieciaku? – spytała podejrzliwie Yasuko.

– Nie ma tu zdrajcy – odpowiedział nieco już przytomniej, ale wziął od Krzysztofa prysznic i nie przerywał lać sobie wody na głowę.

– Gdzie? W ośrodku? – dopytał Lorent.

– Tak. W tych murach oprócz nas jest czternaście osób. Nikt nie znał Gantiego osobiście ani go nie widział. Tylko Danai.

– Danai?!

– Ale on też nie jest zdrajcą.

– Jezu, dzieciaku, zamiast oszczędzać siły po tym, co zrobiłeś w garażu, przejarasłeś głowę, włączając po kolei do mózgow tutniejszych aurelitów?! – jęknął Dybcio.

– To chyba lepsze niż kolejne zaskoczenie?

– Wiesz, kto sypnął? – spytała Yasuko.

– Nie. Ale nie ma go tu. Nic nam nie grozi.

Japonka niespodziewanie objęła Yovitę i mocno przygarnęła do siebie, nie zważając na lejącą się wodę. Nawet Krzysztof był nieco zaskoczony.

– Byłeś cholernie dzielny – szepnęła mu do ucha i delikatnie pocałowała dzieciaka w policzek.

– Teraz możecie już sobie iść – roześmiał się zadowolony Yovita.

– Na pewno? – spytał Kapłan.

– Tak, Mantu. Dam sobie radę.

Zostawili go w łazience, ale Yasuko zatrzymała się na chwilę w pokoju gościnnym. Dybcio zorientował się, że chcą pogadać, więc machnął im, że idzie spać. Wreszcie poczuł się względnie

bezpiecznie, a to przypomniało mu o zmęczeniu.

- Nie podoba mi się ta jutrzejsza wizyta na lotnisku Don Muang - rzuciła w stronę Krzysztofa, gdy Czesio zamknął za sobą drzwi.

- Będziemy lecieli prywatnym samolotem milionera, który pracuje dla Balei. Przejdziemy korytarzem dla VIP-ÓW. Ani przez chwilę nie będziemy na głównym lotnisku.

- Mam wsiąść do samolotu człowieka Balei?

- Do Ranong jest stąd siedemset kilometrów. Jak chcesz się tam dostać? Jadąc samochodem przy granicy z Birmą? Tam może być więcej gości z karabinami. Nie mówiąc o niespodziankach po drodze. Jeśli mają kreta, samolot wbrew pozorom jest bezpieczniejszy. Ten milioner nie zaryzykuje konfliktu z Baleą, szczególnie że miliony zdobył właśnie dzięki niemu. Zrobi wszystko, żebyśmy bezpiecznie dolecieli. Statek również należy do niego.

- Dlaczego tak ufasz temu gnojnikowi?

- Luigi Balea nie jest może ideałem i ma trudny charakter, ale wiesz tak samo dobrze jak ja, że teraz nasze życie jest dla niego szczególnie cenne. Pomaga nam skutecznie jak nigdy. Nie umiem podróżować po Azji tak jak po Ameryce Południowej. Gdyby nie on, dotarlibyśmy tu za miesiąc, w życiu nie ukrylibyśmy swojej broni i być może mielibyśmy na karku CIA lub gliniarzy.

- To logiczne, ale dla mnie nieco poniżające. - Pocałowała go w policzek. - Idę.

- Wypocznij. Kiedy ostatnio spałaś?

- Wtedy kiedy ty. Spokojnych snów.

Spokojne sny, spokojna noc, a co najważniejsze bezproblemowa poranna podróż na Don Muang i przyjemny rejs luksusowym samolotem niejakiego Aleksaho Thaksina nie uspiły czujności ani Krzysztofa, ani tym bardziej Haiku, ale ostudziły nieco atmosferę. Zgodnie z oczekiwaniami, jako goście wpływowego przyjaciela najwyższych dostojników Partii Demokratycznej – najstarszej i największej w Tajlandii – nie byli nigdzie kontrolowani, a ich bagaż natychmiast przetransportowano do niewielkiego samolotu. Godzinny lot, wbrew obawom Haiku, również nie dostarczył specjalnie przyspieszających krążenie krwi w żyłach przeżyć, z wyjątkiem może wspaniałych widoków. Ale i one niezbyt zainteresowały gości na pokładzie, skupionych na czekającym ich zadaniu.

Port w Ranong swoim kolorytem i typowo południowoazjatycką duszą podbija serca większości turystów. Zielono-niebiesko-brązowe łódki rybackie z czerwonymi wstążkami na dziobach, na tle gór – domy na palach wchodzące wprost w morze, rybacy na pobliskich mieliznach łowiący po kolana w wodzie sieciami i krzyczący do siebie w nieznanym narzeczu – stanowią nie tylko niezachwianą od stuleci harmonię tradycji, szacunku do natury, ale też gościnności wobec turystów, choć może najmniej nowoczesności. Z wyjątkiem hoteli dostosowujących swoje usługi do narastających wymagań zagranicznych gości zmiany są tu powolne. Największy port Syjamu nad Morzem Andamańskim robi raczej wrażenie centrum przemysłu rybnego w starym dobrym stylu. Woda jest tu bardziej sina niż między wyspami i mniej przezroczysta niż na niedalekich urokliwych plażach, ale nie gasi tym barwnego wybrzeża.

Niezbyt wielki, za to bardzo nowoczesny statek Thak- sina

na nieszczęście wyróżniał się spośród otoczenia, ale jak łatwo się domyślić, nie był to jego rodzimy port. Siedmioosobowa załoga zawinęła tu wieczorem poprzedniego dnia i wraz z przybyciem gości niemal natychmiast zasugerowała wypłynięcie. Ani Haiku, ani Lorent nie wiedzieli, na ile ci ludzie są wtajemniczeni w cel wyprawy, ale będzie na to czas. Do wyspy Sentinelczyków będą płynęli dzień i noc. Najważniejsze jednak, że Yovita także i tu nie znalazł Tyhrona. Nawet jeśli tu był, to już dawno zdążył odpłynąć. Jeśli w ogóle tędy próbował dostać się do celu. Nikt tym razem nie próbował ich zatrzymać, ani nawet zastraszyć, ale przybysze opuszczali Ranong mimo wszystko z ulgą. Tuż przedtem Danaï dostał wiadomość o tym, że wykryto zdrajcę. Kierowca mistrza Shiramo, Sai, okrył hańbą Rodzinę. Ufano mu przez wiele lat. Teraz sędziwego Shiramo, nauczyciela Danaïa, pogrążył w nieuleczalnym smutku. Sai zginął nad ranem.

Być może w Ranong macki Gantiego i Tyhrona już nie sięgały. A być może prawdziwe niebezpieczeństwo czekało śmiałków dopiero tam... na nieznanym nikomu wyspie, która kryła tajemnicę – nawet dla Yovity – nieprzeniknioną.

ROZDZIAŁ 11

Schylek pory deszczowej nie zawsze oznacza ulewę non stop. Wbrew temu, czym straszą przewodniki, we wrześniu i październiku bywają tu długie słoneczne dni, z bardziej umiarkowaną temperaturą, szczególnie na morzu.

Odkąd poszukiwacze przygód na Sentinelese wylądowali w Syjamie, nie spadła z nieba ani jedna kropla. Chanachai opowiadał co prawda, że w Bangkoku po ulicach jeździło się wczoraj po kolana w wodzie, ale taki już tutejszy wrześniowo-październikowy „zwyczaj”.

- Dwa dni temu lało. Problem polega na tym, że stolica leży u ujścia rzeki Chaophraya - tłumaczył dziś już na spokojnie wpatrującemu się w znikający za horyzontem brzeg Kapłanowi.

- Rada miasta zbiera się co roku i zawsze ustalają jakiś wspaniały plan, ale nic z tego nie wychodzi. Poziom morza jest tak wysoki, że cofa wodę z Chaophraya do miasta i zalewa ulice.

Danai i Chanachai zostali sami. Nikt do nich nie dołączył. Nikt nie zastąpił Paradorna i Haichaia.

Załoga wygląda na zaufaną, dyskretną i niegadatliwą. Statek jest bardzo wygodny. Ma dwupoziomowy pokład, własną kuchnię, kilka barków i siedem luksusowych kajut. Zamknięta w jednej z nich Yasuko może wreszcie odpowiednio zaopiekować się bronią, na co do tej pory nie miała ani warunków, ani siły. Czyszczenie miecza, noży i sztyletów traktuje nadal jak święty rytuał, może nawet - misterium. Musi być wypoczęta i odpowiednio przygotowana do medytacji przed

walką.

Krzysztof spaceruje po pokładzie z Chanachaiem, poznając nieznane mu zwyczaje. Nie dotykają spraw walki i śmierci. Chanachai jest dumny, że może obcować z Kapłanem, i wykorzystuje każdą chwilę, by móc się od niego uczyć, choćby sztuki konwersacji.

Danai przejął dowództwo statku. Jest zajęty organizowaniem podróży tak, by byli przygotowani na wszystko. Nawet na niespodziewany atak. Wydaje szybkie polecenia, jest uporządkowany i dokładnie wie, co robić.

Dybcio pracuje. Zbiera wszystkie informacje na temat morza, pogody i ewentualnych problemów, które mogą ich czekać po drodze. Nie ma Internetu, ale analizuje każdy szczegół, który ściągnął z sieci jeszcze na lądzie, w ośrodku. Jest nieco śpiący, ale najpierw chce skończyć. Przecież do spania będzie jeszcze cała noc.

Yovita zbiera siły. Zamknął się w swojej kajucie i na razie nie wychodzi. Szuka Tyhrona. Jak dotąd bez skutku.

Statek mija kolejne wyspy, najczęściej niewielkie, wypiętrzone skałami, gdzieniegdzie porośniętymi nieznanymi gościom z Europy niskimi drzewami, które znajdują miejsce dla swych korzeni gdzieś w szczelinach. Zagadką jest, skąd czerpią życiodajne soki na takiej wysokości, wśród samych wapieni, bez grama ziemi. Może wystarcza im tylko wysoka wilgotność i deszcze, w połączeniu z minerałami, które czerpią ze skał... Niektóre z wysp to tylko smukłe, strzeliste wapienne wieże, przypominające do złudzenia jurajską Maczugę Herkulesa, tyle że tu wyrastają wprost z morza wiele metrów ponad poziom wody.

Podróżnicy mijają też wyspy pozbawione gór – z bajecznymi

plażami z białym czystym piaskiem, samotne, pozbawione turystów, zbyt oddalone od lądu. Zaraz za płaskim wybrzeżem wyrasta palmami ściana tropikalnego lasu – wysoka, gęsta, wyjątkowej urody. Woda, szczególnie ta bliżej plaży, jest niewiarygodnie błękitna, niemal taka jak bezchmurne dziś niebo.

I to wszystko pod koniec pory deszczowej...

Haiku wyszła na pokład dopiero około pierwszej. Wymieniła się spojrzeniami z Lorentem, dzięki czemu Kapłan mógł teraz wypocząć w swojej kajucie. Czesio przespał się godzinę, ale również postanowił popodziwiać nieco krajobraz, choć teraz bajkowe wyspy pojawiały się na horyzoncie znacznie rzadziej. Spokojne morze nie sprawiało najmniejszych kłopotów. Można by odnieść wrażenie, że z pozoru leniwy rejs to przejażdżka bogaczy z Tajlandii w kierunku Andamanów, wysp położonych trzykrotnie bliżej brzegów Birmy i Syjamu niż Indii, ale należących terytorialnie do tych ostatnich. To dar od opuszczającej swego czasu archipelag administracji króla Anglii. Synowie Albionu najpierw większość wysp złu- pili, potem unowocześnili, czego przykładem jest ich główne w tym regionie dzieło – Port Blair, a następnie łaskawie się wynieśli, kończąc tu swoją azjatycką przygodę kolonialną. Zostawili po sobie masę europejskich chorób, z którymi tubylcy walczyli później całe dziesięciolecie. Kilka starszych niż europejska starożytność kultur zniknęło w ten sposób z powierzchni ziemi. Jedynymi szczęśliwcami pozostali do dzisiaj Sentinelcy, mieszkający „na końcu świata”.

Dybcio podszedł do wpatrzonej w horyzont Yasuko i oparł się o elegancką drewnianą poręcz.

- Wszystko OK? - spytał z troską w głosie.

- Mhm - kiwnęła głową Kimura, dzieląc się z nim oszczędnym uśmiechem. Wyglądała na w miarę wypoczętą i, mówiąc jej językiem, „oczyszczoną”.

- Pogoda przez trzy dni będzie nam sprzyjać - zameldował Czesio. - Bez deszczów i co najważniejsze - wiatru. A to morze bywa niegrzeczne. Wolałbym nie nadziać się na tajfun.

- Przynajmniej to dobre - przyznała Japonka. - Gdyby było jakieś zagrożenie, załoga na pewno by nas ostrzegła.

- Yasuko... - Dybcio zbierał się, by zadać właściwe pytanie.

Japonka wyczuła to, dlatego zmusiła się, by gadać przez chwilę o pogodzie.

- Tak? - zachęciła wreszcie.

- Dlaczego ci w garażu strzelali do aurelitów, a nie do nas?

- Instykt zabójcy - odparła spokojnym, cierpliwym tonem Kimura. - My mieliśmy w rękach bagaże, byliśmy bezbronni. Strzelali najpierw do naszej ochrony. Przyjęli, że czterech odstawionych w idiotyczne garnitury Taj ów będzie dla nich groźniejszych niż turyści.

- Nawet nie zdążyłem podziękować Krzyśkowi...

- Nie rób tego. On nie lubi podziękowań. Deprymuje go.

- Chyba mieliśmy szczęście. Ten cały Ganti, gdy wynajmował zabójców, nie powiedział im, kim naprawdę jesteśmy.

- To oczywiste. Jeśli komuś z zewnątrz proponujesz pracę, mówisz mu tylko to, co konieczne.

- W ten sposób skazał ich na śmierć. Wiedział, że jeśli ciebie i Krzyśka nie zaskoczą - zginą.

- Gdyby nie Yovita, niewiele by brakowało.

- Myślę, że i tak dalibyście sobie radę. Rzuciliście nas na

ziemię, zanim padł pierwszy strzał. Jak ich wyczuliście?

Japonka uśmiechnęła się tajemniczo.

- *Inazuma-ni, koboruru oto-ya, take-no tsuyu.*

- Znaczy się?

- Chcesz, żebym tłumaczyła nieprzetłumaczalną myśl haiku?!

- „Błyskawica, słyhać, jak spada kropla rosy z bambusa” – usłyszeli z tyłu głos Lorenta. Wychodził po schodkach spod pokładu.

- Nie śpisz? – rzuciła Yasuko.

- Jakoś nie mogę. Może później, a najlepiej w nocy.

- Jeśli już mamy zginąć, to przynajmniej w pięknych okolicznościach przyrody – stwierdził filozoficznie Czesio i spojrzał w dal.

- Nie zginiemy – poklepał go po ramieniu Kapłan. – Mam dobre przeczucia.

- Dlaczego Yovita mówi na ciebie „Mantu”? – Dybcio udał, że dał się przekonać, i spytał o coś, co już dawno go nurtowało.

Krzysztof uśmiechnął się pogodnie.

- Tak nazywają mnie Indianie Kaneczua. Być może dzieciak wyczuwa, że są mi bardzo bliscy.

- Co to znaczy w ich języku?

- „Mądre drzewo” – odpowiedziała za Lorenta Haiku. – Mnie nazywają „Uá” i cholera wie, co to oznacza.

- „Piękna” – szepnął konspiracyjnie Krzysztof.

Yasuko po kobiecemu udała, że nic nie słyszy, poza tym od pewnego czasu była zajęta uważniejszym kontemplowaniem horyzontu niż wcześniej.

- Co się dzieje? – spytał Kapłan, który zaniepokojenie

dziewczyny wyczuwał szybko, i zwykle się nie mylił.

– Popatrz na północny wchód – odpowiedziała Kimura, nie odrywając wzroku od morza.

Krzysztof spełnił prośbę i głębiej nabrał powietrza do płuc.

– Od jak dawna to widzisz?

– Dwadzieścia minut temu pojawiła się mała plamka, teraz są już dwie. I powiększają się.

– Czesiu, zawołasz Danaia?

– Jasne. A coś jest nie tak?

– Mam nadzieję, że nie.

– Acha... – Dybcio nie dał się długo prosić i szybko zniknął pod pokładem.

– Tyhron? – mruknęła Yasuko.

– Wątpię – odparł Lorent. – Yovita już by tu był.

– Już raz strzelał do nas obcymi rękami.

– Nie dałby rady znaleźć nas tak łatwo na pełnym morzu. Nawet przy pomocy profesjonalistów.

Danai szybko zjawiał się na górnym pokładzie w towarzystwie dowódcy łodzi.

– Masz pomysł, kto to może być? – spytał Lorent, wskazując dwie powiększające się plamki na morzu.

Aurelita spojrział na dowódcę pytająco.

– Niedobrze... chyba... – marynarz zaczął łamać niemiłosiernie angielski.

– Mów swobodnie – zachęcił Krzysztof po tajsku. – Jak masz na imię?

– Abhisit – Taj skłonił głowę i szeroko się uśmiechnął, wyrażając radość, że gość zna jego język. Zaraz później jednak wyraźnie spoważniał. – To mogą być złe wieści.

- A tak konkretniej? - spytała Haiku.

- *Shikku*... Piraci... - odparł ze strachem Abhisit.

- O czym wy mówicie?! - zaniepokoił się Dybcio. - Mówcie po angielsku!

- Przymknij się na chwilę - poprosiła uprzejmie Haiku.

- Możemy spróbować uciec? - spytał spokojnie Lorent.

- Mamy zbyt ciężką łódź. Oni pływają na małych, szybkich motorówkach.

- Skąd się tu wzięli?

- Jesteśmy na wysokości Ko Sursi. To jedna z wysp, na której mają swoją bazę. Mieszkają i koczują tu czasem miesiącami. Staralem się opłynąć ją bardzo szerokim lukiem, ale jednak nas zauważyli. Przepraszam, Mistrzu - Abhisit zaczął się kilkakrotnie kłaniać.

- Nie twoja wina - szybko uciał Kapłan. - Jak ciężką mogą mieć broń?

- Broń? - marynarz zastanawiał się chwilę. - To są *shikku*, biedacy. Oni nie napadają na tankowce. Mają tanie motorówki i maczety. Rzadko jakieś stare lub zdobyczne pistolety. Polują na małe, najlepiej zagraniczne łodzie. Jeśli zapłacimy, dadzą nam spokój.

- Jak dużo?

- Zwykle wchodzą na pokład i biorą, co chcą. Jeśli nie będziemy im się przeciwstawiać, nie zabiją nas. Czasem tylko...
- spojrzał z niepokojem na Yasuko - ...biorą kobiety.

Ku zdziwieniu Abhisita dziewczyna uśmiechnęła się nieznacznie.

- Jesteś piękna, pani - marynarz znowu się uklonił. - Musimy cię ukryć.

- Dziękuję - Yasuko wciąż z wyraźnym uśmiechem na twarzy odkloniła się Tajowi. - Może jednak zaryzykuję gwałt.

Lorent pokiwał tylko głową ze zrezygnowaniem. Nie miał już czasem do niej siły, ale teraz to było mniej ważne. Bardziej niepokoiło go coś innego. Nie chciał, szczególnie w tym momencie, zabijać ludzi, i to na środku morza.

Abhisit nie do końca chyba zrozumiał żart Japonki, więc skupił się na tym, co rozkaże Kapłan.

- Macie tu jakąś broń? - spytał Lorent.

Marynarz poczuł się wyraźnie zmieszany.

- Na pokładzie mamy pistolet. Ale nie umiemy walczyć. Jesteśmy tylko marynarzami. Pan Thaksin pływa zwykle z własną ochroną. Co rozkażesz, Mistrzu?

- Zatrzymajcie łódź.

- Proszę?! - Abhisit szeroko otworzył oczy.

- Zatrzymajcie łódź - powtórzył Kapłan. - I niech wszyscy zejść pod pokład. Wszystko będzie dobrze.

- Co rozkażesz - marynarz znowu się uklonił i zszedł wydać polecenia.

- Może my się tym zajmiemy - zaproponował Danai.

- Nie chcę tu krwi - odpowiedział spokojnie Krzysztof. - Jesteśmy na morzu. Nie znamy terenu. Nie zostawiamy po sobie ofiar.

- Może nie dać się inaczej.

- Pozwolisz, że spróbuję?

- Przepraszam, Mistrzu. Zgódź się jednak, żebym został u twojego boku.

- Ale nie wyjmuj miecza. Chyba że ja zawiodę, rozumiesz, Danai?

- Oczywiście - aurelita skłonił się nisko.

- Może byś chociaż poszedł na dół po taroku? - rzuciła jakoś wyraźnie rozbawiona Yasuko. - Nie masz przy sobie żadnej broni!

- Ale ty masz i w razie czego bohatercko mnie obronisz - odpowiedział jej złośliwym uśmiechem Lorent.

- Popisuje się - szepnęła cicho do Dybcia Kimura, zachowując cały czas świetny humor.

- Gdybym był nim, też bym się popisował - przyznał Czesio.

- Widziałem, co umiesz, a on podobno kiedyś ci włwał.

Dybcio szybko pożałował, że to powiedział.

- Wtedy nie wiedziałam, kim jest! - warknęła przez zęby Haiku. - Niechby teraz spróbował...

- Co mówicie? - zaciekawił się Lorent. - Może sprawdziłbyś, Czesiu, co tam u Yovity?

Dybcio uniósł w górę ręce.

- Pozostanę z tyłu, ale nie opuszczę takiego czadu. Muszę to zobaczyć.

- Chojrak się zrobiłeś - rzuciła kąśliwie już głośniejszą Yasuko.

- A jak będą mieli pistolety? - spytał zniecierpliwiony Lorent.

- Wtedy zwinę się stąd szybciej niż huragan Katrina.

Krzysztof nawet tego nie skomentował. Rozprostował ręce i czekał. Statek powoli wyhamowywał. Teraz łodzie *shikku* zbliżały się znacznie szybciej.

Pirat to takie staromodne słowo, oznaczające romantycznego buntownika sprzed trzystu, czterystu lat, z czarną przepaską na głowie, ubranego najczęściej w czarne, szerokie płócienne

spodnie i zwiewną koszulę. Na masztach swoich statków piraci zawieszali flagę z trupa czaszką i skrzyżowanymi piszczelami, a grający ich paręset lat później aktorzy dobrze wypadali w takich rolach i zbijali na tym jeszcze większe fortuny niż niegdyś ci, których kreowali.

Dwie łodzie, które podpłynęły do statku Thaksina, były znacznie mniej imponujące, a ich właściciele jeszcze bardziej obdarci, niż podpowiadała – kimkolwiek byłby świadek tych wydarzeń – wyobrażnia. Nawet Haiku skrzywiła się na widok chudych, niskich Tajów, wykrzykujących łamaną angielszczyzną jeden przez drugiego jeszcze na długo przed abordażem, żeby nikt nie próbował uciekać i by wszyscy wyszli na pokład. W obu łodziach było ich siedmiu i ku uldze Kapłana nie mieli najwyraźniej broni palnej. To, że statek stał, a trzech mężczyzn i kobieta na pokładzie nie wykazywali nawet cienia strachu, niewątpliwie zdeprymowało napastników. Trochę jakby ucichli, uważniej przyjrzeni się swym ofiarom, po czym znowu podnieśli wrzawę.

Wreszcie pierwsza łódź zarzuciła hak na statek, druga opłynęła go, aż wreszcie dołączyła do pierwszej.

– Pieniądze, prezenty!!! – najgłośniej krzyczał człowiek, który jako pierwszy dostał się na pokład przez nikogo nie niepokoiony, z maczetą trzymaną w obu rękach. Za nim wspięło się po linie jeszcze dwóch. Reszta obserwowała z łodzi, ale niestety ta grupa była równie wrzaskliwa.

Krzysztof spokojnie przyglądał się trzem piratom, zachowując raczej przyjazny wyraz twarzy.

– Pieniądze, prezenty! – krzyknął ponownie chyba przywódca, ale na widok Lorenta zatrzymał się dwa metry przed nim.

Nagle jak na komendę wszyscy umilkli. Yasuko przypatrywała się temu nieco znudzonym wzrokiem, z trudem powstrzymując się od śmiechu.

- Kobieta! - zawołał główny pirat po tajsku do swoich towarzyszy.

- No co ty powiesz... - mruknęła z udawaną powagą Haiku.

Znów nastąpiła cisza. Kobieta mówiła w ich języku.

- Witajcie na pokładzie! - skłonił się Krzysztof.

To wywołało jeszcze większą konsternację. Biały człowiek mówił swobodnie po tajsku, nie padał przed nimi na twarz, był przyjazny.

- Na kolana! - rozkazał nagle główny pirat, ale nawet Czesio zauważył, że nieco traci grunt pod nogami. - Prezenty? Pieniądze?! - dodawał sobie odwagi podskokami w miejscu i wymachiwaniem w powietrzu maczetą.

- Chciałbym dać wam prezent - powiedział spokojnie Krzysztof. Zdjął z szyi złoty krzyżyk z Chrystusem i wraz z łańcuszkiem wyciągnął go do stojącego przed nim obdartusa.

Pirat wydał dziwny okrzyk i podszedł ostrożnie do Lorenta, po czym wyrwał mu podarek z dłoni. Cały czas wymachiwał przed nosem Kapłana maczetą, aż wreszcie cofnął się dwa kroki i przyjrzał się krzyżykowi. Oczywiście przygryzł go, a nawet powąchał.

- Ha, ha, ha! - zaśmiał się wreszcie szyderczo i rzucił krzyżykiem o pokład.

- To mój Bóg... moja wiara - wytłumaczył cierpliwie Lorent. Był perfekcyjnie opanowany. - Weź prezent i odejdz w pokoju - zaproponował przyjaznym tonem.

- Aaaaa!!! - ryknął na całe gardło pirat, po czym zamachnął się maczetą na Lorenta.

Kapłan zrobił nieznaczny unik, chwycił za ściśnięte na maczecie dłonie rozpedzonego Taj a i wykorzystując siłę, z jaką ten napierał, szybkim ruchem pozbawił go równowagi. Chwilę później nogi napastnika znalazły się wysoko w górze, a on gruchnął o pokład. Maczeta została w dłoni Kapłana. Dwóch przestraszonych towarzyszy pokonanego przywódcy rzuciło się bezładnie na Lorenta, ale ten dwoma ledwo dla wszystkich dostrzegalnymi ciosami wytrącił natychmiast obu broń z rąk, po czym opuścił maczetę na pokład.

- Mówiłam, popisuje się - mruknęła Yasuko do Dybcia.

- Jest zajebisty - pokiwał z zachwytem i niedowierzaniem głową Czesio.

Nastąpiła grobowa cisza. Yasuko uważnie obserwowała ręce Taj ów, którzy zostali na łodziach, gotowa w każdej chwili rzucić swoim nożem. Żaden pistolet jednak się nie pojawił u napastników.

- Proszę, weź prezent - powtórzył równie spokojnie jak poprzednio Lorent.

Szef drużyny piratów wolno zbierał się z pokładu, patrząc szeroko otwartymi oczami na tego dziwnego białego. Taj był zwinny i upadł umiejętnie, ale teraz czuł wyraźny strach. Ostrożnie, przyglądając się Kapłanowi, podniósł wolno złoty krzyżyk.

- Diabeł! - wrzasnął i cofnął się trzy kroki.

- Na twoje szczęście chyba jednak nie - odezwał się milczący do tej pory Danaï. Jego głos brzmiał znacznie groźniej niż słowa, którymi próbował przekonać piratów Lorent. Haiku wciąż trzymała dłoń na ukrytym za paskiem nożu. Piraci zaczęli powoli się wycofywać. Wreszcie wsiedli z powrotem na łódź.

- Budda! - wykrzyknął, wygrażając pięścią, w której trzymał

krzyżyk, przywódca piratów.

- Bądźcie zdrowi! - skinął lekko głową Krzysztof.

Piraci zapuścili silniki i zaczęli szybko odpływać.

- Nuda - wzruszyła ramionami Haiku i zeszła po schodach do maszynowni. - Ruszajcie! - rzuciła do marynarzy.

Czesio głęboko westchnął.

- Jest zajebisty... - powtórzył do siebie z nabożnością.

ROZDZIAŁ 12

Nocą statek płynął bardzo szybko na pełnych obrotach, nie niepokojony ani przez pogodę, ani rozbójników czy mieszkańców tych wód. Ale Sentinelese wyłoniła się zza horyzontu niczym mglista fatamorgana dopiero po południu następnego dnia, dając sygnał załodze do zatrzymania łodzi.

Yovita od dłuższego czasu obserwował punkt, który teraz był już dostrzegalny dla wszystkich.

- Jest tu? - spytał Kapłan, choć był niemal pewny odpowiedzi.

- Jest - potwierdził chłopiec.

- Widzi nas?

- Nie, ale wie, że się zbliżam.

- Z wyspy nikt łodzi nie dojrzy - zauważył Abhisit. - Różnimy się znacznie wielkością od tego lądu.

- Ilu ich może być? - spytała Yasuko stojącego obok Czesia.

- Trudno powiedzieć. Nie ma oczywiście dokładnych danych. Około trzystu - odpowiedział Dybcio. - Jedno mnie tylko zastanawia. Skoro zarówno Tyhron, jak i Ganti są tam, jak udaje im się przeżyć?

- Może właśnie gotują z nich zupę.

- Wszyscy wiemy, że tak nie jest - wtrącił Lorent. - Coś ich chroni... i to niekoniecznie muszą być zdolności Tyhrona.

- I to są właśnie głęboko ambiwalentne uczucia - westchnął Czesio.

Pozostałych troje podróżników, a także Abhisit i Danai

spojrzeli jak na zawołanie w jego kierunku.

- Z jednej strony jest tam potwornie groźny przeciwnik i negroidalne plemię z zatrutymi strzałami w pogotowiu - zaczął wyjaśniać Dybcio - ale z drugiej strony to właśnie jego obecność tam, biorąc pod uwagę, że z nami jest Yovita, powinna nas cieszyć. On jakoś przeżył i raczej nie ucieka w popłochu przed nikim. Dzieciak pewnie by to wyczuł.

- Ile będziemy musieli sami przepłynąć? - spytał z kolei Kapłan Abhisita.

- Około dziesięciu mil - odparł marynarz. - Mała łódź motorowa, którą przygotowaliśmy, powinna tam dotrzeć za... niecałą godzinę.

- Kiedy nas usłyszą?

- Ja bym zaczął wiosłować już kilometr od brzegu - zaproponował Dybcio. - Wzburzone morze świetnie by nas ukryło, ale teraz jest spokojne. Dźwięk, zamiast się załamywać, będzie się rozprzestrzeniał po wodzie.

- Co teraz, dzieciaku? - spytała rzeczowo Yovitę Kimura.

- Teraz... - nagle roześmiał się jak dziecko. - Kąpiel!

W sekundę przesadził barierkę i, tak jak stał, wskoczył niemal idealnie ułożony do wody, że na de poszumu morza było to prawie bezgłośnie.

- Nieźle - przyznał Dybcio.

- Następny szpaner - mruknęła pod nosem Haiku. - Delfin się znalazł.

Chłopiec na długo zniknął pod wodą. Wreszcie pojawił się co najmniej pięćdziesiąt metrów od łodzi.

- Matko Boska... jak on pływa! - zachwycił się Czesio.

- Do czegoś mu służą te trzy płuca - prychnęła Yasuko. - Co

robimy, Krzysztof?

- Zbieramy się. A on, jak skończy, będzie w idealnej formie. Wypoczęty, schłodzony. Nie pospieszajcie go. Niech pływa, ile chce.

- Mam się ubrać do rozpiarduchy? Trochę gorąco...

- Musimy. Na pocieszenie ci powiem, że też biorę nocny strój.

- O pierwszej po południu? Dla mnie, Yasuko, możesz być w bikini – zgodził się uprzejmie Dybcio.

- Dziękuję – rozchyliła usta w złośliwym uśmiechu Haiku. – A broń będziesz oczywiście ty nam niósł?

- Czesiu – Kapłan starał się być cierpliwy – ty możesz być półnagi. Może to nawet stworzy odpowiednią atmosferę powitalną.

Zgasili silnik. Niecałe tysiąc metrów przed nimi wyspa – wyrastała z morza jak samotny, nietknięty cywilizacją dziki rezerwat. Teren był dość płaski, z niewielkimi wzgórzami w głębi. Brzeg oddzielał od dżungli zaledwie cztero-, może pięciometrowy pas piasku. Na plaży nie było żywej duszy.

Na morzu ciężko się w jakikolwiek sposób ukryć, więc czworgu śmiałkom nie pozostało nic innego, jak tylko wyjąć wiosła i liczyć na szczęście. Chłopiec od pewnego czasu milczał, absolutnie skupiony na wyspie. Nikt mu nie przeszkadzał. Jednak gdy zaczął cicho do siebie szeptać w nieznanym nikomu z obecnych języku, Krzysztof poprosił Dybcia, żeby ten zaczął wiosłować, a sam przeszedł na dziób, gdzie tkwił dzieciak.

- Yovita... – zaczął spokojnie Kapłan. – Czy wiesz, po co tu przyплыliśmy?

- *Wiem. Wiem wszystko. Teraz tylko zaufaj* — Yovita jakby mówił w dwóch kierunkach. Wypowiadał dziwne słowa, szepcząc coś na głos, a jednocześnie przesyłał do umysłu Lorenta silny sygnał. Tak silny, że wyczuła go nawet Yasuko.

- *Co mamy robić?* - Kapłan zamilkł i skupił się na chłopcu.

- *Teraz popłynę sam. Szybko. Nie lękajcie się. On tutaj mnie nie skrzywdzi.* - Nagle urwał i zaczął jakby inaczej. - *Dopłynicie, a cokolwiek się stanie, będzie tym, co ma się stać. Tu każdy z nas znajdzie ścieżkę i każdy znajdzie swój dom. Ty jesteś Mądrym Drzewem stuleci, tego, jak wielka jest moja wdzięczność, nie umięją wyrazić żadne słowa. Teraz ty, Piękna Siostra Twojego Smutku oraz Człowiek Wiedzy już mogą śpiewać do bogów w dalekim niebie... Ich sen się skończył. ..*

Yovita powoli opuścił się z łodzi do wody i nagle zniknął pod falami, które w miarę przybliżania się do brzegu stawały się większe. Morze wciąż jednak było spokojne, a garby wody nie przekraczały metra.

- To nie on - zaczęła szybko oddychać Yasuko. - Ale to ktoś naprawdę silny.

- Jego matka - odparł spokojnie Kapłan. - Jest w pobliżu. Opiekuje się nami.

- Pogadaliście sobie z małym na migi? - spytał trochę wystraszony Czesio. — Nie znamy laski, ale skoro nadał, że macie jej zaufać...

- Inaczej to wszystko nie miałoby sensu.

- Patrzcie! - Czesio wskazał na brzeg, gdzie właśnie z morza wychodził Yovita. - Lepiej było wystawić go na igrzyskach i zebrać kasę - uśmiechnął się, dodając sobie otuchy.

- Pływa rzeczywiście jak delfin - szepnął Krzysztof.

Yovita zniknął z plaży tak błyskawicznie, jakby był

przywidzeniem.

- Zużywa energię - zaniepokoiła się Yasuko.

- Nie. Ochłodziła go woda. Zaufajmy jego matce i jemu. I róbmy, co mamy robić.

- A co mamy robić? - spytał rzeczowo Czesio.

- Płynąć.

Plaża była pusta, ale tylko dla niewprawnego obserwatora. Przybysze wyskoczyli tuż przy brzegu i wciągnęli łódź tak, by nie zabrało jej morze.

- Dobrzy są - przyznała z szacunkiem Yasuko. Zmrużyła powieki, przygotowując się do walki.

- Gdzie? - spytał roztrzęsiony Dybcio.

- Wszędzie... - Kapłan głęboko nabrał powietrza.

W idealnej ciszy jak czarna ściana wyłoniła się zza drzew tyraliera tubylców z przygotowanymi do strzału lukami.

Ostrza grotów skierowane były jednak w dół.

Szli w jednym rzędzie w ich stronę. Kompletnie nadzy, z kamiennymi, posągowymi twarzami, niewyraźnymi ani strachu, ani nawet zaniepokojenia.

Yasuko uklękła na ziemi i zmówiła szybko modlitwę wojownika.

- *...teraz, gdy przyjdzie zginąć, niech nakarmi mnie mądrością ci, których miecz nie opuścił, gdy zakwitła wiśnia* - usłyszał końcówkę Kapłan.

Haiku wolnym ruchem wydobyła zza pleców miecz.

Czarni wojownicy podnieśli łuki ku górze.

- No i co teraz? - spytał prawie spokojnie Czesio, osuwając się na kolana.

- Uá... - Krzysztof również uklęknął - schowaj miecz...
- Nie chcę tak... - odparła twardo Japonka.
- Nikt tu nie zginie. To jeszcze nie koniec, schowaj miecz!
- Takie masz przecucie?!
- „Co ma się stać, niech się stanie”, pamiętasz?
- Pamiętam. I właśnie się stało. Mamy zginąć. A jeśli fak ma być, zginę tak, jak podpowiada mi natura.
- Nie. Bo każdy ma tu znaleźć swoją ścieżkę!
- Przykro mi. Nie umiem „śpiewać do bogów”!
- Umiesz. Czasem lepiej niż ja. Teraz podaruj sobie lekcję pokory... Proszę, schowaj miecz...

Haiku chwilę tkwiła w bezruchu. Ucałowała stal i podobnie nabożnym, wolnym, jak uprzednio go wyjęła, ruchem teraz umieściła z powrotem w *umuri*.

Wojownicy natychmiast opuścili łuki.

- Działa! - szeptem, ale niemal wykrzyknął Dybcio.

Kapłan powoli wstał. Za nim reszta.

Na czoło szeregu wyszedł zza pleców swoich współplemieńców wysoki, obwieszony kolorowymi roślinami przywódca, może czarownik. Nie miał łuku, ale trzymał w prawej dłoni wyższą niż on sam, przepięknie wyrzeźbioną włócznię.

Nagle zaczął wyraźnie i głośno śpiewać, aż wreszcie wskazał przybyszom kierunek w głąb wyspy.

- Słuchaj starszych, dziecinko - mruknął do Yasuko zgryźliwie Lorent.

- Dokończymy tę rozmowę w garnku z zupą. Wtedy może strzelisz jakąś kolejną mądrość.

Zaczęli iść w tym kierunku, który wciąż wskazywali im

wojownicy. Weszli na wydeptaną ścieżkę między palmami, namorzynami, drzewami tekowymi oraz pnączami gęstej roślinności o różnych odcieniach zieleni i brązu. Piękno tego miejsca po pewnym czasie rozbroiło nawet Haiku, co postanowiła uczcić zakończeniem kłótni z Krzysztofem.

Dybcio poczuł w sobie kompletnie niezrozumiałą rzecz. Przestał się właściwie zupełnie bać. Wiedza, która garnęła się do niego w tym miejscu całymi garściami, wprawiła go jakby w półsen. O Edenie... o nieznanym przygodzie zza horyzontu, w świecie, którego nawet nie mógł sobie wcześniej wyobrazić. O tym, co styka się z mistyką tak namacalnie, że strach przestaje mieć rację bytu. Jedyne, co powinna robić teraz istota, której natura dała życie i świadomość, to... czekać na każdą następną chwilę.

Szli nieco ponad dwadzieścia minut. Na niewielkim wzgórzu, gdzie dach lasu był jeszcze gęstszy niż do tej pory, stała przygotowana na przyjęcie gości starszyzna. Pośrodku pięciometrowa, ponura, ogromna rzeźba nieznanego bóstwa górowała nad otoczeniem. Przedstawiała postać podobną do człowieka, w szacie sięgającej stóp, ale z głową zwierzęcia przypominającego lamparta z nadnaturalnie wielkimi oczami.

Najbliżej posągu stał potężny biały człowiek w czarnym, jak można było się domyślić – rytualnym – stroju. Obok tkwił z zaciśniętymi mocno ustami i z trudem skrywaną nienawiścią w oczach Xavril Ganti. Lekcje nauczyciela, jak widać, wciąż nie zmieniły aurelity.

Yovity z pewnością tu nie było.

- Jak się domyślam... Tyhron? – rzekł spokojnie Lorent.
- Tak, Kapłanie – odezwał się potężnym basem olbrzym.
- Jesteś tutaj bogiem? – spytała hardo Haiku.

- *Jest tutaj więźniem* - Krzysztof i Yasuko usłyszeli Yovitę w swoich głowach.

- Tak - potwierdził Tyhron. - Jestem tu więźniem.

- Czego od nas chcesz? - spytała znowu Kimura.

- To proste. Wolności. Dacie mi ją, albo skazę was na śmierć.

- Jak? Przecież umiesz się stąd wydostać, nawet do Europy!

- Wasz cały świat to więzienie. Życie jak lalki o wszczepionych tępych umysłach. Wasza ewolucja okazała się tylko ułudą, daną niezaradnym istotom, by mogły rządzić planetą.

- A może tak trochę konkretniej - poprosiła sarkastycznie Yasuko. - Stajesz się pretensjonalny i nudny. Ganasz po całym świecie dzieciaka, który ci nic nie zrobił, aż wreszcie dobrowolnie wracasz do, jak to określiłeś - więzienia.

- Yovita nie jest dzieckiem! - huknął potężnie Tyhron. - Jego moc przerasta nas wszystkich! Kiedy osiągnie dorosłość, będzie w stanie zniszczyć dowolne życie. Oba nasze światy! Uwięziono mnie tu, bym nie mógł temu zaradzić. Ale tym, którzy walczą u mojego boku, udało się przebić dzielący nas mur i dać mi szansę. Yovita niemal cudem znalazł się tutaj. A mnie zabrakło tak niewiele, by go zgładzić. Ten, przez którego tu jestem, nagle sam stał się więźniem. Tu... - pokazał na posąg - gdzie ocalały jedyne drzwi ku wolności...

- Przybył tu z własnej woli. My też - zauważył Kapłan. - Choć nadal nie wiemy, co nas tu ściągnęło.

- Vilestea - odparł spokojnie Tyhron, podchodząc do Kapłana. Był od niego wyższy co najmniej o głowę. - Matka Yovity. Potężny umysł, ale niezdolna do panowania nad czasem i tym miejscem. A co najważniejsze - nad Yovitą. Do tego zresztą nikt nie jest zdolny. Więc teraz we własnym więzieniu

będę strażnikiem, a każdy, kto zbliży się do Bramy, zginie. Albo staniecie po mojej stronie, a wtedy Yovitę pokonamy bez trudu, albo zginiecie.

– Wtedy będziesz wolny? – spytał Kapłan. – Kiedy on zginie?

– Lub jeśli przekonacie go, by otworzył przede mną Bramę – wskazał na rzeźbę. – Ale jeśli będzie uparty, niech ginie. Moja sprawa wtedy zwycięży.

– Za co gwarantujesz, koleś? – spytał odważnie Czesio. Ale chwilę później, gdy tylko poczuł, że Tyhron stara się wejść do jego umysłu, ostrożnie wycofał się za plecy Lorenta.

– Wybierajcie! – rzekł spokojnie olbrzym, ignorując pytanie Dybcia.

Krzysztof spojrział na Gantiego.

– A ty, Xavril? Dlaczego jesteś po jego stronie? Dlaczego zabijałeś ludzi z naszego świata, przez co zdradziłeś już po raz drugi w swoim życiu.

– Nie rozumiesz, Kapłanie?! Ty, umysł o takiej potędze, i nie widzisz, jak jesteśmy mali, szarzy? Skoro nie mogę być największy, niech przynajmniej będę potępiony! – Ganti wyjął miecz. – On dał mi siłę, o której nawet ty nie możesz marzyć. Jestem teraz potężniejszy także od ciebie!

Tyhron odsunął się na bok. Xavril ruszył z impetem na Lorenta. Krzysztof ledwo uniknął pierwszego ciosu, ale błyskawicznie wyjął swoją broń. Ganti był potwornie szybki. Nagle, przez ułamek sekundy, świat jakby zatrzymał się na chwilę. Tłum wojowników zaczął ponuro śpiewać dziwną, przygnębiającą pieśń.

– To hymn walki, dla wojowników – wyjaśnił Tyhron, ale Kapłan słyszał jego słowa wypowiedane dziwnie przeciągle, jakby głos nagrany był na starą taśmę magnetofonową, która

teraz zwalniała.

- Yovita... - szepnął.

- *Tak?* - usłyszał jak zawołanie w swoim umyśle.

- *Jak mam walczyć, aby go nie zniszczyć?...*

Zanim Xavril ponownie uderzył, jego postać znowu stała się wyraźna. Jednak śpiewający dookoła tłum tubylców wciąż brzmiał tak, jakby ich świat zwolnił, a on, niezależnie, wyrwał się i stanął gdzieś na zewnątrz, gdzie realny był tylko Ganti.

- *Już nie zdążysz, Mantu... Dla niego jest za późno.*

- *On tylko błądzi.*

- *Odbiera innym życie...*

Lorent odbił kilka ciosów. Starał się tylko bronić. Xavril atakował z furją, ale choć Kapłan się cofał, Ganti nie umiał mu zagrozić.

- *Jeśli kogoś zabijasz, zabijasz cały jeden świat...* — Lorent, mówiąc to do Yovity, czuł, jakby chłopiec był tuż przy nim.

- *Więc chroń życie... To najważniejsze... Ale to, które chce żyć...*

- *Jego dusza błądzi teraz w ciemnościach...*

- *Cokolwiek zrobisz, będę przy tobie...*

Kapłan odbił jeszcze jeden atak i wytrącił miecz Gantiemu. Aurelita rzucił się na ziemię po broń, ale Lorent ranił go w prawy nadgarstek, a ułamek sekundy później - w lewy. Klęczący Xavril spojrział w oczy Kapłana. Wszystko dookoła zaczęło znowu przyspieszać, aż wreszcie wróciło do normy.

- *Dlaczego?!?! - krzyknął Ganti w rozpacz, odwracając się do Tyhrona.*

- *Nie jesteś godzien, aby go zabić - odparł zimno olbrzym. - Jesteś tylko... lalką...*

- Obiecał ci, że będziesz mógł mnie pokonać - Krzysztof spojrział mu głęboko w oczy, gdy tylko Xavril znów zwrócił ku niemu twarz. - Odejdź od Tyhrona. Nie pozwól mu zatruć do końca swojej duszy.

Ganti ciężko oddychał. Wreszcie z jego płuc wyrwał się przeraźliwy krzyk:

- Neeeeee!!! - aurelita zerwał się z ziemi, porwał miecz i podbiegł do posągu. Zamachnął się, ale zanim dopadł go grad strzał Sentinelczyków, niezwykle, oślepiające nawet w dzień światło, które zaczęło promieniować z oczu wyrzeźbionego boga, poraziło go śmiertelnie. Aurelita stanął w płomieniach, ale nim upadł, już nie żył.

Haiku zachowała kamienną twarz, ale Dybcio swoją zasłonił, powstrzymując torsje.

- Yovita medytuje teraz czołem do Słońca na wzgórzu Sisa - mówił dalej chłodnym tonem Tyhron. - Może pomóc ci w walce, Kapłanie. Ale nie ochroni cię przed strzałami tego ludu. Nawet ty nie znasz ich języka, bo oni mówią językiem naszych przodków. I nie znają nikogo oprócz takich jak Yovita i ja od setek tysięcy lat. Na mój rozkaz zgładzą was wszystkich, kiedy tylko tego zażądam. Nie opieraj się. Stań po mojej stronie!

- Ty wciąż nie rozumiesz, mięśniaku, że nigdy tego nie zrobimy! - nie wytrzymała Haiku. - Jesteśmy Kapłanami Wiedzy. Żyją w nas całe pokolenia. A ty kogoś takiego namawiasz do pospolitej zdrady! Obrażasz nie tylko Strażników Wiedzy, ale także tych ludzi - wskazała na wojowników - nieświadomych tego, kim naprawdę jesteś!

- Zatem wybraliście. A Yovita bez was jest bezradny i nie ucieknie już przede mną.

Luki podniosły się na wysokość piersi Sentinelczyków.

- Chyba mamy ostro przechłapane, ten anabol ma nie po kolei pod beretem... - jęknął Czesio.

- *Biegnij w stronę posągu, Mantu. Biegnij w stronę posągu, Yasuko. Biegnij w stronę posągu, Czesiu...*

- To do mnie? - szepnął zdezorientowany Dybcio. - Mam coś w głowie!

- Zamknij się, idioto! - syknęła Yasuko. - To Yovita, skup się na tym, co mówi.

- *Zaufajcie mi i biegnijcie jak najszybciej... Teraz!*

Ruszyli błyskawicznie, ale tym razem nawet Kapłan i Haiku stracili z oczu niemal wszystko oprócz posągu, który otworzył się niczym drzwi szafy Digory ego Kirke'a. Zamazany obraz wojowników zatrzymał się jak na stopklatce i tylko wydobywający się z gardła Tyhrona przeraźliwy krzyk zawisł gdzieś nad ich głowami.

- Yovita!!!

Ale i on, choć próbował, nie zdołał ich uprzedzić. Jego okrzyk był tak potężny, że ptaki z okolic kilkuset metrów zerwały się do lotu. Tego jednak cała trójka już nie widziała. Dostrzegli jedynie, jak biała smuga, która lekko otarła się o ramię Yasuko, pojawiła się znikąd i zniknęła w posągu tak szybko, że nawet czas, w którym przez ten ułamek sekundy się znajdowali, nie był w stanie temu sprostać. Gdy wyglądało na to, że rozbiją się o wnętrze rozstąpionej rzeźby, poczuli nagle, że jakaś niezrozumiała siła wciąga ich pod ziemię. Jakby magnetyczny odkurzacz porwał ich z całą swoją niezrozumiałą mocą. Wreszcie wylądowali na idealnie śliskiej powierzchni, pochylonej ostro w dół, którą zjeżdżali kilkaset metrów, aż zatrzymali się na nieskazitelnie białej podłodze z nieznanego im materiału.

Pomieszczenie było bardzo duże, w kształcie idealnego sześcianu. Nigdzie nie dostrzegli lamp ani żadnego innego oświetlenia, a jednak było całkowicie jasno. Nie zauważyli też żadnych drzwi, a „zjeżdżalnia”, którą tu trafili, zniknęła za zamykającym się nad nimi sufitem. Pierwsza podniosła się Haiku. Nie była specjalnie poobijana, ale nie mogła pozbyć się nagłych, silnych zawrotów głowy.

- Ale mi łeb napieprza - jęknął Czesio.

Kapłan chwycił palcami za skronie i starał się zrobić cokolwiek, co umożliwiłoby mu podniesienie się z podłogi.

Kilka metrów przed nimi leżał Yovita, nie dając znaku życia.

- Dzieciaku!!! - wrzasnęła Yasuko i podbiegła do niego, ale natychmiast straciła równowagę i upadła tuż przy nim.

- Nie krzycz tak... - szepnął z wysiłkiem chłopiec, otwierając oczy. - Tu nie ma okien ani innych otworów. Ogłuchniemy przez ciebie.

Japonka podczołgała się trochę i objęła go mocno.

- Już myślałam, że tym razem przesadziłeś! - burknęła groźnie, gdy wycalowała go po głowie.

- Bo to prawda - przyznał dzieciak. - Nigdy jeszcze nikogo ani siebie tak nie przyśpieszałem... Ale inaczej nie zaskoczyłbym Tyhrona. Nie wiedział, że potrafię być tak szybki.

- Jak z tobą?

- Nie najlepiej, ale w tym miejscu jestem bezpieczny.

Moja mama zaraz tu będzie. Jest na tyle silna, że na wyspie cały czas mogła być ze mną.

- Poważka?! - Czesio zaczął zbierać się z podłogi. Zawroty głowy powoli mijały. - I zaraz tu będzie?

- Holograficznie.

- Ha! - ucieszył się Dybcio. - My też znamy holografię. Ale taką na odległość... to na razie tylko w filmie.

Krzysztof również już wstał i rozmasowywał sobie skronie.

Yovita zamknął oczy.

- Nie odpływaj, dzieciaku, zostań z nami! - potrząsnęła nim Haiku.

- Nigdzie nie odpływam - mruknął chłopiec. - Staram się trochę odpocząć. Jak będziesz mnie szarpała, to w końcu mnie zabijesz.

- Tyhron nie jest w stanie tu wejść? - spytał wciąż nieco zszokowany Lorent.

- Nie - usłyszeli niespodziewanie kobiecy głos.

Dybcio aż podskoczył z wrażenia. W rogu, dwadzieścia metrów od nich, zaczął pojawiać się hologram kobiety. Najpierw niewyraźny, później coraz bardziej jasny i czytelny. Kobieta była dość tęga, wyglądała na miłą i sprawiała wrażenie, jakby „widziała” wszystkich w pomieszczeniu. Uśmiech i rysy twarzy nie pozostawiały złudzeń, kim jest. Siedziała w wygodnym fotelu w miejscu przypominającym biuro.

- Mama! - ożywił się na chwilę Yovita, ale po kilku sekundach znowu stracił siły.

- I tak możemy sobie pogadać, proszę pani? - spytał dla porządku Czesio.

- Nazywam się Vilestea. Możemy porozmawiać - uśmiechnęła się do nich, ale chwilę później spojrzała z niepokojem na chłopca. - Synku, leż spokojnie, zaraz wszystko przygotujemy.

- Czy nic mu nie będzie? - spytała Yasuko.

- Nie. Ale jest bardzo wyczerpany. Potrzebuje odpoczynku.

- Może tu jest jakaś woda?

- To w tej chwili zbyteczne. Klimat pomieszczenia, w którym teraz się znajdujecie, zapewnia mu dobre warunki. Po takim skoku w czasie, jaki właśnie przeżyliście, na powierzchni bylibyście nieprzytomni przez długie godziny.

- No, dał trochę przeciągu mały - przyznał Dybcio. - Szacun na całego.

- Musicie przez chwilę pobyc w tym miejscu, żeby się zregenerować - wyjaśniła Vilestea. - Mój syn również. Inaczej nie byłby w stanie wrócić.

- Zabierasz go? - spytała Yasuko.

- To konieczne. Widzisz, że ma organizm, który jest nieprzystosowany do życia u was - kobieta tłumaczyła cierpliwie, spokojnie i przyjaźnie.

- Kim jesteście? - spytał wreszcie Krzysztof. - Skąd jesteście?

Vilestea ponownie uśmiechnęła się uprzejmie. Zastanowiła się chwilę, ale wreszcie skinęła głową i zdecydowała się spróbować wytłumaczyć.

- Jesteśmy stąd, skąd wy - przerwała na chwilę. - Jesteśmy z Ziemi. Tej co wy, tylko... - znowu na chwilę przerwała. - Z pewnością znacie prace Alberta Einsteina?

- Zdecydowanie znamy - obruszył się Dybcio. - A przede wszystkim znamy jego życiorys. Był z naszego świata!

- Wiem - roześmiała się z wyraźną sympatią do Czesia. - Znam twoją wiedzę. Nie jesteś tu przypadkowo. Mój syn prosił, byś z nim pojechał.

- Nie ma sprawy - machnął ręką Dybcio. - Podróż była naprawdę... jak by to powiedzieć... nie do zapomnienia.

Czesio nie ukrywał jednak zdziwienia, skąd laska tyle o nim

wie.

- Życie w jakimś równoległym świecie? - dopytał natychmiast.

- Nie. Światy równoległe są ze sobą związane - odpowiedziała Vilestea. Widać, że w tej dziedzinie poruszała się swobodnie. Krótko mówiąc, była zawodowcem. - Według kilku dość poważnie traktowanych teorii waszych i naszych naukowców, na przykład Hugh Everettta, w każdej z mijających chwil tworzą się światy równoległe, czyli inne wersje przyszłości. Nie mamy możliwości ich poznać, bo gdybyśmy chociażby do jednej z nich jakimś cudem dotarli, ta wersja stałaby się znów nasza. Krótko mówiąc: światy równoległe to po prostu inny wariant zaczętego w tym samym punkcie rozwoju wypadków.

- To prawda - przytaknął Dybcio.

- No właśnie. Natomiast nasze dwa światy nie są ze sobą związane i rozpoczęły swoją historię niezależnie.

- Jak to możliwe?

- Wszystko we wszechświecie jest względne, prawda?

- Oczywiście. Nie można określić żadnego ruchu bez punktu odniesienia.

- Ale ruch odbywa się bez przerwy, a z nim związany jest przepływ czasu.

Dybciovi spodobała się kobieta już kilka zdań temu. Wreszcie jest ktoś, kto kuma w mig wszystko, co się do niego mówi.

Kapłan i Haiku usiedli przy Yovicie, żeby go obserwować. Wiedzieli, że Czesio w tym akurat momencie jest najwłaściwszą osobą na najwłaściwszym miejscu. Przysłuchiwali się z ciekawością i jak zasugerowała Vilestea - regenerowali się.

- Tyle tylko — dopowiedział Dybcio - że prędkości są tak małe, iż w ciągu całego życia to nie ma znaczenia.

- Właśnie.

- Dla ludzi lecących samolotem czas płynie minimalnie szybciej niż dla tych na ziemi... i tak dalej. Jednak w kontekście na przykład osiemdziesięciu lat, czyli średniej życia człowieka, to kwestia ułamków sekund.

- Nawet jeśli nieco więcej i tak nikt by tego nie zauważył - pomogła Vilestea. - Sprawy trochę by się po- komplikowały, gdyby prędkości były większe, a ciała mogły się poruszać z szybkością bliską światła.

- Dlatego większość filmów science fiction jest la- musiarska. Tam ciągle skaczą w jakąś „nadświatlną” i reżyserzy nie wpadają na to, że czas ulega wtedy radykalnemu przyśpieszeniu. Na przykład młodsza siostra kapitana statku kosmicznego, do której wróciłby po takim wypadzie, stałaby się dawno staruszką.

- Racja. Ale wyobraź sobie taką sytuację. Wiadomo, jesteś ciałem, dla którego czas płynie liniowo, a dla wszystkich, którzy cię otaczają, czas płynie jednak troszkę wolniej lub szybciej.

- O miliardowe części sekundy... tak. Poruszamy się z różnymi prędkościami względem różnych punktów.

- A wyobraź sobie, że nagle... się zatrzymujesz. Czas, powiedzmy nawet, że zbiór czasów całego znanego ci świata, płynie normalnie, a twój zatrzymuje się w miejscu. Co wtedy będzie?

- To niewyobrażalne...

- Ale możliwe — pokiwała głową Vilestea. - Nie mogą istnieć dwa ciała w tym samym miejscu i w tym samym czasie.

- Zgadza się.

- Ale jeśli zmieniłby się czas... sprawa zaczęłaby wyglądać inaczej.

- Matko Boska... rozumiem.

- Żyjemy w tym samym miejscu co wy - podsumowała Vilestea. - Tylko o jakieś... pięć minut wcześniej. Mniej więcej.

Nawet Kapłan i Haiku, gdyby chcieli teraz coś powiedzieć, głos uwiązłby im w gardle.

- Zaczęliśmy jak wy - kontynuowała kobieta. - Tak samo powstało u nas życie, choć skąd... ani wy jeszcze tego nie wiecie, ani my nie wiemy. Może to sprawa Boga, może przypadku. Mamy to samo Słońce i planety dookoła, ale... pięć minut wcześniejsze - uśmiechnęła się Vilestea. - Nie zaczęliśmy z tego samego punktu, ale bardzo podobnie. I jak widać, osiągnęliśmy podobne wyniki. Nasza ewolucja przebiegła trochę inaczej niż wasza, ale w tych warunkach, na tej planecie niewiele możemy się różnić. Jesteśmy ludźmi, jak wy, żyjącymi w otoczeniu roślin i zwierząt. Różnimy się od siebie budową. Jesteśmy bardziej wytrzymali, silniejsi, mamy potrójne systemy narządowe w organizmie, ale żyjemy krócej. Mamy szybsze tętno, gęstszą krew, wyższą temperaturę. Tu wygraliście. Życie średnio o dziesięć lat dłużej. My wykształciliśmy różne sposoby komunikacji, nie tylko werbalny. Wy też mieliście takie możliwości, ale wasza ewolucja zdecydowała inaczej. To też mógł być przypadek. Przeważnie porozumiewamy się pojęciami zbliżonymi do tego, co wy nazywacie telepatią. To oczywiście duże uproszczenie. Wy pozostaliście przy słowach. My też mówimy, ale rzadziej. Yovita niemal nie używał do tej pory słów. U nas osoby wyżej wykształcone werbalizują o wiele rzadziej niż ludzie prości. A jak wiecie, mój syn... należy do osób bardzo niezwykłych.

- To on nie jest taki jak wy wszyscy? - teraz roześmiał się Dybcio.

- Mówiłam - odpowiedziała z uśmiechem Vilestea - jesteśmy podobnymi organizmami jak wy. Nikt tu nie przenosi się w czasie. Nikt nie fruwa w powietrzu... Ale istnieją ludzie, którzy są wyjątkami. U nas... i u was. Przykład masz za sobą. Kapłani Wiedzy od tysięcy lat rodzą się w waszym świecie. Nieodkryci, czasem niezrozumiani, samotni, ale niezwykli. Wiemy o nich od dawna. Nasi przodkowie spotykali się z waszymi od starożytności. W wielkiej tajemnicy. Wiedziała o tym tylko grupa wtajemniczonych osób.

- Za pośrednictwem tego miejsca? - spytał Dybcio.

- Było wiele takich miejsc. Ale to jest dziś najbezpieczniejsze. Prócz Sentinelczyków nikogo oficjalnie nigdy tu nie było.

- To jest jakiś ośrodek naukowy, który ma coś w rodzaju korytarza między naszymi światami? - Czesio rozejrzał się dookoła.

- Nie. Jesteście w miejscu służącym do regeneracji, ale... blisko takiego korytarza.

- Jak go stworzyliście?

- To nie my. I nie wiemy kto. Ale na długo przed pojawieniem się człowieka na ziemi. I u was, i u nas. My tylko go odkryliśmy i nauczyliśmy się z niego korzystać. Zresztą było to okupione wieloma ofiarami.

- Kto mógł to zrobić na ziemi pełnej nieświadomych tego zwierząt?! Gdzie nikt nie kapował, o co chodzi?! Po co?

- Nie wiemy. I pewnie tak już zostanie. Ale jak mówiłam, od tysiącleci utrzymujemy kontakty, szczególnie z waszymi Kapłanami Wiedzy. Wymieniamy się informacjami, zaszczeplamy w ich niezwykłej pamięci nasze ślady. Dzielimy

się odkryciami. Wy odwiedzacie nas, my was.

– Dlaczego powiedziałaś, że okupiliście to ofiarami?

Kobieta poprawiła się na fotelu.

– Setki lat temu nie wiedzieliśmy, że podróżować w ten sposób mogą tylko bardzo nieliczni. Inni giną w koiytarzu, rozsypując się na miliardy komórek. Dlatego odwiedzamy się dość rzadko. Mimo że teraz wiemy, jak to badać i jak odkrywać takie możliwości.

– Jak wielu jest takich ludzi? – zadał oczywiste w tej sytuacji pytanie Dybcio.

– Średnio... jeden na milion – odpowiedziała Vilestea. – Ale najgorsze jest to, że taki człowiek nie zdaje sobie z tego sprawy. Trudno jest go wyłowić. A jeszcze trudniej namówić, by poświęcił się tej wiedzy i dożyłotnio dochował tajemnicy. Ale mamy wielowiekowe tradycje i organizację, która istnieje od setek lat, strzeże sekretów naszych światów i pielęgnuje przyjaźń między nami.

– To tacy ludzie jak Yovita?

– O nie... – znowu roześmiała się Vilestea. – On jest tak wyjątkowy jak wy, Kapłani. I tak samo unikalny. Yovita nie tylko może podróżować korytarzem. On sam... potrafi zaginać czasoprzestrzeń, co jest niewiarygodne nawet dla nas. W przyszłości możliwe, że wykształci w sobie umiejętność przeskoku z jednego świata do drugiego. Jeśli już wiemy z dokładnością do miliardowej części sekundy, ile wynosi różnica czasowa naszych cywilizacji, to właściwie możliwe.

– Może tych światów jest nieskończona ilość?

– Może. Ale my wiemy tylko o dwóch. Nie ma nawet najmniejszych śladów świadczących o innych.

Dybcio dość głośno westchnął.

- Może dwie minuty później, może trzy, żyją fajniejsi goście niż my i Tyhron. Może są w stanie nauczyć nas znacznie więcej?
- spytał zachęcająco.

- Mamy tylko ten korytarz, a nikt oprócz takich jak Yovita nie jest w stanie sam podróżować. Zresztą w tej chwili nawet mój syn tego nie potrafi. A ja nie będę go namawiała, by celował w niewiadomą pustkę czasową. Trzeba się pogodzić z naszymi ograniczeniami. Zresztą on ma tylko szesnaście lat!

Yovita czuł się z minuty na minutę lepiej. Przed chwilą usiadł i z zainteresowaniem przysłuchiwał się matce.

- Kim jest Tyhron? - spytał wreszcie Lorent.

Vilestea westchnęła głęboko.

- Mógł być wielki. Miał dar podobny do daru Yovity. Był wychowywany wśród ludzi wtajemniczonych w sprawy, o których wam opowiadam. Potem należał do organizacji, która tym kieruje. Najstarszej, jaką zna nasza ludzkość. Jak wszyscy, tak i my miewamy różnice zdań, ale on był zarzewiem największego konfliktu od stuleci. Nie wdając się w szczegóły... Tyhron zbuntował się przeciwko naszej więzi z wami. Uznawał waszą cywilizację za opóźnioną, gorszą i na znacznie niższym poziomie. Przez lata walczył, by zaniechano kontaktów i przekazywania wiedzy. Nie chciał dzielić się nią z wami. Ale nie to było najgorsze. Kiedy się urodził, uznano go za genialne dziecko. Był przyzwyczajony do traktowania go jako kogoś wyjątkowego. Gdy dorósł, zyskał ogromny szacunek i posłuch. Umiał w pewien ograniczony sposób, fragmentarycznie, ale jednak, panować nad niektórymi odcinkami czasoprzestrzeni. Umiał wpływać na przepływ czasowy innych osób. Tacy ludzie rodzą się u nas raz na trzysta, czterysta lat, licząc waszą miarą. I wtedy właśnie urodził się Yovita. Jak wy... Yasuko i Krzysztofie.

Powinno dzielić was kilka stuleci. A jednak zrzędzeniem losu urodziliście się w tej samej epoce. U nas okazało to się zgubne. Mój syn przewyższał Tyhrona we wszystkich niemal zdolnościach i, chcąc nie chcąc, zepchnął go na dalszy plan. A większość z nas ma, niestety, naturę jeszcze bardziej agresywną niż ludzie z waszego świata. Rządzi nimi pycha, zazdrość, żądza władzy. Tyhron podzielił nasze środowisko na dwa obozy śmiertelnych wrogów. Ten konflikt zaognił się dziesięć lat temu. Posuwano się nawet do zamachów. W jednym z nich zginął ojciec mojego syna. Spytacie, dlaczego Yovita jest tak dorosły jak na swój wiek? To nie tylko jego inteligencja. To wieczne zagrożenie, stres, jakiemu był poddawany. Mimo ochrony, którą cały czas tu ma. Ale... w końcu wygraliśmy. Tyhron został uwięziony na wyspie we wrogim sobie świecie. Taki był wyrok. Nie mógł spiskować, podburzać własnych zwolenników przeciwko swoim wrogom. Miałam nadzieję, że przestanie być groźny dla mojego syna. On z tej wyspy nie ma na razie powrotu do naszego świata. Przy wejściu jest zabezpieczenie, które zniszczy każdego, kto zbyt blisko podejdzie, tak jak dzisiaj tego aurelitę. Jest mi przykro z powodu jego śmierci. Ale nasze prawo mówi jasno: przejście jest otwierane tylko na wniosek Rady. Bardzo rzadko. Jak widzicie, nawet obyczajowość mamy podobną do waszej. Mamy swoje organizacje, stowarzyszenia, rady... na co dzień pracujemy, żyjemy w rodzinach – Vilestea przybrała poważniejszą minę.

– Przeszkadzał wam, więc podrzuciliście go nam?! – spytała nieco zbulwersowana Haiku.

– Niezupełnie tak jest. Z tej wyspy nie ma właściwie ucieczki. Tyhron był tu uwięziony bardzo długo. Uciekł dzięki niezwykłemu zbiegowi okoliczności. Trudno mi nawet o tym

mówić.

- Znalazł sobie pomocników. Nauczył się reguł. Podrzuciliście nam zabójcę!

Vilestea spuściła wzrok.

- Być może to był błąd. Ale wiedzcie, że w waszym świecie on jest bardzo ograniczony. Musi często schładzać organizm, jest osłabiony waszym klimatem, poza tym ucieka od waszej cywilizacji i nie chce mieć z nią nic wspólnego. Zwerbował aurelitów, bo pragnie wrócić tutaj. Do tego usiłował użyć Yovity. Mój syn zna kod, dzięki któremu otworzył drzwi do miejsca, gdzie się teraz znajdujecie.

- Znowu na odległość? – zainteresował się Dybcio.

Vilestea ponownie się roześmiała. Wyraźnie była tematem telepatii rozbawiona.

- To nic wielkiego. Nie dziwicie się istnieniu fal radiowych, telewizyjnych, a dziwicie się istnieniu i kształtowaniu fal mózgowych?

- Kiedy zorientowałaś się, że Yovita jest zagrożony, wszczepiłaś mu te informacje, których użył, żeby dotrzeć tutaj?

- To było bardzo dawno temu. Ten plik miał się uaktywniać w określonych sytuacjach. To dość skomplikowane i trudne do wytłumaczenia. Umieściłam to w jego umyśle, gdy miał dziesięć lat, a ja dysponowałam wiedzą o was i dość szeroką znajomością waszego świata. No i oczywiście opierałam się na wiedzy i przewidywaniu tego, co go może spotkać, gdy jakimś cudem zagrożą mu wrogowie. Jak widać, miałam sporo racji. Nie myliłam się także co do tego, jak spróbują go podejść i zmylić strażników, którzy go chronili.

- Chyba nie każdy to u was potrafi? To znaczy dać dziecku to, co ty mu dałaś.

- Na poziomie podstawowym raczej nie stanowi to dla nas trudności. Mówisz córce, co ma kupić w sklepie, i wkładasz jej to do mózgu. Dla was to trochę egzotyczne, a u nas to codzienność. Ale skomplikowane wzory wymagają nadzwyczajnej wiedzy i... możliwości umysłu. Przyznaję, oboje pochodzimy z dość wyjątkowej rodziny. Nie mam zdolności Yovity, ale jestem specjalistką w dziedzinie, o której mówimy. Jestem tu kimś... w rodzaju profesora, mówiąc waszym językiem, wyspecjalizowanym właśnie w kodach mózgowych. Trochę to wykorzystałam w celach prywatnych, ale... nie ogłaszajcie tego w gazetach - roześmiała się.

- Już biegniemy - mruknęła Yasuko.

- Robicie podobne rzeczy, tyle że sztucznie. W komputerach. My... bardziej naturalnie.

- Tia... - skrzywiła się Kimura. - Mała różnica.

- A więc próbowano już wcześniej zabić Yovitę? - spytał Kapłan.

- Nie mogę o tym mówić.

- Mama przesadza z tymi tajemnicami - szepnął dzieciak na ucho Lorentowi. - Jasne, że Tyhron chciał mnie zabić.

- Teraz już jest trochę bardziej bezpieczny - kontynuowała Vilestea.

- Trochę... - mruknęła pod nosem Haiku.

- Tyhron był świetnym naukowcem - ciągnęła Vilestea. - Szkoda, że tak zniszczył sobie życie. To między innymi odkrywca tak zwanych bram o kierunkach bezzwrotnych.

- To znaczy? - podchwycił Dybcio.

- Oprócz potężnych korytarzy, które zbudowano przed naszym pojawieniem się na Ziemi, okazało się, że istnieją, jak to czasem potocznie nazywamy: „smugi Tyhrona”. Naturalne

przejścia, wykorzystujące korzystne pole magnetyczne. Niestety, tylko w jedną stronę. Do was. Wrócić tamtędy i w taki sam sposób nie można. Pole czasowo-przestrzenno-magnetyczne jest w tych punktach u nas bardzo silne, ale im bliżej was, tym bardziej zanika. To jest przyczyna. Najciekawsze okazuje się jednak to, że „smugi Tyhrona” działają tylko między dwoma naszymi światami. Nie ma ewentualnych innych dróg do innych światów.

- Nieźle - przyznał Czesio.

- Odkrycie wielkie, ale mało praktyczne. Do tej pory tylko Yovita i Tyhron są w stanie z nich korzystać. Yovita, uciekając przed zamachowcami, skorzystał właśnie z tego typu rozwiązania i tak pojawił się w waszym świecie. A tu już czekał na niego Tyhron. Ale to ściśle tajne. I nie mogę mówić o szczegółach.

- Tak nic a nic? - upewnił się Dybcio.

- Niestety. Nawet nie wiecie, jak jestem wam wdzięczna za pomoc. Mówię to także w imieniu Rady.

- O to im chodziło, prawda? Aby zmusić dzieciaka do skoku przez „smugę Tyhrona”? - naciskał Kapłan. - Tylko skąd tamci wiedzieli, że Tyhron uciekł i będzie na tyle blisko, by znaleźć dzięki swoim zdolnościom Yovitę?

- Kapłanie... nie mogę o tym mówić!

- Przecież ludzie Tyhrona nie widzą na odległość? A już szczególnie na t a k ą odległość. Międzyczasową!

- Nie drąż tego tematu.

- Kto pomógł uciec Tyhronowi z wyspy, Vilesteo? Kto powiadomił jego zwolenników u was, gdzie tutaj jest ich przywódca? Dlaczego tak łatwo znalazł chłopca?!

- Nasz czas się skończył. To połączenie zostanie przerwane

za kilka sekund. Yovita przekaże wam naszą propozycję.

Hologram powoli zaczął nikać. Pani miło się ukloniła i wreszcie znikła.

– Hej, hej... szefowo! – próbował Dybcio. – A czas na pytania dodatkowe?

Obraz jednak całkowicie znikł.

– Dzieciaku, coś jest nie tak! – zaczęła zaniepokojona Haiku.
– Obudziłeś się w wielkim lesie, w Polsce. Ktoś cię zmusił do przeskoku „smugą Tyhroną” do naszego świata. Przecież sam nie pchałbyś się prosto w łapy Tyhrona!

– Wiem, Yasuko. Mama niezbyt lubi przyznawać się do niewiedzy. Taka jest. Nikt nie jest doskonały. Ale teraz mogę wrócić... może wyjaśnić... znaleźć winnych, a tak naprawdę... my możemy!

– My możemy? – spytał, mrużąc oczy Kapłan.

– To jest właśnie nasza propozycja. – Yovita z minuty na minutę czuł się coraz lepiej. Usiadł, złapał rękami za kolana i zaczął swobodniej oddychać. – Właśnie dlatego tak bardzo prosiłem Czesia, by leciał z nami. Zostaliście zaproszeni do naszego świata. Rada w waszym przypadku chciała to zrobić już dawno. Niemal każdy Kapłan nas odwiedzał w przeszłości. Nawet setki lat temu. I stąd pozostałości w waszych umysłach, których na początku nie potrafiliście rozszyfrować. Teraz jesteście gotowi. Ale ty – tu zwrócił się do Dybcia – jesteś tym jednym na milion, o czym mówiła mama. W twoim mózgu istnieje ośrodek odpowiedzialny za tę umiejętność. Zarówno mama, jak i ja umiemy to szybko rozpoznać.

– Ale zaraz... jaki ośrodek? – zająknął się Dybcio. – Mam coś nie tak?! Muszę iść do lekarza?

– Wręcz przeciwnie – roześmiał się po chłopięcemu Yovita. –

Co prawda nie zdajesz sobie z tego sprawy i na co dzień tego nie odczuwasz, ale w części twojego mózgu istnieje... jak by to powiedzieć... plik informacji, który pozwala twoim komórkom zachować jedność organiczną podczas podróży, do której także i ciebie zapraszamy.

- I nie jestem Kapłanem? - spytał na wszelki wypadek Czesio.

- A myślisz, że wyglądasz na takiego? - spytała kwaśno Yasuko.

- Nie, nie jesteś. -Yovita chyba był już w pełni sił. - Ale być może twoje zdolności, głód wiedzy, wynalazki... to nie przypadek. Ale tego nie wie nawet mama.

- Jak potężna jest Vilestea? - spytał poważnie Lorent.

- „Potężna” to trochę słowo z bajek. Ale ojciec mamy również miał takie zdolności. Jego przodkowie także. Aż w końcu zjawilem się ja. Ona nie potrafi panować nad jednostkowymi ciałami z punktu widzenia czasu, a co najgorsze: nie może nawet „podróżować”. Ma ogromną wiedzę o waszym świecie, ale nigdy tu nie była i nie będzie. Może „być ze mną”, kiedy jestem na wyspie. „Widzi ją” na swój sposób, a także wszystkich, którzy się na nią dostaną. Jest najwybitniejszym naukowcem Rady, zajmującym się badaniami możliwości interpretacyjnych ludzkiego mózgu. To znaczy naszego - uśmiechnął się dzieciak. - Nie waszego.

- Ona zrobiła z ciebie takiego mądrałę?

Yovita znów wybuchnął śmiechem.

- Skończyłem odpowiednik waszego uniwersytetu już... - przeliczył sobie szybko po cichu - ...rok temu.

- Wow! - pokiwał z uznaniem Dybcio.

- Mamie w kontakcie z wyspą w jakiś sposób pomaga to

miejsce. Może rozmawiać z nami, kiedy jesteśmy tu, a ona tam. Dlaczego? Tego na razie nie umiemy wytłumaczyć. Fale mogą płynąć przez kosmos bardzo daleko, ale przez strumień czasoprzestrzenny? To trudniejsze.

– Skoro ktoś inny pewnie miliony lat temu wybudował te urządzenia, być może przewidział, kto w wyniku ewolucji kiedyś zacznie z tego korzystać – stwierdziła Kimura.

– Trudno o bardziej logiczną teorię – zgodził się Dybcio. – Ale oznaczałoby to, że tamte istoty panowały nad czasoprzestrzenią w sposób nieporównywalnie głębszy niż wy – spojrzał na chłopca. – A ich wiedzy nie bylibyśmy w stanie zrozumieć, nawet gdyby zapisali nam to drukowanymi literami. Jest tyle pytań...

Yovita wstał.

– Sami widzicie, że to nie koniec. Proszę, pomóżcie mi. Przyjdzie czas, kiedy wrócicie. Ale teraz... jeszcze mnie nie opuszczajcie.

Lorent włożył ręce do kieszeni i przeszedł się po dziwnej, świecącej podłodze. Wreszcie wzruszył ramionami:

– Nie zostawiam niezakończonych spraw – uśmiechnął się i spojrzał na Yasuko.

– Mnie nawet nie pytaj. Wiadomo, że wchodzę w to! – ogłosiła niemal oburzona wątpliwościami Lorenta.

Dybcio poprawił okulary.

– A tu w ogóle są jakieś drzwi?

– Tak. Otwieram je kodem, który wysyłam w sposób, w jaki z wami *rozmawiałem*.

– Niewerbalnie.

– Mhm.

- I gdzie pójdziemy?

- Tam - wskazał przeciwległą ścianę. - Tamtędy dojdziemy do urządzenia, którym będziemy podróżować. Ta ściana tylko z daleka wygląda na gładką. Za chwilę drzwi się otworzą.

- Cipucha, Bzdet, Ola... Poza tym mamy bagaże na statku - stropił się Dybcio.

- Tym najmniej bym się martwiła - wtrąciła Haiku.

- A już myślałem, że nic dziwniejszego niż ostatnie dni mnie nie spotka. - Dybcio zdjął okulary. - Myślicie, że powinienem zdjąć okulary?

- To nie ma znaczenia. Przedmioty martwe przenoszą się bez problemu - odparł uszczęśliwiony Yovita.

- No dobra, zaczynajmy - westchnął Kapłan.

Czesio nachylił się nad chłopcem i szepnął mu coś na ucho.

- A co to jest „peniac wafła”? - spytał na głos dzieciak.

- No... bać się. Boję się... trochę. Nawet trochę więcej niż trochę.

- A kto się nie boi? - odparł z uśmiechem Yovita.

- Nie boli cię już gardło, młody? - spytała z troską Yasuko.

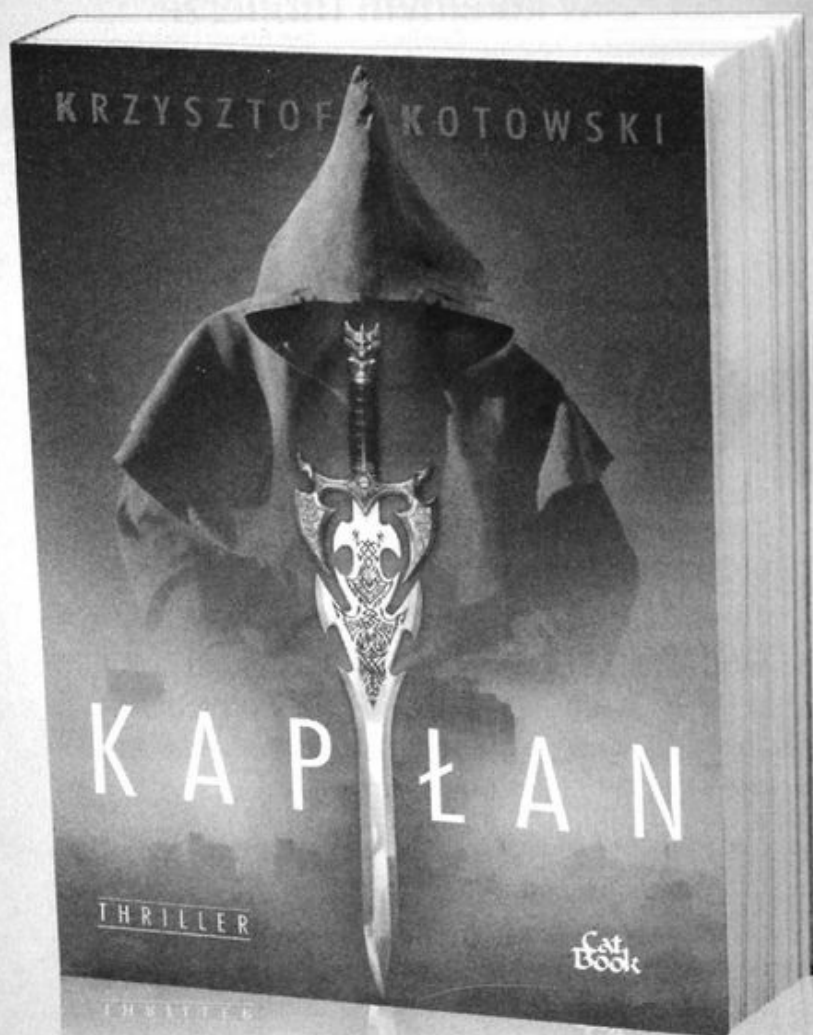
Chłopiec obejrzał się i uważnie popatrzył na Kapłana i Haiku.

- No widzisz - odpowiedział jednak nie jej, tylko Dybciovi - i teraz już się boję mniej. A ty?

- 1) Osteopetroza – inaczej choroba Albersa–Schönberga lub choroba marmurowych kości – genetyczne stwardnienie kości. ↵
- 2) Ceiba (*La Ceiba, drzewo kapokowe, Ceibapentandra*) – jedno z największych drzew w tropikalnej Ameryce. Dorasta do 40 metrów wysokości. Niegdyś czczone przez Majów jako drzewo życia. ↵
- 3) Durand Durand – jeden z bohaterów znanego filmu erotyczno-fantastycznego Rogera Vadima *Barbarella* z 1968 roku. Naukowiec, konstruktor między innymi „maszyny rozkoszy” i innych „sadystycznych” wynalazków, mających doprowadzić do „orgazmotronicznej” śmierci głównej bohaterki. ↵
- 4) *Semi* (jap. cykady) – rodzina owadów z rzędu pluskwiaków, pod- rzędu piewików. Śpiew samców podczas godów potrafi osiągać głośność przekraczającą sto decybeli. ↵
- 5) *Tookasumi* (jap.) – Dalekie mgły. *Od tej chwili podczas spotkania z chłopcem Haiku i Krzysztof nie tylko porozumiewają się w języku japońskim sprzed kilkuset lat, ale też wplatają w swoje doznania medytacyjne fragmenty wierszy poetów z tamtego okresu, próbując w ten sposób przedstawić swój stan umysłu i ducha* (przyp. aut.). ↵
- 6) *Hai* (jap.) – Tak. ↵
- 7) *Yuku haru* (jap.) – Odchodząca wiosna. ↵
- 8) *Iie, haru-no umi. Kampeki da. Kiku!* (jap.) – Nie, wiosenne morze. To jest doskonałe. Słuchaj! ↵
- 9) *Suzushiza...* (jap.) – Taki chłód... ↵
- 10) *Uatashiua shitere... Waregane-mo kyo bakari-tote kasumu- ka-na* (jap.) – Wiem... Pęknięty dzwon, ale może tylko dzisiaj mgłą ogłuszony. ↵
- 11) *Ware-to kite asobeya oya-no nai suzume* (jap.) — Chodź ze mną, mała... pobawimy się, sierotko wróbla. ↵
- 12) „Paranoidalna” – schizofrenia paranoidalna, najczęściej spotykany podtyp schizofrenii charakteryzujący się złożonym systemem urojeń, omamów i halucynacji, ale w większości wypadków bez otępienia, dezorganizacji i niespójności myślenia. ↵
- 13) *Nami-no ma-ya* (jap.) – [...podróżują między] falami przyboju. ↵
- 14) Kamień z Rosetty – odkryty w 1799 roku jeden z najważniejszych zabytków piśmiennictwa w historii. Czarna kamienna płyta, na której zapisano dekret ze 196 r. p.n.e. dotyczący uroczystości pierwszej rocznicy koronacji Ptolemeusza V. Tekst został wyryty nie tylko w dwóch językach (egipskim i greckim), ale i w trzech wersjach, aby był zrozumiały zarówno dla rodowitych Greków, jaki Egipcjan każdego stanu. Dzięki temu możliwe było rozszyfrowanie nieodczytywalnych do tej pory hieroglifów egipskich. ↵
- 15) *Tabi-ni yande, yume-wa, kareno-o kakemeguru* (jap.) — Chorzy w podróży śnimy, że polem wymarłym biegamy bez końca (ostatnie haiku Bashó, 1694 r.). ↵
- 16) Krung Thep – tajska, skrócona nazwa Bangkoku, używana na co dzień przez mieszkańców. ↵
- 17) *Wai* – zwyczajowy ukłon tajski połączony ze złożeniem dłoni z palcami skierowanymi do góry. Tajowie nie witają się ani nie żegnają uściskiem rąk, ale właśnie w ten sposób. ↵



**CAT BOOK
PROPONUJE TAKŻE:**



Książka dostępna w dobrych księgarniach w całej Polsce oraz na:

www.krzysztofkotowski.pl



Kapłan
powróci już w październiku 2010,

w kolejnym thrillerze

Krzysztofa Kotowskiego

**CZAS
CZARNYCH
LUSTER**

Więcej na:

www.krzysztofkotowski.pl